

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Putin: W życiu nie ma żadnego szczęścia • Orwell: Nie zsyłajcie tyranów na Świętą Helenę!
- Wiesz, że chodzisz na smyczy?
- Aromat czy smród – decydujesz
- Grenlandia płynie



WYSOKIE
OBCASY

Justyna Wydrzyńska,
Superbohaterka
„WO”: Nie żałuję



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Uśpiona autostrada

75 proc. Polaków prowadzi
w stanie nietrzeźwości.
Nie, nie po alkoholu

RYŚ. ALCJA KOCUREK

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Akcja pod Arsenalem
Oprócz „Rudego” AK-owcy
odbili jeszcze innego harcerza.
Nie pasuje do legendy



**Michnik i Kuroń
sprytnie się podczepili**
Jak prawica przeinacza
i unieważnia sens Marca '68

**Urodziny Andrzeja
Poczubuta**
Przyślij życzenia
dla niego. Przekażemy ▶ 3

Agnieszka
Kublik

Prezent dla Tuska na TikToku

Za co tak naprawdę nienawidzicie PiS-u?”, zapytał Radosław Fogiel (rocznik 1982) na TikToku. I zebrał doskonały materiał dla PO.

Były rzecznik partii Kaczyńskiego (rocznik 1949), teraz szef sejmowej komisji spraw zagranicznych, zdjął krawat, koszulę zamienił na podkoszulek, marynarkę zostawił. Zasiadł przed kamerą i zagadał: „Czy wy w ogóle wiecie cokolwiek o Prawie i Sprawiedliwości? Waszą nienawiść ukształtowały teksty Cypisa i Maty. Nie wiecie nic o naszych programach, o naszej polityce, o tym, co nam się udało zrobić przez te osiem lat. Chętnie posłucham, konkrety, w komentarzach. Za co tak naprawdę nienawidzicie PiS-u?”.

Cóż, że pod koniec 2022 r. w USA Departament Obrony oraz 14 stanów całkowicie zakazały urzędnikom korzystania

z chińskiej aplikacji. Powód – obawa o bezpieczeństwo, bo jest podejrzewana m.in. o inwigilowanie dziennikarzy, choćby „Financial Timesa”. Zdeterminowani politycy i partie machają na to ręką, gdyż aktywność na TikToku – o czym po stronie opozycji

świetnie wie Tusk, jak ryba w wodzie czujący się w mediach społecznościowych – może decydować o wyniku wyborów. Bo komu Fogiel zadał to pytanie? Użytkownicy z grupy wiekowej 18-34 lata to grubo ponad połowa wszystkich tiktokowiczów. W Polsce z TikToka korzysta co najmniej 8 milionów ludzi, większość to kobiety.

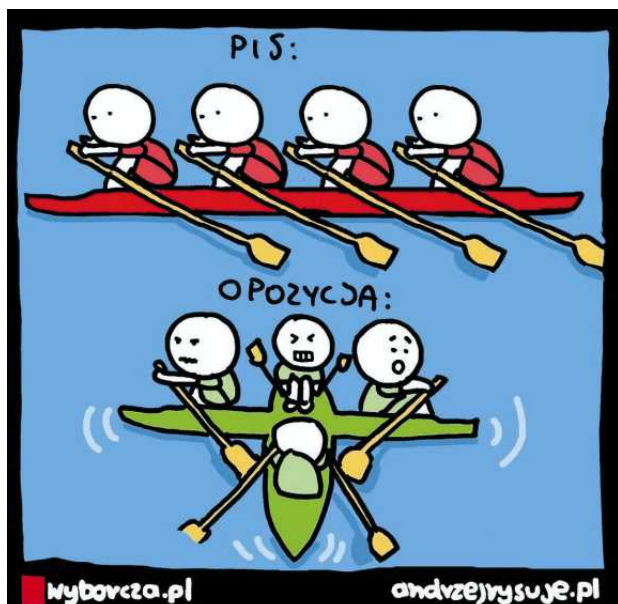
Czego się dowiedział? Że tiktokowicze, choć tacy młodzi, doskonale wiedzą, co PiS zepsuł i jak sam jest zepsuty. Ci młodzi od rzecznika PiS nienawidzą jego partii m.in. za „inflację, brak rozgraniczenia Kościoła od państwa, reformy ministra Czarnka”, „za rozdawanie pieniędzy i podatki od wszystkiego”, „za najwyższą inflację od lat i podatki od wszystkiego”, „upolitycznione sądy i TK, zrobienie z TVP maszyny propagandowej, fatalne podejście do szkolnictwa, ograniczanie praw reprodukcyjnych itd.”, „za brak odpowiedzialności za swoje rządy i zwalanie wszystkiego na złego Tuska, Putina i UE”, „za to, że przestaliście odróżniać własną partię od telewizji publicznej tak bardzo, że przestaliście to zauważać”, „za karanie zaradnych i pracujących, nagradzanie bezrobotnych i leniwych”.

Fogiel zobaczył zatem, że młodzi dostrzegli, że prawo i sprawiedliwość zostaną przywrócone, gdy Prawo i Sprawiedliwość zostanie obalone. Hm, to przekaz demokratycznej opozycji.

Fogiel przekonuje, że akcja mu się udała, bo „znaczną część zarzutów jest bardzo łatwa do odparcia”, „konto PiS na TikToku jest dość młode, a ten film w niecałą dobę wygenerował 160 tys. odsłon i kilka tysięcy komentarzy”.

Młodzi wyborcy są niechętni wyborom i politykom. Fogiel pokazał, że opozycja ma o czym z nimi zagadać. ●

Andrzej rysuje



Zaczął się ramadan Post od świtu do zmierzchu



FOT. ACHMAD IBRAHIM/AP

Indonezyjscy muzułmanie zgromadzili się na tarawih – wieczorną modlitwę w wigilię świętego miesiąca ramadan – w meczecie Niepodległości w Dżakarcie, jednej z największych świątyń islamu. Ramadan w tym roku kończy się 21 kwietnia. Indonezja, 22 marca 2023 r.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Odpowiedź Google'a na ChatGPT Bard nie gada po polsku

Google poinformował, że po testach wewnętrznych czas na testy na żywym organizmie. Chatbot Bard został udostępniony wybranej grupie użytkowników ze Stanów Zjednoczonych oraz z Wielkiej Brytanii.

Testy mają dać odpowiedź, czy Bard jest godną odpowiedzią na hitowy ChatGPT. Dla Google'a to kluczowa szansa na uzyskanie przewagi.

W wyścigu na czatowe rozwiązania (poza Bardem i ChatGPT od OpenAI mamy też chatbot zintegrowany z wyszukiwarką Bing od Microsoftu) Google pozostawał w tyle. Lutowa prapremiera Barda okazała się klapą. Bard, który miał popisać się (sztuczną) inteligencją, zwyczajnie się pomylił. Zapytany o nowe odkrycia z Kosmicznego Teleskopu Jamesa Webba odpowiedział, że „JWST zrobił pierwsze zdjęcia planety poza naszym Układem Słonecznym”. Jak podaje NASA, pierwsze zdjęcie planety poza US zrobione zostało w 2004 roku przez inny teleskop (VLT).



FOT. GGUY/SHUTTERSTOCK

Po lutowej wpadce Google z ostrożnością pozwala na testy wśród użytkowników. Do tej fazy projektu zaprosił 10 tys. zaufanych internautów „z różnym doświadczeniem i perspektywami”.

Użytkownicy z USA i Wielkiej Brytanii do testów mogą zapisywać się na stronie bard.google.com.

Na razie Bard testują w języku angielskim. Łączenie się przez VPN nie daje, Bard rozpoznaje tę sztuczkę i blokuje próby uruchomienia z kraju innego niż USA i Wielka Brytania. ●

Rafał Pikula

Jesteśmy szczęśliwsi o dziewięć oczek



W rankingu najszcześliwszych krajów Polska została sklasyfikowana na 39. miejscu spośród 137 ocenianych. Rok temu byliśmy na 48. Na podium są Finlandia, Dania i Islandia.

Czytaj
► Biqdata.wyborcza.pl

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Cena tańca

Byłam uwielbiana i znienawidzona. W szkole baletowej przemoc jest systemowa. Nauczyciele, uczniowie, rodzice – wszyscy w tym uczestniczą. Przez lata terapii uczyłam się radzić sobie z faktem, że będąc dzieckiem, nie stawiałam w obrobie koleżanek, gdy je niszczone. Że cieszyłam się: „Dobrze, że to nie ja”. Obwiniałam się za to. I za to, że broniłam się pogardą

Mówi Nathalie Sonnenschine, była solistka Polskiego Baletu Narodowego w Warszawie



Dwa lata w białoruskim więzieniu

List do przyjaciela

Czy jest sens pisać listy do Andrzeja Poczobuta? Więzienna cenzura zatrzymuje przesyłki z Polski, ale on i tak dowiaduje się o tym, co do niego piszemy...

Wielński

Drogi Andrzeju,

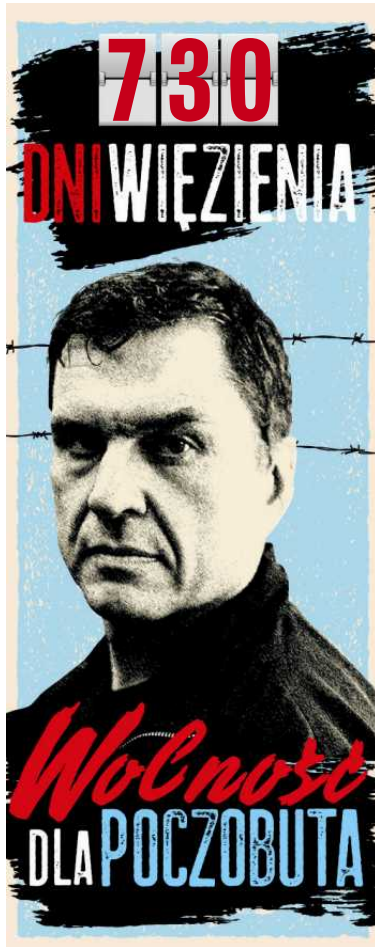
u nas bez większych zmian. Rosyjski mig-31 właśnie wystartował w eskorcie myśliwców z jednej z baz na Białorusi. W Ukrainie od razu ogłoszono alarm przeciwlotniczy. Kojarzysz migi-31? To ciężkie naddźwiękowe myśliwce z podwójnym statecznikiem, które miały bronić ZSRR przed amerykańskimi bombowcami strategicznymi. Teraz Rosjanie podwieszają pod nie pociski hipersoniczne Kindżał. Mig się rozpędza do trzykrotnej prędkości dźwięku i odpala rakietę. Rosjanie twierdzą, że jest celna i zabójcza i że nie ma przed nią ucieczki. Jak jest naprawdę? Nie wiadomo. Ukraińcy dmuchają na zimne: ilekroć na Białorusi startuje ta maszyna, ogłaszają alarm. Kiedyś migi-31 stacjonowały w Maczuliszczy pod Mińskiem, ale odkąd białoruscy partyzanci wlecieli dronem nad bazę i uderzyli w stojący tam rosyjski samolot wczesnego ostrzegania, maszyny przebazowano. Rosja ponosi na wojnie potworne straty w ludziach i sprzęcie, migi-31 są zbyt cenne, by je tracić.

Łukaszenka, białoruski dyktator, którego nikt nie nazywa prezydentem, pogrąża się w odmętach absurdu. Znowu rozszerzył listę przestępstw, za które grozi kara śmierci. Będą rozstrzeliwać urzędników i wojskowych za „zradę stanu”. Najwyraźniej boi się, że następną białoruską rewolucję poprze stworzona przez niego nomenklatura. I kulkę w łeb dostanie od najbardziej zaufanego współpracownika czy kagiebisty z najbliższego kręgu. Poza tym straszy obywateli rzekomymi terrorystami z twojego rodzinnego Grodna, którzy szykowali się do krwawych zamachów.

Ciekaw jestem, jak byś to ocenił. Na Łukaszenkę, mimo że to postać budząca obrzydzenie, patrzyłeś zawsze na

chłodno. Stworzony przez niego system znalazł na wylot, napisałeś zresztą o tym książkę. Jak długo Łukaszenka będzie w stanie ociągać się z wysłaniem białoruskich żołnierzy na front, czego domaga się od niego Putin? Czy na Kremlu zapadła już decyzja, że Łukaszenkę należy wymienić, a Białoruś wcielić do Rosji, a właściwie do Rzeszy?

Już drugi rok zadaję sobie pytanie, co byś nam napisał w następnej korespondencji. Gdy kagiebiści zamykali cię rankiem 25 marca 2021 r., nie nie wskazywało na to, że 11 miesięcy później Rosja – także z terytorium Białorusi – napadnie na Ukrainę. Myślę sobie, że dzięki twoim tekstom dowiedzielibyśmy się, jak wobec zbrodniczej polityki Kremla zmienił się stosunek Białorusinów do Rosjan. Co myślał o broniących się Ukraińcach? Jak traktują rosyjskich żołnierzy? Dowiedzielibyśmy się więcej o białoruskich partyzantach, tych niezwykle odważnych ludziach, którzy oprócz spektakularnego ataku na lotnisko pod Mińskiem regularnie niszczą infrastrukturę kolejową, by utrudnić Putinowi i Łukaszence transporty wojsk. O tym jednak nam nie napiszesz. Ale przecież w białoruskich więzieniach – przeszedłeś już przez kilka, w tym owiane złą sławą Żodino – pozostałeś dziennikarzem. Nieustannie obserwujesz otoczenie, rozmawiasz, słuchasz, o czym rozmawiają inni. Zbierasz informacje. Gdy zamknęli cię w 2011 r., prowadzony do więziarki myślałeś sobie, że jedziesz na ciekawą delegację. Od pierwszej chwili przygotowywałeś w myślach tekst. Wiem, że gdy odzyskasz wolność, a to na pewno się stanie, i to szybciej, niż myślimy, zaczniesz spisywać swoje przeżycia. Powstanie wiele reportaży, pewnie książka. I serial.



Bo o kim kręcić filmy, jak nie o ludziach, którzy są inspiracją, którzy walczą o to, w co wierzą, którzy nie pękają? Nie ugiąłeś przed Łukaszenką karku, choć proponowano ci wyjście z więzienia i banicję z Białorusi. Nie ukorzyłeś się, choć wiedząc o swoim złym stanie zdrowia, zakazili cię koronawirusem. Nie ukorzyłeś się, gdy przenieśli cię na więzienny trakt, gdzie trzymają więźniów oczekujących na egzekucję. Mam przed oczami

fotografie wykonane w sali rozpraw w Grodnie, gdzie trwał twój proces. Widać na nich, że za więziennymi murami przeszedłeś piekło. Świeża blizna na twarzy i grepsy, w których alarmujesz, że „urządzono ci wesołe życie”, to dowód, że klawisze się nad tobą znęcają.

Ale w oczach nie miałeś strachu ani rezygnacji, tylko pogardę dla Łukaszenki i jego sługusów. Reżim pokazał cię światu, bo chciał nastraszyć ludzi, pokazać, jak skutecznie ich niszczy. Znowu przegrał... (Tak na marginesie, sędzia Dymitrij Bubienczyk, który skazał cię na osiem lat kolonii karnej, został wpisany na listę osób objętych sankcjami UE).

Ostatnio Amnesty International przyznała ci prestiżową nagrodę Pióro Nadziei. Odbierał ją twój brat Stanisław, który przeniósł się do Warszawy. Jest bardzo do ciebie podobny. Rozmawialiśmy, także o twoim uporze, odwadze, sile. Ty nie pękasz, my też nie odpuszczamy.

16 kwietnia Andrzej Poczobut, białoruski korespondent „Wyborczej”, kończy 50 lat. Urodziny będzie obchodzić za kratami aresztu w Grodnie, gdzie czeka na apelację od drakońskiego wyroku. W Polsce ta rocznica po prostu nie może przejść niezauważona. Będziemy działać, szczególnie podamy wkrótce. A na razie zbieramy życzenia od Czytelników „Wyborczej” dla Andrzeja. Przysyłajcie je na listy@wyborcza.pl. Wszystkie opublikujemy na Wyborcza.pl. ● **Bartosz T. Wielński**

• W sobotę 25 marca o godz. 14 w Wolskim Centrum Kultury przy ul. Obózowej 85 w Warszawie odbędzie się prezentacja rzeźby poświęconej białoruskim więźniom politycznym, w tym Andrzejowi Poczobutowi

Afryka Mandeli

Trasa naszej wycieczki do RPA prowadzi przez najpiękniejsze miejsca tego afrykańskiego kraju.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. Dz. 2 Przyjazd do Johannesburga – Rezerwat dzikiej przyrody Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. Dz. 3-4 Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. Dz. 5 Rezerwat Manyeleti – Trasa Panoramiczna – Zebra Country Lodge w Pretorii. Dz. 6 Relaks w Rezerwacie Przyrody i Ochrony Gadów – Zebra Repile Center. Dz. 7 Wycieczka do Soweto i Pretorii. Dz. 8 Zebra Nature Reserve – Port Elizabeth – Park Narodowy Tsitsikamma – Zatoka Plettenberg. Dz. 9 Zatoka Plettenberg. Rejs po rzece Keurbooms. Dz. 10 Zatoka Plettenberg – wapienne grotty Cango – Oudtshoorn. XIX wieczne rezydencje w Montagu. Dz. 11 Montagu – Kapsztad. Winiarnie w Stellenbosch z degustacją wina. Ogród botaniczny Kirstenbosch. Dz. 12 Kapsztad – dzień do własnej dyspozycji. Dz. 13 Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker i lwy morskie. Kolonie pingwinów w Simon's Town. Dz. 14 Kapsztad. Podróż powrotna. Dz. 15 Przyjazd do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 03/10, 14/11 2023, 12/01 2024



Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!



Albatros travel

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: CW18

URAZA

**Nikt nie lubi być pouczany.
Zwłaszcza duży kraj, który ma imperialną przeszłość**



Z SOCJOLOGIEM **GRIGORIJEM JUDINEM**
ROZMAWIA **MARGARITA LUTOWA**, MEDUZA

Socjolog Grigorij Judin był jednym z niewielu rosyjskich ekspertów, którzy w lutym 2022 roku uważali, że militarne starcie między Rosją a Ukrainą jest nieuniknione. W artykule opublikowanym zaledwie dwa dni przed inwazją przewidywał, że w najbliższej przyszłości czeka nas wielka wojna, Rosjanie będą naśladować Kreml w obwinianiu Zachodu oraz że sankcje nie powstrzymają Putina. Wszystko się sprawdziło. Po roku wojny Margarita Lutowa z Meduzy rozmawia z Judinem o tym, dlaczego Putin potrzebuje „wiecznej wojny” i co może zapewnić powstanie szerokiego ruchu antywojennego w Rosji.

Krąży pogląd, że wojna jest dla Putina procesem niekończącym się, a on sam w ostatnim wystąpieniu na forum Zgromadzenia Federalnego zdawał się potwierdzać tę myśl: nie powiedział, ani jak Rosja wygra, ani co wydarzy się później. – W tym momencie wojna jest wieczna. Nie ma żadnego konkretnego celu, po którego osiągnięciu można byłoby ją zakończyć. Trwa po prostu dlatego, że oni są wrogami i chcą nas zabić, a my chcemy zabić ich. Dla Putina to egzystencjalne starcie z wrogiem chcącym go unicestwić.

Dopóki Putin jest na Kremlu, wojna się nie skończy – będzie tylko eskalować. Armia jest sukcesywnie powiększana, gospodarka orientowana na produkcję broni, a edukacja zamieniana na szkolenia wojskowe oraz narzędzie propagandy. Kraj jest przygotowywany do wielkiej i ciężkiej wojny, której nikt nie wyznaczył żadnego celu, nie zaproponował żadnej definicji zwycięstwa.

Czyli chodzi po prostu o utrzymanie Putina przy władzy?

– To niemal to samo. Putin i ludzie, którzy go otaczają, na poważnie myślą, że wojna trwa od dawna. Tylko teraz weszła w tak agresywną fazę, że odwrotu nie ma. Według nich wojna jest w zasadzie czymś normalnym. Jeśli przestaniesz myśleć, że pokój jest stanem naturalnym, to ujrzysz sytuację ich oczami. Jak powiedziała Natalia Komarowa, gubernator Chanty-Mansyjskiego Okręgu Autonomicznego, „wojna to przyjaciel”.

22 lutego 2022 r., dwa dni przed inwazją, serwis openDemocracy opublikował twój artykuł, w którym opisałeś i nadchodzącą wielką wojnę, i lekceważący stosunek Putina do sankcji. Skoro z jednym i drugim miałeś rację, a dalej przekonywałeś, że wojna z Ukrainą „będzie jedną z najbardziej bezsensownych wojen w naszej historii”, to może i z tym trafiłeś? Społeczeństwo zaczęło zdawać sobie z tego sprawę?

– Akurat nie. Dla naprawdę wielu ludzi to było jasne od samego początku, ale od tego czasu ta grupa ledwo się powiększyła. Wojna to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy Putin spaja znaczną część społeczeństwa. Nie wszyscy podzielają jego dzikie teorie, ale w przypadku Ukrainy i Zachodu on w jakiś sposób się z nimi łączy. Co ważniejsze, sam wytwarza tę emocję. A tą emocją jest uraza – potwórna, niekończąca się uraza. Nic nie jest w stanie złagodzić tego uczucia. Ta uraza nie daje nawet przestrzeni na to, aby pomyśleć o nawiązaniu jakichś produktywnych relacji z innymi państwami. To jest jak z małym dzieckiem, które się obraziło i krzywdzi tych, którzy są wokół niego. Ta krzywdza jest coraz większa i w pewnym momencie dziecko zaczyna poważnie rujnować życie innych i przy okazji swoje. Ale ono nie dostrzega, że w jakiś sposób musi budować relacje.

W Rosji jest powiedzenie: „Wodę nosi na ramionach urażony” [co z grubsza oznacza, że uraza jest ciężkim brzemieniem]. Kiedyś zrozumiemy, że uraza działa na naszą niekorzyść.

O Putinie wszystko mówi jego wypowiedź, że „w życiu w ogóle nie ma szczęścia”

Na kogo jesteście obrażeni? Na Zachód? Na Stany Zjednoczone? Na całą resztę świata?

– Rosjanie uważają porządek świata za niesprawiedliwy i są obrażeni na tego, kto bierze odpowiedzialność za bycie „lepszym”. Oczywiście chodzi o Stany Zjednoczone.

Cały czas mam w pamięci wypowiedź Putina z połowy 2021 roku. Wtedy stwierdził, że w życiu w ogóle nie ma szczęścia. Mocna wypowiedź jak na przywódcę politycznego, który ma sprawić, że ludziom będzie żyło się lepiej, podsunąć jakieś ideały, wzorce. A ten mówi: „W życiu nie ma żadnego szczęścia. W ogóle świat jest złym, niesprawiedliwym, surowym miejscem, gdzie jedynym sposobem na istnienie jest ciągła walka, bitwa, a w ostateczności – zabijanie”.

W pewnym momencie Stany rzeczywiście podjęły próbę wzięcia na siebie odpowiedzialności za świat – nie do końca udaną, choć same stały się hegemonem i są pod wieloma względami beneficjentem tego ładu. Dlatego resentyment, o którym mówię, zdecydowanie nie występuje tylko w Rosji. Globalne Południe ucierpiało z powodu wielkiego wzrostu nierówności w ostatnich dekadach i częściowo, przynajmniej symbolicznie, z powodu lekkomyślnych awantur w polityce zagranicznej USA. Ale część ludności i krajów globalnej Północy też czuje się poszkodowana i zraniona, tu z kolei amerykańskim ładem gospodarczym. I niemal wszędzie, gdzie można odczuć resentyment, można też znaleźć większe zrozumienie dla Putina.

Tyle że zrozumienie nie przekłada się na poparcie, bo Putin nic nie oferuje. Mój kolega trafnie to kiedyś ujął, że podstawowa zasada rosyjskiej polityki zagranicznej brzmi: „Jeśli oni mogą, to my też możemy”. Putin chce robić te same rzeczy, za które krytykuje Stany Zjednoczone.

Zaryzykowałabym, że resentyment zakorzenił się u Rosjan już przed Putinem, czyli w latach dwięćdziesiątych.

– W społeczeństwie rosyjskim istnieją pewne podstawy do resentymentu. Są związane z pouczającą rolą, jaką przyjęły Stany Zjednoczone i niektóre części Europy Zachodniej. Ich teoria modernizacji mówiła, że są kraje rozwinięte i kraje rozwijające się, a kraje rozwinięte – życzliwie i wspierająco – będą uczyć kraje rozwijające się: „Powinniście być urządzeni tak, a nie tak”. Generalnie rzecz biorąc, nikt nie lubi być pouczany. Zwłaszcza duży kraj, który ma imperialną przeszłość.

W rzeczywistości sytuacja w latach 90. była znacznie bardziej złożona. Trzeba sobie uświadomić, że Rosja po upadku ZSRR została zaproszona do wielu kluczowych klubów międzynarodowych i miała wpływ na kluczowe kwestie globalne. Przypomnijmy sobie słynną zawrotkę premiera Jewgienija Primakowa, który gdy leciał do Stanów, dowiedział się o interwencji NATO w Jugosławii i kazał zawrócić samolot nad Atlantykiem, czy wprowadzenie wojsk do strefy konfliktu jugosłowiańskiego przez Jelcyna. Krótko mówiąc, Rosji trzeba było słuchać. Istniały zasoby dyplomatyczne, które można było i należało zbudować.

Ale ten pouczający ton wobec Rosji istniał. Był on wynikiem głębokiego błędu ideologicznego: wraz z upadkiem projektu socjalistycznego wielu myślało, że istnieje już tylko jedna droga, czyli słynny „koniec historii”. Zatem tak, były przesłanki dla resentymentu – ale były też przesłanki dla innych emocji.

Co więcej, sam opis i doświadczenie upadku Związku Radzieckiego jako jakiejś monstrualnej klęski nie był z góry ustalony, ponieważ istniało wiele konkurencyjnych narracji wokół rozpadu ZSRR. Jedną z nich mówi, że była to rewolucja ludowa; chwalebny moment w historii Rosji i innych narodów, ponieważ udało im się uporać z przestarzałym despotycznym reżimem. Ta koncepcja nie prowadziła do resentymentu.

Jednak Putin postanowił się obrazić. Po części zapewne z powodu cech osobowości. Potem zaczął tę urazę pielęgnować. A uraza to rzecz zaraźliwa. Jest wygodną emocją: zawsze czujesz się, po pierwsze, słusznie, a po drugie, niezasłużenie zdeptany.

Wielokrotnie mówiłeś, że Putin nie zatrzyma się na Ukrainie. Masz na myśli Mołdawię, kraje bałtyckie czy autodestrukcyjną wojnę z USA?

– W zasadzie taki światopogląd nie ma granic. Ta formuła jest niemal oficjalnie przyjęta: Rosja nie ma granic. To standardowa definicja imperium, które po prostu ich nie uznaje.

Granice w Europie tak na serio pojawiają się w 1648 roku, kiedy powstaje system westfalski, który później stopniowo kończy się wraz z rozwojem imperiów. Po wojnie trzydziestoletniej pojawia się idea, że istnieją granice między państwami: „Tu jesteśmy my, a tu wy”. Imperium nie uznaje tej idei: „My jesteśmy tam, gdzie doszliśmy. A wy – tam, gdzie nie zdążyliśmy dotrzeć. Kiedy tam dotrzemy, was tam nie będzie, bo będziemy tam my”.

Nieprzypadkowo nie słyszymy od rosyjskich przedstawicieli władz uznania czyichkolwiek granic. Co najwyżej jest poczucie, że jest jakiś Zachód i to jest chyba coś obcego dla nas. Nie to, że to w ogóle nie jest nasze, ale to już zaczyna być strefa, do której będzie bardzo trudno się dostać. Zachód rozumiany, naturalnie, w sensie ideologicznym odziedziczonym po ZSRR.

Przypominam o ultimatum Putina wobec USA i NATO z grudnia 2021 r. Mówi w bardzo poważnych i bezpośrednich słowach, że cała Europa Wschodnia jest jego strefą wpływów. Jak będzie to sformalizowane, z utratą formalnej suwerenności czy nie – co za różnica? Poza tym do tej strefy niewątpliwie należą Niemcy Wschodnie – ze względu na to, że Putin ma z nimi związane jakieś osobiste wspomnienia. Trudno mi sobie wyobrazić, że on takimi wypowiedziami prowadzi rozgrywkę, a tak naprawdę wie, że ten obszar nie należy do niego. Putin na pewno zamierza przywrócić strefę Układu Warszawskiego, a potem zobaczy.

Często słyszę: „Co za bzdury, jak to możliwe? To jest irracjonalne, to jest szalone!”. Pragnę przypomnieć, że jeszcze nie tak dawno temu wszyscy to samo mówili o Ukrainie. To samo mówiono również o Mołdawii, a teraz słyszymy, że przywódcy mołdawscy, ukraińscy i amerykańscy poważnie uważają, że Mołdawii zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Ona była w planach obecnej operacji wojskowej.

Jedna rzecz to sposób, w jaki szacujesz prawdopodobieństwo, że działanie, które podejmie jednostka X, zakończy się sukcesem. Druga to sposób, w jaki szacujesz prawdopodobieństwo, że w ogóle je podejmie. Możesz słusznie sądzić, że działanie tej jednostki zakończy się niepowodzeniem, ale nie wynika z tego, że go nie podejmie. Nie dlatego, że jest irracjonalna, ale dlatego, że uważa np., że nie ma wyboru.

Ogólna strategia Rosji wygląda tak: odgryzamy kawałek, potem ten kawałek jest uznawany za prawomocny, a w następnym etapie na podstawie tego uznania możemy zgarnąć coś innego.

Według logiki tej strategii zaczynamy od odgryzienia wschodniej Ukrainy, najlepiej za pomocą jakiegoś rozejmu. Globalny biznes dostaje dobry powód, by wrócić do Rosji, podczas gdy nikt z biznesu nie pojedzie przy takiej niepewności do Ukrainy.

Wkrótce Europa zaczyna komentować: „To była ich ziemia, dogadali się i jest w porządku”. Ale zaraz, skoro to „ich” ziemia, bo mówi się tam po rosyjsku, to co np. ze wschodnią Estonią? Ale Estonia jest w NATO! Jednak czy NATO pójdzie na wojnę o Estonię? Putin jest całkowicie pewien, że jeśli w odpowiednim momencie spróbują wystawić na próbę ar-

Oskarżanie Rosjan jest przeciwskuteczne.

Masz do czynienia z ludźmi przekonanymi

o własnej bezsilności, którzy się boją,

a ty chcesz do tego dodać dwa kilogramy winy

tykuł 5 Traktatu Północnoatlantyckiego, to NATO się rozpadnie. Z bardzo prostego powodu: „Wiedzą, że wzięli coś, co nie jest ich, w razie poważnego zagrożenia odpuszczają”.

Jeśli Europa Zachodnia nie będzie skłonna walczyć o ziemię wschodnie, zostają jeszcze Stany Zjednoczone. Ale do tego czasu mogą mieć innego prezydenta, który będzie bardziej obojętny wobec Europy Wschodniej.

Powiedzmy jasno: nie uważam tego za jedyny scenariusz. Opisuję strategię Putina, ale Putin nie rządzi światem – dostanie tyle, ile mu się pozwoli wziąć. Niemniej to, co mówię, nie zawiera żadnych niewyobrażalnych założeń.

Łatwo sobie wyobrazić taki tok myślenia Putina 24 lutego 2022 r., ale minął rok i Zachód się nie rozpadł, co więcej, udziela realnego wsparcia Ukrainie. Te miesiące porażek i niemiłych zaskoczeń nie wpłynęły na Putina i jego otoczenie?

– Sądzę, że Putin upewnił się, że dobrze zrobił. Nawet jeśli miał jakieś wątpliwości, teraz jest dla niego jasne, że były bezpodstawne. Cały miniony rok pokazał mu, że skoro Zachód jest tak zafiksowany na Ukrainie, to oczywiście jest, że jest to kluczowy region i właśnie tam należało atakować. Co więcej, to dobrze, że problemy wyszły na jaw przed prawdziwą wojną, która jest nieunikniona. O wiele gorzej byłoby za jakiś czas pójść na wielką wojnę z taką armią jak ta, która ugrzęzła w Ukrainie. Wszystko, co się dzieje, umacnia Putina w jego poglądach.

Istnieje przekonanie, że Putin się przeliczył. Słuchajcie, przestałmy traktować go z taką pogardą. Oczywiście plan blitzkriegu na Kijów się nie powiódł. Jednak dlaczego myślimy, że to był jedyny plan?

Przecież oni przygotowywali tę wojnę od lat. Byłoby dziwne, gdyby szykowali ją według jednego możliwego planu. W przypadku władcy, którego od dawna nie interesuje nic poza przygotowaniem do wojny, to tak nie działa. Putin rozumuje: „Tak, sprawy nie potoczyły się według najlepszego scenariusza – ale nic nie szkodzi, wytrwamy. Jesteśmy gotowi przelać tyle krwi, ile się da – oni nie. W pewnym momencie przestaną poświadczać swoje drogocenne zasoby”.

Nie twierdzę, że to zadziła. Mało tego, taka logika Putina skazuje go na porażkę, bo on podświadomie chce przegrać. Pytanie, ile osób zginie, zanim się to stanie.

Czy istnieje coś, co sprawiłoby, że Putin zakwestionowałby swój światopogląd?
– Absolutnie nie.

A czy przez ten rok na Zachodzie naprawdę zmienił się ogład Rosji? Serio zdano sobie sprawę z powagi zagrożenia, które prawdopodobnie było lekceważone do 2022 roku?

– Na pewno uznano, że dominująca do 24 lutego 2022 r. ocena Rosji była głęboko błędna. Ale co z tego wynika, nie jest do końca jasne. Ponieważ dominowało błędne myślenie, nikt nie przygotował się na to, co się stało, i nadal dominują zachowania reaktywne.

Istnieje silna „partia 23 lutego”: to ludzie, którzy potępiają agresję, ale chcieliby, aby ta sytuacja się zakończyła i żeby mogli wrócić do normalnego funkcjonowania. To przede wszystkim globalny kapitał, który nie rozumie, dlaczego ma tracić pieniądze przez jakąś Ukrainę. Duża część zachodnio-europejskiego biznesu nie ukrywa, że czeka, aż Ukraina wreszcie zgodzi się oddać część terytorium. Na razie wezwania do negocjacji nie mają sensu, bo Putin uważa, że wygrywa wojnę, i nie zamierza z nikim rozmawiać, ale w końcu ta postawa może przybrać formę otwartego nacisku na Ukrainę lub po prostu czekania na wyczerpanie się energii oporu.

Wielu polityków rozumie zagrożenia płynące z takiego scenariusza. Aby jednak zaproponować alternatywę, potrzebna jest jakaś wizja przyszłości, nie tylko Ukrainy, ale także Rosji i całego kontynentu. I tu

zaczynają się schody. Najbardziej zaangażowana w wojnę część Europy upiera się, że dla Rosji nie może być innej przyszłości – to „genetycznie wadliwy” kraj, który jest skazany na bycie zagrożeniem. Po Putinie znów będzie Putin – tu ci ludzie w pełni zgadzają się z przewodniczącym Dumy Władisławem Wołodinem.

Okrucieństwa popełniane przez rosyjskie wojsko pomagają we wzmocnianiu takich nastrojów. Ale co z nich wynika? Można odgrodzić Rosję i postawić na obwodzie karabiny maszynowe. Tyle że to wzmocni niebezpieczeństwo w całym regionie – efektem będzie albo nieuchronna zemsta, albo długa wojna domowa. Nie wiadomo, co gorsze.

Rozsądni ludzie, tacy jak Macron, rozumieją, że bezpieczeństwo będzie musiało być budowane z uwzględnieniem interesów Rosji. Ponieważ jednak Macron jest także przekonany, że w Rosji zawsze będzie Putin, dochodzi do logicznego, ale pozbawionego perspektyw wniosku, że trzeba podjąć rozmowę z Putinem. Owszem, jeśli Rosja nie zostanie zmieciona z powierzchni ziemi i będzie wciąż w szczęśliwym zwią-

w miejscu, a czas stopniowo sprawi, że ta świadomość będzie nieunikniona.

Kiedy przed wywiadem omawialiśmy tematy tej rozmowy, skomentowałeś obecny stan rosyjskiego społeczeństwa: jego atomizację, zablokowane działanie zbiorowe, i zauważyłeś, że mówienie o tym może tylko wzmocnić poczucie wyuczonej bezradności. Czy są sposoby na rozmowę ze społeczeństwem tak, by nie karmić tego poczucia bezradności?

– Jeśli główną emocją w Rosji jest uraza, to głównym afektem, który trzyma dziś wszystko razem, jest strach. Strach egzystencjalny – przed gniewem konkretnej osoby, strach przed wojną albo bardziej abstrakcyjny, przed chaosem. Strach pomnożony przez wiarę we wszechmoc tyrana, który tak czy inaczej dostanie to, czego chce: dotychczas zawsze to miał, więc będzie miał nadal. Na ten strach, pomnożony przez beznadzieję, trzeba odpowiedzieć.

Strach pokonuje nadzieja. Ona jest przeciwieństwem afektu. Ludziom trzeba dać nadzieję. W tym sensie doskonale zrozumiałe, uzasadnione oskarżenia wobec Ro-

Ludzie, którzy z pianą na ustach przekonują, że Rosja jest skazana na wiecznego Putina, dostają przywódców, którzy chcą negocjować z Putinem

ku z Putinem, to on będzie musiał pójść na ustępstwa. Niemniej ludzie, którzy z pianą na ustach przekonują wszystkich, że Rosja jest skazana na wiecznego Putina, dostają przywódców, którzy chcą negocjować z Putinem – mimo że chcą dokładnie czegoś przeciwnego.

Ten supel jest nie do rozplątania, dopóki nie zostanie rozwiązana kwestia reprezentacji rosyjskich interesów. Rosja, jak każdy inny kraj, ma prawo do gwarancji bezpieczeństwa – wszystko inne spowoduje niestabilność. Oczywiście rozmowa z Putinem na ten temat jest bezużyteczna. Tak więc, aby opracować strategię, należy wyobrazić sobie specyfikę „Rosji bez Putina – Rosji, z którą można negocjować”, jak trzeźwo mówi Zelenski. W dodatku takie podejście stworzy wreszcie warunki do działania dla tchórzliwych elit rosyjskich. Muszą sobie wyobrazić, że ich przyszłość nie kręci się wokół jednego człowieka.

I co dalej? Droga białoruska, w której mało kto po zdławionych masowych protestach w 2020 r. nie identyfikuje się z Łukaszenką? A może jakiś rząd na wygnaniu, który przedstawi światu projekt innej Rosji?

– Te dwie rzeczy się nie wykluczają. Na pewno pomoże jakiś poważny ruch, jak chociażby na Białorusi, który wreszcie uświadomi reszcie Rosjan tyranii tego rządu. Jednak impulsem może być też jakiś alternatywny, zewnętrzny projekt dla Rosji. Są ku temu dobre podstawy: Putin ze swoją paranoją nie reprezentuje Rosji jako całości. To całkiem spory kraj, z wystarczającą liczbą zaradnych, młodych, aktywnych ludzi, którzy mają zupełnie inne spojrzenie na świat. On walczy, aby zapobiec nieuniknionemu powstaniu nowej Rosji, w której nie ma dla niego miejsca.

Oczywiście, żyjąc przez dwadzieścia lat pod rządami Putina, Rosjanie tracą zdolność do wyobrażenia sobie czegoś innego. Ale życie popchnie nas do tego, byśmy zaczęli wytyczać wyobraźnię. Kraj stanął

sjan są politycznie daremne. Masz do czynienia z ludźmi, którzy są przekonani o własnej bezsilności, którzy się boją, a ty chcesz do tego dodać dwa kilogramy winy. Czym się to skończy?

Pytanie brzmi, jak dawać nadzieję. Nadzieja jest związana z pokazaniem, że wszystko może wyglądać inaczej, że Rosja może być zorganizowana w zupełnie inny sposób. Owszem, w Rosji wszelki dyskurs normatywny został stłumiony. Przez bardzo długi czas trudno było pytać, jak powinno być zorganizowane społeczeństwo, jak robić to sprawiedliwie, uczciwie i dobrze. Kilka lat temu respondenci odpowiadali: „W Rosji? Nie ma mowy”. Ale w końcu Rosjanie uświadamiają sobie, że są w ślepych zaułku, i pojawi się zapotrzebowanie na pomysły.

Czy w życiu, w którym strach mnoży się przez bezsilność, istnieje jakiś punkt bez powrotu, po którym nadzieja nie będzie w stanie się przebić? Kiedy ten, kto przedstawi plan pięknej przyszłości, nie zostanie wysłuchany?

– Nie wiem. Generalnie to żaden afekt nie jest nieskończony.

Wierzę w Rosję. Wierzę, że kultura rosyjska zawiera gotowe przepisy na poradzenie sobie z kryzysem. To jest jej siła. Nie to, że Puszkina jest wielkim poetą, ale to, że jest składnicą mądrości i rad, z odpowiedziami na pytania, które nas dręczą. Naprawdę wierzę, że rosyjscy myśliciele, pisarze, nasz intelekt, nasze tradycje i zwyczaje kryją odpowiedź na to trudne wyzwanie.

Dopiero co przedstawiłeś dyskurs, który najczęściej słyszy się obecnie w odniesieniu do kultury rosyjskiej: że jest imperialna, że zrodziła i pielęgnuje mentalność niewolników...

– Kultura rosyjska ma w sobie znaczny pierwiastek imperialny i nadszedł czas, aby się z nim rozprawić. Upadek imperium to dobry moment. Czy taka weryfikacja wyczerpuje rosyjską kulturę? Nie. Możliwe nawet,

że nie wyczerpuje twórczości konkretnego autora. Czy można znaleźć idee imperialne w twórczości danego autora? Można i trzeba. Nie mam problemu z dostrzeżeniem idei imperialnych w naszej kulturze, z wyodrębnieniem ich i zbadaniem, jak powiązane są z innymi elementami. To nie wyczerpuje kultury całkowicie. Tak jak imperializm niemiecki nie wyczerpuje kultury niemieckiej czy imperializm brytyjski nie wyczerpuje kultury brytyjskiej. Ale skąd ta potrzeba albo całkowitego odrzucenia, albo całkowitej akceptacji? To nie jest przecież tak, że bierzesz z tym czy innym twórcą ślub i przysięgasz bezwarunkową miłość.

Kultura rozwija się poprzez krytyczne patrzenie na siebie. Jednak krytyka nie może polegać na całkowitym odrzuceniu. Wtedy po prostu nie wiadomo, kim się jest, żeby ją krytykować. Skoro wyzerowało się siebie, to z jakich pozycji się ją krytykuje? Kultura taka jak rosyjska nie może być całkowicie nieimperialna, inaczej nie byłoby krytyki imperializmu – musi być przecież w kulturze coś, co tę krytykę wyzwała.

Czy mogę prosić o podanie przykładu przepisu na mądrość i nadzieję z kultury rosyjskiej?

– Właściwie klasycznym krytykiem imperializmu w historii myśli politycznej jest Lenin. To on mówił o „wielkorosyjskim szowinizmie” w odniesieniu do Ukrainy, a także atakował imperializm w innych krajach. Dziś na uniwersytetach na całym świecie nauka o imperializmie zaczyna się od Lenina.

Przypomnę też, że Rosja dała światowej myśli politycznej zdolność do myślenia poza państwem, negacji jego roli: Michaił Bakunin, Lew Tolstoj, Piotr Kropotkin, a w niektórych aspektach także Lenin. Lista jest długa. Rosja nie wyprodukowała ani jednego męża stanu, myśliciela-centralisty, który miałby znaczenie dla myśli światowej. Wszystkie idee centralistyczne były importowane do Rosji. Idee dotyczące wolności, wzajemnej pomocy i godności zmierzały w przeciwnym kierunku.

W styczniu na YouTube pojawił się twój wywiad nagrany w Princeton. Setki ludzi pisały, że cieszą się, że jesteś bezpieczny. Ale rozmawiasz ze mną z Moskwy, czyli według popularnego obecnie podziału na „tych, którzy wyjechali” i „tych, którzy zostali”, nadal jesteś w tej drugiej grupie?
– Jestem badaczem akademickim. Nauka akademicka jest globalna, nie robi się jej w pojedynkę. Zawsze dużo podróżowałam – to część mojej pracy. Teraz, gdy niektórzy szaleni ludzie próbują odciąć Rosję od globalnego świata, kiedy potrzebny jest głos Rosji w świecie – uważam, że konieczne jest potrójne wysiłków w budowaniu mostów, robieniu wspólnych projektów i komunikowaniu się z globalnym światem.

Pytałam przecież o to, co sądzisz o podziale na „tych, którzy wyjechali” i „tych, którzy zostali”?

– Nas i kraj spotkało ogromne nieszczęście. Byłoby dobrze, gdyby każdy, kto jest teraz poza Rosją, pomyślał, jak pomóc tym, którzy tam są. I gdyby każdy w Rosji pomyślał o tym, jak pomóc tym, którzy cierpią gdzieś daleko. Poradzimy sobie, ale możemy przejść przez to tylko razem. ●

Tłumaczenie: Patrycja Eiduka

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media. Redakcja portalu Meduza, wyrzucona z Rosji, straciła wpływ z subskrypcji, ale pracuje nadal z zagranicy. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Przelewu można dokonać na stronie [Support.meduza.io/en](https://support.meduza.io/en)

FOT. JACEK TARAN

• Oleg Dere-
niuha i Kate-
ryna Sereda,
redaktorzy
portalu
NikWesti



ODESSA BRZĘCZY

**Zadawaliśmy trudne pytania o korupcję, niezrealizowane obietnice.
Po 24 lutego znaleźliśmy się w sytuacji, w której krytyka polityków oznaczałaby,
że mówimy tym samym głosem co rosyjska propaganda**

Michał Olszewski

ODESSA

Na ścianie redakcji portalu NikWiesti, jednego z najważniejszych portali informacyjnych południowej Ukrainy, wisi układanka niczym z amerykańskich filmów sensacyjnych. Nie ma pinezek i nici z włóczki pomiędzy poszczególnymi elementami, ale też nie są one potrzebne – dramatyzm tego kolażu widać i bez nich. Na piwnicznej ścianie, tam, gdzie redaktor naczelny Oleg Dereniuha spał przez trzy miesiące, widać gołą prawdę o propagandowym kłamstwie i dezinformacji.

Kartki na ścianę przyklejała Katerina Sereda, dziennikarka NikWiesti w Mikołajowie. To wydrukowane strony licznych gazet, jakie ukazywały się na terytoriach okupowanych przez Rosję, z podkreślonymi przez ukraińskich dziennikarzy frazami, zdaniem żywym wyjętymi z propagandy radzieckiej i niemal jednakowymi zdjęciami Władimira Putina. Putin siedzi za stołem albo wygłasza przemówienie, zawsze w nienagannym

garniturze, z flagami Federacji Rosyjskiej za plecami i z tym samym, nieruchomym wyrazem twarzy. „Bojowa Gazeta” (z czerwoną gwiazdą w winiecie), „Nasza Kachowka”, „Rosyjski Chersoń”, „Naddnieprzańska Prawda”.

Jest i prawdziwy propagandowy rodzynek, rodem z podręczników goebbelsowskiej propagandy. To kopia tygodnika „Rodzinne Nadbuże”, gazety ukazującej się od lat w regionie mikołajowskim. Zgadza się z czołową winietą i herb, inny jest język – zamiast ukraińskiego rosyjski. Inna jest też zawartość: na pierwszej stronie widać wzruszające dziecięce dłonie zamknięte w łódce z dłońmi matczynych. Dłonie tulą jak skarb serce pomalowane w rosyjskie barwy, a obok nich widać klarowne wezwanie do udziału w referendum. „Tak – Rosja to ty i ja” – brzmi hasło. Nieco niżej przesłanie od Władimira Władimirowicza: „Wiemy, że większość ludzi, żyjących na oswobodzonych od neonazistów terytoriach, czyli przede wszystkim historycznych ziemiach Noworosji, nie chce zostawać pod jarzmem neonazistowskiego reżimu.

W Zaporozżu, na Chersońszczyźnie, w Ługańsku i Doniecku widzieli i widzą okrucieństwa popełniane przez neonazistów na okupowanych terenach Charkowszczyzny.

Spadkobiercy Bandery i nazistowskich oprawców zabijają ludzi, torturują, wtracają do więzień, wyrównują rachunki i wyzywają się na pokojowo nastawionych obywatelach”.

Potem idą wstępy, tytuły i śródtytuły, jak z „Komsomolskiej Prawdy” z lat 70. „Tylko swoimi rękami budujemy drogę w przyszłość”. „Od agrarnego zastoj do światowych rekordów”. Są również wzorce dawniejsze, jeszcze z czasów II wojny światowej: „Ponad 6 miliardów ludzi za Rosją i przeciwko nazizmowi”. „Rosyjska Sniegiriewka wraca do Ojczyzny”, „Przeciwdziałanie nazizmowi jednocy sojuszników Rosji”.

Pierwszy numer gazety ukazał się 23 września 2022 roku. W tym samym dniu zakończyła się ekshumacja masowych grobów w Iziumie: łącznie ukraińscy prokuratorzy naliczyli 447 ciał, wśród nich zwłoki dzieci. Na 30 z nich było widać ślady tortur; kilku mężczyznom amputowano genitalia, niektóre ciała na szyjach miały sznury.

Oleg Dereniuha, redaktor naczelny NikWiesti: – Na tej ścianie widać jeden z frontów walki, który toczy się obecnie w Ukrainie.

W tym samym czasie, kiedy w Mikołajowie dziennikarze NikWiesti stoją przed ścianą zaklejoną propagandą rosyjską, w odeskim biurze Center Media Serhij Nikitenko, jeden z założycieli chersońskiego porta-

lu MOCT, aktualizuje stronę. MOCT, chociaż zatrudnia sześciu dziennikarzy, uznawany jest w Ukrainie za jedno z najbardziej wiarygodnych źródeł informacji o Chersońszczyźnie, zarówno tej odzyskanej, jak i tej, która znajduje się pod okupacją. Wszystko za sprawą sieci współpracowników, przekazujących całodobowo informacje do redaktorów. Również dlatego, że przed wojną utrzymywał się dzięki reklamodawcom i nie był związany z żadną partią polityczną.

Nikitenko nie czuje się dziennikarzem na emigracji: nie wyjechał przecież z kraju, mieszka w Ukrainie i nie zamierza jej opuścić, ale nie ukrywa, że większość redakcji w pierwszy dzień wojny opuściła Chersoń, wybierając różne kierunki: dziennikarze MOCT pracują w tej chwili z Gruzji, Krzywego Rogu, Iwano-Frankowska, Dniepru, on sam wyjechał do Chmielnickiego, skąd skierował się do Odessy, gdzie, jak mówi, ludzie południowi i ten sam wiatr co w domu. Mimo odległości nie należą do dziennikarzy zabiurkowych i od początku wojny, często z narażeniem życia, nadają relacje z pierwszej linii: przedarli się do ostrzeliwanej Nowej Kachowki, żeby zobaczyć, jak żyją jej mieszkańcy, jako pierwsi dotarli do wyzwolonego Wysokopilla.

Serhij Nikitenko: – Musieliśmy wyjechać z Chersonia, bo Rosjanie mieli listy z nazwi-

skami ukraińskich dziennikarzy, polityków, urzędników. Przez całą okupację drżałem, że za to, co robię, przyjdą po moich rodziców. Na szczęście nie przyszli.

W okupowanym Chersoniu został współpracujący z Nikitenką dziennikarz Wiaczesław Husakow. Nie chciał wyjeżdżać, przekonany, że ze swoim paszportem z Ługańska zostanie zatrzymany na pierwszym blockpoście i skierowany do walczących po rosyjskiej stronie jednostek. – Nie mógł robić zdjęć na ulicy, bo to skończyłoby się dla niego katastrofą, ale regularnie relacjonował nam, co się dzieje w okupowanym mieście. W czasie pseudoreferendum musiał zmienić mieszkanie, wyłączył też telefon – opowiada Nikitenko. Ale za Husakowem stała sieć informatorów, którzy dokumentowali okupację: zniszczenia, grabieże, terror.

Dlaczego dziennikarze są dla Rosjan równie ważni jak politycy? Zdaniem Nikitenki wyjaśnienie jest bardzo proste: okupanci potrzebują nie tylko mięsa armatniego, ale również propagandowego wsparcia na tyłach, czegoś więcej niż łatwych do przejrzania manipulacji w pisanych anonimową ręką gazetach. A nikt nie da lepszego wsparcia niż rozpoznawalny, cieszący się dużym zaufaniem redaktor, na przykład taki jak Nikitenko. To dlatego na listach proskrypcyjnych dziennikarze znajdują się obok polityków i działaczy organizacji pozarządowych. Jest jeszcze kwestia uwagi, jaką Rosjanie przykładają do polityki informacyjnej: jednym z pierwszych działań po inwazji było wyłączenie ukraińskich kanałów telewizyjnych i zablokowanie ukraińskiego internetu.

Serhij Nikitenko: – Zadałem sobie w pewnym momencie pytanie, dla kogo pracujemy – czy dla naszych czytelników, którzy tam zostali, czy też dla świata nasłuchującego wieści z Chersonia. To drugie okazało się chyba istotniejsze, chociaż na okupowanych terenach wypełnialiśmy czarną dziurę komunikacyjną. Rosjanie zablokowali możliwość korzystania z ukraińskich źródeł informacji i czasami udawało się nam przeдрzeć z nieskłamanymi newsami do Chersonia przez Telegram.

Jak wyglądałyby losy Serhija, gdyby nie zdecydował się wyjechać? Reporterzy bez Granic dotarli do regionalnych dziennikarzy, którzy zostali na okupowanych terenach. Wasilij Hładki, dziennikarz z Chersonia, opisywał, jak przez cztery miesiące ukrywali się wraz z żoną w kolejnych mieszkaniach, udając w mediach społecznościowych, że wyjechali do Wrocławia. Hładki, żeby nie zostać rozpoznany, nie wychodził na ulicę, dokumentując jedynie sytuację w zajętym przez Rosjan mieście za pomocą tego, co znalazł w sieci. Po najściu uzbrojonych mężczyzn wyjechał, przedzierając się z żoną przez 40 blockpostów. Mniej szczęścia miała Olena, dziennikarka z Ługańska, której Rosjanie dali następujący wybór: współpraca, więzienie albo deportacja. Wybrała to pierwsze: każdego dnia przygotowywała trzy informacje o sukcesach rosyjskiej armii i entuzjastycznym stosunku miejscowej ludności do nowych władz. Również jej udało się uciec.

POZNAM SAMOTNEGO MĘŻCZYZNĘ

Wraz z wybuchem wojny życie dziennikarzy ukraińskich, wcześniej także nielatte z powodu niskich zarobków i znacznie wyższego niż w Polsce ryzyka zawodowego, skomplikowało się jeszcze bardziej. Nikitenko z dnia na dzień stracił wszystkich reklamodawców. NikWiesti straciły również źródło przychodów z wynajmowanych billboardów, które przejęły na potrzeby polityki informacyjnej władze. Świat tradycyjnych mediów rozsypał się zupełnie. Drukowana prasa straciła z dnia na dzień wszystko – drukarnie, zasięgi, czytelników, latami budowane łańcuchy dostaw.

Giennadij Czabanow jest założycielem grupy Center Media i redaktorem naczelnym rosyjskojęzycznego „Życia Odessy” oraz krajowych gazet dla emerytów i renci-



• Katerina Sereda przed ścianą z przykładami rosyjskiej propagandy FOT. JACEK TARAN

stów „Na Rencie”. 24 lutego ubiegłego roku musiał zaczynać biznes praktycznie od nowa. – Wydania krajowe drukowaliśmy w Kijowie, a Kijów był okrażony. Trwała wojna, ale przecież mieliśmy zobowiązania wobec naszych czytelników, którzy mieli podpisane umowy na prenumeraty. Przenieśliśmy więc część druku do Tarnopola. Poczta co tydzień dostarczała nam listę rejonów, do których może dostarczyć prasę. Cena papieru poszła do góry kilkukrotnie, więc musieliśmy zmniejszyć objętość. Nakłady błyskawicznie spadły i nawet nasi lokalni partnerzy nie chcieli rozwozić prasy wokół Odessy. Nie poddaliśmy się.

Wcześniej jednak Czabanow ze swoją redakcją wydali w Odessie dwa bezpłatne numery specjalne, w których podali najważniejsze informacje: adresy schronów, godziny pracy banków, zasady godzin policyjnej i zachowania w czasie bombardowań. Wyjaśniali to, co dzisiaj jest oczywistością, ale rok temu nią nie było, czyli rodzaje alarmów, podpowiadali, co powinno się znaleźć w bagażu podręcznym, przygotowanym na wypadek konieczności nagłej ucieczki.

Wiktoria Kuczurka, prezeska i współzałożycielka wydającej „Życie Odessy” grupy Center Media: – Okazało się, że mimo wojny nasi czytelnicy bardzo nas potrzebują. Część gazet adresujemy do seniorów, którzy byli kompletnie zagubieni i potrzebowali odpowiedzi na podstawowe pytania. Zapewniliśmy im wiedzę w najtrudniejszym momencie.

A potem, kiedy poczta zaczęła działać, do redakcji przy ulicy Goworowa 2 zaczęły spływać szerokim strumieniem listy. Kącik matrymonialny od roku pęka w szwach, a jego lektura mówi o stanie psychicznym ukraińskich seniorów więcej niż rozległe elaboraty. Igor z rejonu odeskiego pisze: „Jest mi bez ciebie tak samotnie. A ty – tęsknisz tak jak ja? Gdzie jesteś, moja czarująca Ukrainko, uczciwa, odpowiedzialna, z poczuciem humoru?”. Walentyna z Odessy (75 lat, waga 69 kg, wzrost – 150 cm) pisze: „Chcę poznać się z samotnym i porządnym mężczyzną, żeby być razem i podtrzymywać się wzajemnie w tych ciężkich czasach”.

Giennadij Czabanow: – Pewne rzeczy się nie zmieniły. Starsi ludzie nadal potrzebują programu telewizyjnego, przewodników po naszym skomplikowanym systemie emerytalno-rentowym, poradników zdrowotnych. Oni zdają sobie sprawę, że pod Bachmutem trwa krwawa walka, że mogą w każdej chwili stracić życie od wybuchu bomby czy rakiety, ale jednocześnie chcą wiedzieć, co zrobić, gdy zaczną boleć nogi.

TWARZE MIKOŁAJOWSKIEGO NAZIZMU

Z Kateriną i Olegiem idziemy na spacer po Mikołajowie. W centrum miasta mieszkania z kompletem szyb są rzadkością – fałszywe uderzeniowe od wybuchów rosyjskich pocisków wytłukły szkło, a na ich miejsce mieszkańcy powstawiali płyty OSB. Ci, którzy zostali, nie wiedzą, kiedy nadejdzie ko-

lejne uderzenie, na wszelki wypadek nie dzwonią więc po szklarza i spędzają dnie w pokojach oświetlonych wyłącznie światłem elektrycznym, o ile oczywiście jest prąd. Z kranów płynie słona woda – Rosjanie zniszczyli stację uzdatniania wody na Dnieprze, więc system wodociągowy opiera się na poborze z limanu, w którym wody Morza Czarnego mieszają się z rzeką Boh. Rury korodują, więc miasto jest rozkopane wszędzie i wzdłuż. Mimo że front odsunął się na linię Dniepru, dni mijają w oczekiwaniu na kolejne uderzenie. Oleg Dereniuhu pokazuje na asfalcie ślady po broni kasowej – są niemal niedostrzegalne i tylko poharatane odłamkami bloki bez szyb pokazują, do czego służy. Potem idziemy przed budynek administracji rządowej, w który 29 marca trafiła rakietą Kalibr, zabijając

Kącik matrymonialny odeskiej gazety pęka w szwach. Walentyna (75 lat, waga – 69 kg, wzrost – 150 cm) pisze: „Chcę poznać się z samotnym i porządnym mężczyzną, żeby być razem w tych ciężkich czasach”

37 urzędników i pozostawiając wyrwę, która ziele od parteru do ósmego piętra. Redakcja NikWiesti mieściła się w sąsiednim budynku i oboje woła nie myśleć, co stałoby się, gdyby wówczas byli na miejscu.

Oleg Dereniuhu: – Na początku wojny wyjechaliśmy, ja wróciłem pierwszy – czułem, że nie mogę pracować zdalnie, mimo że moje nazwisko jest na rosyjskich listach proskrypcyjnych już od 2014 roku. Była taka strona „Twarze mikołajowskiego nazizmu”, na której znalazłem się i ja, i wielu moich kolegów dziennikarzy. Zdjęcie, adres, numer paszportu.

Co się zmieniło? Dereniuhu i Sreda wskazują, że niektórzy reklamodawcy wrócili, ale sytuacja finansowa jest nadal bardzo trudna i bez zagranicznych fundacji byłoby im ciężko. Ale są i inne kwestie: na przykład wraz z początkiem wojny wyrosła im na Telegramie konkurencja w postaci anonimowego konta, które ogląda ponad 230 tysięcy subskrybentów. Dziennikarze nie wiedzą i nie chcą nawet spekulować, kto stoi za profilem, pokazują jednak, jak śmiertelnie niebezpieczna może być informacja o ataku bezrefleksyjnie wrzucona w sieć. – Trzeba dokumentować zniszczenia, ofiary, ludzkie tragedie, ale dokładne koordynaty i detaliczne fotografie mogą ułatwić życie wrogowi – tłumaczy Dereniuhu. – Zdjęcia rakiet, która chybiła celu, albo miejsc z infrastrukturą krytyczną są prezentem dla Rosjan, ale z drugiej strony naturalnym odruchem

dziennikarskim jest chęć poinformowania czytelników, że doszło do ataku, co oznacza, że stajemy przed wyborem: albo otwartym tekstem i jak najszybciej dokumentujemy wszystko, co się zdarzyło, albo stosujemy selekcję czy przynajmniej opóźniamy niektóre publikacje. NikWiesti wybrały bez wahania drugą drogę.

O konsekwencjach przekazywania treści na zasadach sprzed wojny boleśnie przekonał się Robert Dulmers, holenderski dziennikarz, który 3 kwietnia 2022 r. zamieścił na Twitterze nagranie wykonane chwilę po ataku raketowym na magazyny ropy w Odessie. Był to pierwszy tak mocny atak na miasto – łącznie w różnych jego punktach spadło sześć pocisków. Na trwającym 29 sekund filmie widać w dużej odległości słupy dymu i ogień. Lokalna administracja uznała jednak, że Dulmers naruszył zasady korespondencji wojennej. Dulmers opowiadał, że został zatrzymany przez trzech cywili, a jeden z nich przystawił mu do skroni pistolet, żądając wydania telefonu. Ostatecznie został uznany za persona non grata i ma zakaz wjazdu na terytorium Ukrainy do 2032 roku.

Katerina Sreda: – Wojna to dla nas wyzwanie nie tylko dlatego, że jeździmy na front albo do zniszczonych wiosek, relacjonując niewyobrażalne cierpienie i tragedie. Ale jest coś jeszcze: wojna sprawiła, że w jednym szeregu idziemy z ludźmi, których wcześniej opisywaliśmy bardzo krytycznie. Wojna stała się też wygodnym pretekstem, żeby nie informować dziennikarzy o tym, co nie powinno być ukryte. Od 13 lat zajmujemy się polityką. Jesteśmy dziennikarskim Watchdogiem, zadawaliśmy trudne pytania o korupcję, niezrealizowane obietnice, niejasne układy pomiędzy polityką i biznesem. Po 24 lutego znaleźliśmy się w sytuacji, w której krytyka polityków oznaczałaby, że mówimy tym samym głosem co rosyjska propaganda. Musieliśmy więc świadomie przeprowadzić transformację i skoncentrować się na problemach wojennych. Gdzie kupić insulinę, które apteki pracują, co z dostawami wody.

TWARZE ROSJANEK SKŁADAJĄCYCH RAKIETY

Na wojnie informacyjnej dziennikarze stosują najróżniejsze instrumenty. Ataki na infrastrukturę nie zniszczyły połączeń internetowych: to dzięki nim świat dowiaduje się błyskawicznie o zbrodniach popełnionych przez Rosjan, bombardowaniach i ofiarach, a każde kłamstwo można szybko zdementować.

Czasami wystarczy pomysłowość i umiejętność pracy na łatwo dostępnych źródłach. Do momentu wybuchu wojny kijowski kanał wideo Toronto TV słynął z pastiszy wiadomości. Po wybuchu wojny skoncentrował się na pracy informacyjnej i ma na swoim koncie duży sukces – dziennikarze, wykorzystując wyłącznie dostępne publicznie informacje, zbudowali wstrząsający materiał o Rosjankach, zatrudnionych przy produkcji rakiet w Jekaterynburgu. Dziennikarze zwrócili uwagę, że na wewnętrznych częściach pocisków, które spadły w Winnicy, Kijowie czy Charkowie na dzielnice mieszkaniowe, widnieją nazwiska pracowników nadzoru. Na pierwszy rzut oka poszukiwanie informacji o anonimowych ludziach z Rosji przypomina poszukiwanie igły w stogu siana. A jednak Toronto TV udało się zdemaskować tożsamość sześciu kobiet. – Pracowaliśmy nad materiałem trzy tygodnie, korzystając z portali społecznościowych i baz danych, które w skorumpowanej Rosji łatwo zdobyć – opowiada Anatolij Ostapenko z Toronto TV. Dziennikarze ujawnili ich twarze, hobby, wysokość zarobków, przyjaciół i zainteresowania. Wszystko po to, by zburzyć mit zwykłych Rosjan, którzy nie są zaangażowani w wojnę. – Na wszystkich rękach jest krew setek niewinnych ludzi, mieszkańców Winnicy, Charkowa, Kijowa, Zaporozża i innych miast, gdzie przyleciały wasze jebane rakiety – zwrócił się do nich w programie Ostapenko. – Jesteście zbrodniarzami wojennymi. Możecie uspokajać się, że nie naciskaliśmy

guzika i nie przyczynialiście się do śmierci dzieci, ale to wy swoimi rękami skrupulatnie sprawdzaliście każdy gwint i każdy zacisk, żeby rakietą uderzyła w blok albo przedszkole. Jak normalny człowiek może obejmować pieska albo przygotowywać jedzenie dla dziecka, wiedząc, że na jego rękach jest krew niewinnych ludzi i małych dzieci?

Ostapenko: – Przed wojną pracowałem w portalu Bihus.info, specjalizując się w dziennikarskich śledztwach ujawniających przypadki korupcji. Po 24 lutego te narzędzia okazały się bardzo przydatne do identyfikacji Rosjan, którzy biorą aktywny udział w wojnie.

ZA OKNEM WIOSNA

Podstawowy sprzęt do pracy w redakcjach ukraińskich to najróżniejsze stacje zasilania, nie tylko generatory. W Odessie i Mikołajowie dziennikarze są w stanie zapewnić elektryczność również dzięki stacjom ecoflow, ładowanym przez gniazdko w momentach, kiedy pojawia się prąd. W cenie są powerbanki i najróżniejsze ładowarki: na przykład na parapecie w pokoju Giennadija Czabanowa leży wymontowana ze skutera bateria, idealna, jak się okazuje, do ładowania telefonu. – Od kilku dni nie mieliśmy przerw w dostawach elektryczności, ale z pewnością wrócą – opowiada Czabanow. – Wtedy Odessa zaczyna brzmieć inaczej. Generatory warczą, brzęczą, szumią, w całym mieście słychać warkot. Dla nas ten sprzęt jest kwestią być albo nie być. Kiedy stoi na podwórku, przypinamy go na wszelki wypadek do rury, żeby nikomu nie przyszło do głowy go ukraść.

Równie ważne jest zasilanie finansowe. Oleg Dereniuha: – Najpierw zwróciliśmy się z prośbą o wsparcie do naszych czytelników. Zebraliśmy w ten sposób kilka tysięcy euro, ludzie przysyłali po 1 euro, po 2, wystarczyło na przetrwanie najtrudniejszego momentu. Ale potem pomyśleliśmy, że jest w tym coś niestosownego. W te dni, kiedy wszyscy dookoła wyciągali ostatnie pieniądze, żeby syn albo mąż na froncie miał ciepłe buty, dobre wyposażenie i coś do jedzenia, my zbieraliśmy pieniądze na dosyć bezpieczną działalność. Potem rynek reklamowy odrobinę odżył, ale nie na tyle, żebyśmy mogli na nim w całości się oprzeć. Uratowało nas wsparcie funduszy dziennikarskich, ukraińskich i zagranicznych. Muszę tu podkreślić, że w pierwszym okresie wojny nasi dziennikarze w ogóle nie pytali o wynagrodzenie.

Giennadij Czabanow: – W pierwsze dni wojny nasza spółka przekazała na rzecz armii 100 tysięcy hrywien. Po pierwsze, czuliśmy, że to nasz obowiązek i że priorytetem jest armia. Po drugie, nawet nie wiedzieliśmy, jak potoczą się losy wydawanych przez nas gazet i czy będą jeszcze jakiegokolwiek gazety.

Są momenty, kiedy świat wygląda prawie normalnie. Późnym popołudniem siedzimy w gabinecie Oleny Kwaszy, wydawcy w Suspilne Odesa. To regionalny oddział jednej z kluczowych dla polityki informacyjnej ukraińskich władz stacji. Suspilne ze swoją siecią współpracowników i redakcji lo-

kalnych jest wszędzie, a przynajmniej wszędzie jest w stanie bardzo szybko dotrzeć. Za oknem wczesna wiosna, noc w odwrocie. Rosjanom nie udało się zniszczyć życia w Odessie – ludzie wygrzewają się w słabym jeszcze słońcu, w teatrze wystawiają długo wyczekiwaną premierę „Karpackiego westernu”. Tylko nad morzem nie wolno spacerować, bo wszystko zaminowane – groźba desantu jest nadal realna.

– Na początku wojny mieliśmy przygotowane bardzo różne warianty, łącznie z takim, że rozdajemy ludziom sprzęt i wysyłamy do domów – wspomina Olena Kwasza. – Miejsce, w którym znajduje się nasza redakcja, to żadna tajemnica, przyciąga rosyjską uwagę jak magnes. Postanowiliśmy jednak, że zostaniemy na miejscu. Siedzimy tutaj i nigdzie nie zamierzamy się ruszać.

Wychodzimy z budynku, zadzieram głowę i już rozumiem, dlaczego Olena mówi o magnesie przyciągającym Rosjan. Nad budynkami Suspilnego góruje wieża telewizyjna.

Takich wież w całym kraju Rosjanie zniszczyli dotychczas 16.

BIERZEMY UDZIAŁ W WOJNIE, NAWET JEŚLI NIE MAMY KARABINÓW

Bilans ukraińskiego dziennikarstwa po roku wojny wygląda tak: według najświeższych danych Reporterów bez Granic przestało działać 217 ukraińskich spółek medialnych. Bez pracy w zawodzie jest w tej chwili około 15 proc. dziennikarzy. Na terenie kraju zginęło 43 dziennikarzy, w tym ośmiu w trakcie wykonywania obowiązków służbowych. 14 przepadło bez wieści, 21 trafiło do rosyjskich aresztów. Duże ukraińskie redakcje są również atakowane przez rosyjskich hakerów.

Giennadij Czabanow ponad rok po wybuchu wojny tłumaczy: – Nasi koledzy redakcyjni z własnej woli walczą na froncie. Dzieci naszych pracowników walczą na froncie. Zbieramy pieniądze, wysyłamy paczki, pomagamy zdobyć niezbędne wyposażenie. My również bierzemy udział w wojnie, nawet jeśli nie mamy karabinów.

Serhij Nikitenko nigdy nie zapomni nocy, kiedy w centrum właśnie wyzwolonego Chersonia zebrały się tysiące ludzi. – Żyli bez wody, elektryczności, gazu, byli potwornie umęczeni, a mimo to mnóstwo ludzi mnie poznało. Podchodzili, dziękowali. Chodzi nie o moje ego, tylko o siłę niezależnej od okupanta informacji – mówi.

Oleg Dereniuha patrzy na centrum Mikołajowa, w którym trudno znaleźć mieszkanie z kompletem szyb, na ślady wybuchów i zrujnowany budynek administracji. I tłumaczy, że w Ukrainie od roku nie tylko biją się żołnierze na froncie, ale również trwa krwawa walka informacyjna, walka na słowa i zasięgi.

I prosi, żeby nie zapominać, że jest to walka o wszystko. ●

Dziękuję Oksanie Browko z Asocjacji Niezależnych Regionalnych Wydawców Ukrainy za pomoc

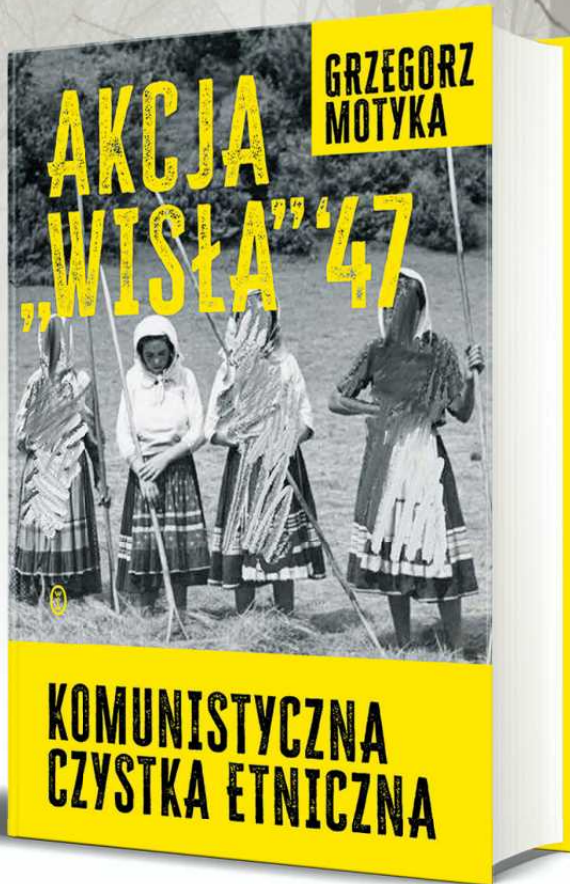
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki „Akcja »Wisła« '47. Komunistyczna czystka etniczna” Grzegorza Motyki



Szczere i uczciwe rozliczenie bolesnej karty w historii polsko-ukraińskiej. Książka napisana bez stereotypów i uprzedzeń, bez wybielania żadnej ze stron, ale i bez szukania złotego środka tam, gdzie go nie ma. Autor jest wybitnym specjalistą w dziedzinie historii najnowszej Kresów Wschodnich.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Akcja »Wisła« '47. Komunistyczna czystka etniczna” Grzegorza Motyki oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

AWK23GM

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywować dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytać na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 25.03.2023 r. do 26.03.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE 34231784

FOT. JACEK TARAN



• Giennadij Czabanow, redaktor naczelny "Życia Odessy" podczas zebrania redakcyjnego

34 lata temu „Gazeta Wyborcza” była głosem obywateli i dzisiaj poczuwamy się do kontynuowania tej samej ważnej roli społecznej – mówił Jarosław Kurski, pierwszy zastępca redaktora naczelnego „Wyborczej”, otwierając debatę zorganizowaną z fundacją Forum Długiego Stołu.

Fundacja sprawdziła, jaki wariant byłby optymalny dla demokratycznej opozycji, gdyby wybory parlamentarne odbywały się dziś. W internetowej zbiorce, którą „Wyborcza” wspierała, zbierano blisko 90 tys. zł na sondaż Kantar Public. Przepytano aż 4 tys. respondentów. Do tej pory opozycja mogła być pewna zwycięstwa bez względu na konfigurację – razem czy osobno. Ale ten sondaż pokazuje, że poparcie dla KO, PL 2050, PSL i Lewicy osłabło na tyle, że startując oddzielnie, nie będą w stanie pokonać PiS (z Konfederacją, która zyskuje). Tylko przy jednej liście – KO, Lewicy, PL 2050 i PSL – mogą liczyć na większość w Sejmie.

Oto wybrane głosy z debaty, a całość można przeczytać na Wyborcza.pl.

Dr Robert Sobiech
Collegium Civitas

– Do polityków: jeśli tegoroczne wybory opozycja przegra, to nadzieja, że wygra za pięć lat, może się okazać złudna. W 2015 roku partie opozycyjne wygrywały z PiS o 1,5 miliona głosów, a PiS uzyskał większość bezwzględną w Sejmie. W 2019 r. partie opozycyjne dostały o 800 tysięcy głosów więcej. I znów to samo. Teraz partie opozycyjne mogą uzyskać o 1,2 miliona głosów więcej, ale nie będą rządzić [jeśli nie pójdą razem].

Wyniki innego badania, przeprowadzonego przez Sławomira Sierakowskiego i Przemysława Sadurę, też pokazują, że większość wyborców chce wspólnej listy. To samo wynika z lektury badań CBOS. Jak przymusić polityków, żeby też tego chcieli?

Prof. Ireneusz Krzemiński
socjolog, UW

– Można mieć uwagi co do wyniku PSL [w sondażu] albo czy Konfederacja na pewno stworzy koalicję z PiS. Ale nie ma to znaczenia dla podstawowego wniosku: jedna lista daje większą pewność zwycięstwa niż przy innych kombinacjach. Może być jedna lista, ale musi być wspólna wizja Polski. Chęć pobicia PiS jest bardzo ważnym, jednoczącym elementem, ale ma aspekt negatywny. „Solidarność” była wielkim ruchem dzięki temu, że chciała zbudować coś nowego, a nie tylko pobić komunistów. To wy, szanowni politycy, musicie powiedzieć, o jakie rzeczy chodzi.

Sławomir Sierakowski
socjolog, „Krytyka Polityczna”

– Apeluję do opozycji o jedność. Wyborcy czterech partii opozycji nawzajem się lubią, nie odstraszaają się. Wynik Konfederacji? Już w poprzednich badaniach wyrażaliśmy obawę, że ktoś taki się pojawi, próbując zbić kapitał polityczny na kryzysie uchodźczym.

Prof. Przemysław Sadura
socjolog, UW

– Opozycja nie walczy o wyborców PiS, bo oni zagłosują na PiS albo zostaną w domu. I w drugą stronę, elektorat opozycji też nie zagłosuje na PiS. Partie opozycji, startując osobno, walczą o ten sam elektorat. A po ostatnich kampaniach wiemy, jak brutal-

na może być ta rywalizacja, np. wyborcy Polski 2050 zniechęceni konfliktem w ramach opozycji w czasie kampanii wyborczej mogą zostać w domu. Jedna lista eliminuje te konflikty. Nawet elektorat lewicy, najbardziej sceptyczny wobec jednej listy, w większości ją popiera.

Wiemy, czego Polacy chcą, żyjemy w czasach populizmu. PiS od dawna daje Polakom to, czego oni chcą. Nieważne, czy to ma sens: likwidacja gimnazjów, wycofanie sześciolatków ze szkół, niższe podatki i większe wydatki. Populiści żerują na różnicy między tym, czego ludzie chcą, a ich interesem.

Wyniki sondażu pokazują, że to, czego ludzie chcą, jest jednocześnie w ich in-

Opozycja może realnie myśleć o przejęciu władzy nie dlatego, że napłynęły do niej miliony nowych zwolenników, ale dlatego, że straciło ich PiS. Demobilizacja elektoratu PiS okazuje się ważniejsza niż mobilizacja zwolenników opozycji.

Prof. Radosław Markowski
socjolog, politolog, Uniwersytet SWPS

– Elektorat PiS, ten słabo wykształcony, częściowo wykluczony, chce czterech oddzielnych list partii opozycyjnych. Panicznie się boi jednej listy. No przepraszam, panie i panowie politycy, jeżeli elektorat PiS to czyta, to czego wy nie rozumiecie?

Deбата po sondażu

ELEKTORAT PIS BOI SIĘ WSPÓLNEJ LISTY

Przywódcy partii demokratycznych
tym mniej tworzą koalicję, im mniej wierzą,
że możliwa jest zmiana reżimu

teresie. Dlaczego nie mają tego dostać od opozycji?

Dr Anna Materska-Sosnowska
politolożka, UW

– Więcej ludzi glosuje, kiedy nie ma wspólnej listy. Nie wiem, co miałoby się stać, aby interes elektoratów i samych partii umożliwił wspólną listę np. Lewicy i PO. Dane pokazują, że nie byłoby to opłacalne. Zastanówmy się więc, co zrobić, aby przy bardzo nierównych zasadach gry wygrać wybory. Sondaż pokazuje pewien optymizm nawet przy braku wspólnej listy, która moim zdaniem dziś jest bardzo mało realna.

Wiem, że przy więcej niż jednej liście jest jeszcze pole do mobilizacji, można uzyskać więcej. Pytanie, jakimi hasłami i jakim przekazem politycy chcą zmobilizować wyborców, którzy dzisiaj zostają w domu.

Prof. Rafał Chwedoruk
politolog, UW

– Z sondażu wynika, że najmniej odporni na dynamikę zmian są PSL i Polska 2050.

Trzeba było od roku, dwóch przekonywać społeczeństwo do jednej listy. Zrobiona technicznie i w ostatniej chwili jedna lista może się skończyć porażką.

Agnieszka Holland, reżyserka

– Nie dziwny się spadkowi poparcia dla jednej listy w ciągu ostatnich miesięcy, bo politycy zrobili wszystko przy pomocy publicystów i profesorów, aby ludzie się zniechęcili. Wszyscy mówią, że będzie źle, nie wyjdzie. Skoro po tych miesiącach negatywnego dudnienia tylu ludzi wciąż w to wierzy, to coś to oznacza. Trzeba proponować wspólny blok, Przyszłość i Demokracja czy Bezpieczeństwo i Demokracja, aby ludzie odpowiedzieli: tak, tego właśnie chcemy! Trzeba zorganizować taką wizję przyszłości, aby wyborcy uwierzyli, że wygramy i będzie po co wygrać.

Prof. Ewa Pietrzyk-Zieniewicz
politolożka, UW

– To, co politycy wyprawiają, zapamiętujemy jak anegdotę w danej chwili. Merytoryczne kwestie stają się nieistotne. Nie jest dobrze, jak scena polityczna zaczyna

być kabaretem. Zwłaszcza liderzy mniejszych ugrupowań mówią, że oni nie będą się z nikim konsolidować, bo mieliby bunt na pokładzie, bo chodzi o dostęp do miejsc biorących.

Prof. Wojciech Sadurski
prawnik, filozof, politolog, Uniwersytet w Sydney

– Swego czasu robiłem badania o tzw. konkurencyjnym autorytaryzmie. Im większa frekwencja wyborcza w takich państwach, tym większa szansa dla sukcesu demokratów. Korelacja nie była specjalnie mocna, ale była. Przywódcy partii demokratycznych tym mniej są skłonni wchodzić we wspólną listę, czyli tworzyć koalicję, im mniej wierzą i mniej są przekonani, że możliwa jest zmiana reżimu.

Sukcesem demokratów w państwach słabej demokracji jest wspólna lista opozycyjna. Ten jeden czynnik przeważa nad wszystkim innym. Partie opozycyjne, wchodząc w koalicję, dają społeczeństwu sygnał sprawczości – nie będziemy się kłócić, gdy przejmijemy władzę. A to osłabia tendencję władzy autorytarnej do stosowania zasady „dziel i rządź”. Bo skoro jest jedna koalicja, to trudniej rozgrywać partie między sobą. Skłania to też istotne organy władzy, zwłaszcza służby, żeby nie stosować represji, podsłuchów, bo jak opozycja wygra wybory, to będą musiały z nią żyć.

Prof. Jacek Kurczewski
wicemarszałek Sejmu I kadencji

– 30 lat mija, kiedy zapytany w Sejmie I kadencji, który właśnie dogasał, co robić, odpowiedziałem: tworzyć koalicję wszystkich przeciwko SLD – od Niesiołowskiego z ZCHN aż po Unię Pracy. Nikt się nie zgodził [we wrześniu '93 wygrał SLD i powstała koalicja SLD-PSL].

Dzisiejszy sondaż obywatelski to bardzo porządne badania, ale pewnie trzeba rzeczywiście zebrać następne kilkadziesiąt tysięcy złotych na jego powtórzenie, aby móc pokazać politykom, co grozi, jeżeli się nie dogadają.

W wyborach 1989 r. ważne były didaskalia. Na przykład jeden plakat, jeden list, wspólne zdjęcie. Nie wszystkie te pomysły trzeba omawiać publicznie, ale trzeba nad tym pracować.

Dr Andrzej Machowski
psycholog, autor metodologii sondażu obywatelskiego, fundacja Forum Długiego Stołu

– Dlaczego nie był badany wariant, który się wydaje najbardziej prawdopodobny, czyli koalicja, blok wyborczy Polska 2050 z PSL, a Lewica i KO osobno? Bo mieliśmy finansowe możliwości zrobienia badania na czterech próbach, czyli mogliśmy zbadać cztery grupy. Dwie grupy, czyli dwa warianty, są oczywiste, bo są brzegowe. Czyli to jest wariant startu oddzielnego, bo jest punktem odniesienia, i wariant jednej wielkiej listy. Chcieliśmy w ramach tych czterech możliwości skonsultować to, jak to widzą partie polityczne.

Gdy spotkaliśmy się z przedstawicielami Polski 2050, dostaliśmy odpowiedź, że jeżeli nie zbadamy wariantu, który według Polski 2050 jest najlepszym wariantem, czyli wariant dwóch bloków, Polska 2050 z PSL, Koalicja Obywatelska z Lewicą, to Polska 2050 od razu skrytykuje ten sondaż jako zrobiony na zamówienie.

Jakub Karyś, KOD

– Gdy słuchałem wypowiedzi polityków, to chwilami czułem się jak w podstawówce i zastanawiałem się, kto komu co powiedział albo kto komu zabrał lizaka. Czy tak trudno uisnąć przy jednym stole i poważnie porozmawiać o tym, jak będzie wyglądać Polska w przyszłym roku?

Prof. Wawrzyniec Konarski
politolog, Akademia Finansów
i Biznesu „Vistula”

– To bardzo ważny sondaż. W czasie mojej pracy w UW, potem w SWPS, wielokrotnie zastanawialiśmy się, czy sondaże są informacją, czy manipulacją. Jeśli jest ich za dużo, to są manipulacją, jeśli jest ich za mało, a widać, że klasa polityczna nie bardzo chce ich słuchać, no to są ewidentnie informacją.

Ten sondaż z pewnością jest informacją.

Marcin Świąćicki
b. poseł i prezydent Warszawy

– To badanie pokazuje, że [przy wspólnej liście] straty są mniejsze niż zyski, jakie daje D’Hondt. Przestańcie, kochani liderzy, pytać się swojego aparatu partyjnego. W sondażu obywatelskim macie odpowiedź na to, co mówią miliony wyborców.

Paweł Sito, dziennikarz

– Nic się nie zmieni, jeśli nie będziemy bardziej pogodni, jeśli nie podejdziemy na większym luzie. Dziś we wszystkich informacjach było, że w trzech wariantach przegrywamy, czyli tragedia. A ja powiedziałem mojej żonie tak: posłuchaj, 245 posłów to jest wynik opozycji w nowym Sejmie przy wspólnej liście, a PiS spada 60 mandatów, czyli 60 osób nie będzie chronionych immunitetem.

Zofia Sanejko, KOD Warszawa

– Apeluję do polityków o to, że bym miała wolne wybory. Nie będą równe, to wiemy, ale powiem wam, dlaczego one nie będą wolne, jeśli nie będzie jednej listy. Nie chcę być w sytuacji, w której tuż przed wyborami będę musiała przeliczać w Excelu i zastanawiać się, co tu zrobić, żeby nie zmarnować swojego głosu.

Mirostław Michalski, KOD Łódź

– Przewodniczę łódzkiemu regionowi KOD od stycznia 2016 r. Udało nam się w wyborach samorządowych przekonać polityków łódzkich z każdego z ugrupowań do wystartowania w jednym Komitecie, z jedną listą, po to żeby pokonać PiS w Łodzi. Prezydent Hanna Zdanowska uzyskała 70 proc., a radni PiS stracili 50 proc. w radzie miasta. Tak działa jedna lista.

Iwona Wyszogrodzka, aktywistka

– Jestem wyborczynią lewicy. Mam sondaż, na który bardzo długo czekaliśmy. Nie mówmy, że to tylko jeden z sondaży, bo on jest największym z tych, jakie do tej pory przeprowadzono. Jeżeli jedna trzecia wyborców mojej własnej partii śmieje się z wariantu wspólnej listy, to oznacza, że mamy dużo do zrobienia.

Rafał Kalukin
dziennikarz „Polityki”

– Wcześniej nie byłem patriotą wielkiej wspólnej listy, ale to badanie mnie do niej przekonało. Mam obawy co do sposobu perswazji wobec oponentów.

Spór o wspólną listę to emanacja głębokiego konfliktu, który dzieli polską opozycję od 2015 r.

On się ujawnia pod różnymi postaciami: symetryści/niesymetryści itp., a fundamentem sporu jest stosunek do rządów PO i szerzej pojętego dziedzictwa III RP.

To spór głęboko metapolityczny, nie da się go rozbroić w prosty sposób. Obawiam, że to badanie zostanie zinterpretowane, co już zresztą słyszałem, tak: znów nas zaganiają, „Gazeta Wyborcza”, Tusk, Balcerowicz, stary establishment.

Istotna jest kwestia właściwego skalibrowania dialogu. Czy wspólna lista jest dzisiaj wykluczona? Emocjonalnie wydaje mi się, że tak, ale może to da się rozbroić.

Najsilniejszy partner w tym kwartecie powinien przejść do inicjatywy. Dzisiaj mamy Donalda Tuska, który mając takie badanie, jakby utwardza dawny komunikat: chodźcie do mnie. Ale dla partnerów to nie jest równa relacja, przypominam o głębokim podziale pokoleniowym, emocjonalnym.

Platforma jako główny entuzjasta wspólnej listy, jako najsilniejszy partner powinna zaproponować w ciszy konkretne warunki integracji. Najlepiej, jakby Platforma się troszeczkę posunęła, żeby ci partnerzy dostali ciut więcej, niż im dają dzisiejsze rozkłady – dwa mandaty, trzy mandaty, nie więcej. Ale to stworzy zupełnie inną sytuację. ●

Not. Waldemar Paś

● ● ●

W debacie uczestniczyli Andrzej Halicki z PO, Jacek Kozłowski z PL 2050, Miłosz Motyka z PSL oraz Paulina Piechna-Więckiewicz z Lewicy. Można różnie oceniać ich wypowiedzi na temat tego, czy partie się dogadają, ale przynajmniej nikt nie powiedział „nie”. W trakcie spotkania Jacek Kozłowski złagodził nawet swoje stanowisko. Wypowiedzi polityków można obejrzeć na Wyborcza.pl

Liderzy
mniejszych
ugrupowań
mówią, że nie
będą się z nikim
konsolidować,
bo mieliby bunt
na pokładzie

CASA NOSTRA

Wino w Rzymie z Mussolinim

Kobieta, Żydówka, lesbijka. W końcu jest dla nas jakaś nadzieja.

Jarosław Mikołajewski

Przeglądałem włoską prasę z dni, kiedy byłem zajęty, i znajduję podobne informacje, z podobnego czasu.

Po pierwsze – uniewinniono młodą kobietę, która miała być skazana za bluźkę z napisem „Auschwitzland”.

Po drugie – podczas spektaklu dla szkół w Mediolanie, kiedy aktorka zaczęła wymieniać ze sceny nazwiska ofiar Shoah, jeden z profesorów, którzy towarzyszyli młodzieży, wstał i zaczął krzyczeć, że to nieprawda, że liczby są przesadzone, że to nie jest historia, tylko ideologia. Aktorka powiedziała, że to jednak jest historia, a pozostali nauczyciele złożyli na kolegę doniesienie.

Po trzecie – w Turynie jedenastolatek przyszedł na urodziny kolegi w kipiie i usłyszał: „Szkoda, że nie żyjemy w innych czasach, moglibyśmy cię spalić”.

Po czwarte – w rzymskim barze na wystawie stoją butelki wina z etykietą, na której Benito Mussolini wyciąga rękę do „pozdrowienia rzymskiego”.

●

W mijającym tygodniu byłem we Włoszech dwa razy, w Wenecji i Rzymie. I znów rozgrywa się na moich oczach i w stosunku do mnie niezawodny spektakl serdecznej uprzejmości, rozmowności, inteligentnego żartu. Czy więc coś się zmieniło? Pytam nowych znajomych, czy zwycięstwo prawicy, także postfaszystowskiej, nie ośmiela do ksenofobicznych zachowań. Nie rozumiem, co mam na myśli. Ich ciekawi i dziwi, dlaczego Ukraińcy nie chcą skorzystać z chińskiej mediacji z Rosją.

Jest pierwszy dzień wiosny, w towarzystwie europejskich poetów na Dzień Poezji czytamy wiersze w Instytucie Goethego. Ukraina jest obecna w dedykacjach i poezji. Jest też ukraińska poetka. Jest słońce, które – jak za Dantego – ośmiela do nowych myśli, buduje nadzieję.

Dobrze mi jest w tym słońcu nad Adriatykiem i Tybrem. Postanawiam zastanowić się niebawem, czy z moimi dobrymi Włochami nie dzieje się aby coś złego. Pytam przyjaciela o nową ważną polityczkę, o której wiele się mówi – o Elly Schlein, nową szefową Partii Demokratycznej. Anty-Giorgię Meloni. „Kobieta, Żydówka, lesbijka – odpowiada Carlo. – Nie może być lepiej. W końcu jest dla nas jakaś nadzieja”. ●



LETNIE BRZMIENIA 2023

babie lato PROJEKT SPECJALNY

NATALIA KUKULSKA
MARGARET • MERY SPOLSKY BOVSKA • ZALIA MROZU
ZAŁEWSKI ŚPIEWA NIEMENA
VITO BAMBINO
NOSOWSKA
KACPERCZYK
KAŚKA SOCHACKA
BRODKA
LEMON
SZCZYL
THE DUMPLINGS
NATALIA PRZYBYSZ
JUCHO
NATALIA SZROEDER
SMOLIK // KEV FOX
DARIA ZE ŚLĄSKA
BARTEK KRÓLIK
TYNSKY
FAUSTYNA MACIEJCZUK
IGNACY
PAULA ROMA
AREK KŁUSOWSKI
RUBENS
KARAŚ/ROGUCKI
ROSALIE.
ARS LATRANS ORCHESTRA
WALUŚKRAKSAKRYZYS

WIĘCEJ WKRÓTCE

SPRAWDŹ, KTO ZAGRA W TWOIM MIEŚCIE: WWW.LETNIEBRZMIENIA.PL

REKLAMA 34242218

WIEŚ GWIZDZE

Bunt na wsi jest na wyciągnięcie ręki, ale na razie każdy idzie osobno

Krystyna Naszkowska

W alka o głosy wsi już się rozpoczęła. Wygląda to np. tak: do wsi przyjeżdżają działacze PSL i tłumaczą rolnikom, że PiS ich oszukuje, bo w tym roku wbrew rządowej propagandzie dostaną mniej dopłaty do hektara – rok temu było to 190 euro, a w tym roku tylko 117 euro na każdy uprawiany hektar. Różnica szokująca, rolnicy są wstrząśnięci.

Ale wkrótce po ludowcach na tę samą wieś przyjeżdżają działacze PiS z własnym przekazem – opowieści PSL to kłamstwa, brednie wyssane z palca, bo dopłaty będą większe, a nie mniejsze. Dlaczego? Bo rządzi w Polsce Prawo i Sprawiedliwość. To prawda, że Komisja Europejska w przyjętej na najbliższe siedem lat polityce rolnej, poczynawszy od stycznia 2023 r., zmniejszyła dopłaty do hektara, ale „dobry rząd na trudne czasy” wyrówna i jeszcze dołoży. PiS udaje tu dobrego pana, ale nie mówi, jakim cudem wyrówna dopłaty. A pomysł jest katastrofalny – otóż zabierze część funduszy unijnych z drugiego filaru, czyli z puli pieniędzy przeznaczonych na rozwój i modernizację gospodarstw, i przesunie na dopłaty.

WYGWIZDANY MINISTER KOWALCZYK

Zwykle siedmioletni budżet na takie działania dla naszego rolnictwa wynosił ponad 1 mld euro, teraz po okrojeniu przez PiS zostanie 400 mln, mamy więc spadek blisko trzykrotny. Dla rządu to dodatkowa korzyść, gdyż do unijnych funduszy na modernizację musi dokładać z budżetu krajowego, np. na każdy tysiąc euro dla rolnika z Unii budżet państwa ma dołożyć drugi tysiąc. Jeśli jednak przesunie te pieniądze na dopłaty, to niczego nie dokłada. Korzyść podwójna: rolnicy nie będą krzyczyć, że zmniejszono im dopłaty, a rząd nie musi się martwić o swoje finanse. A to, że skutki dla rozwoju branży rolnej tak bardzo pozabawionej środków na inwestycje odbijają się czkawką na całej gospodarce, to już rządzących nie obchodzi. Byłe do wyborów.

Bo dopiero po wyborach, późną jesienią, na początku grudnia, do rolników zaczną spływać pełne dopłaty i wtedy wreszcie się zorientują, jak pięknie ich mamiono. Bowiem mimo przelewania funduszy z jednego filaru do drugie-

go i tak wielu z nich wcale dopłat większych nie dostanie. Dostaną ci, którzy wprowadzą ekoschematy, a z tym będzie problem. Ekspertki spodziewają się, że nawet połowa rolników nie zdoła ich wprowadzić, a więc dostanie tylko po 117 euro do hektara.

Na razie niektórzy mieszkańcy wsi nadal wierzą rządzącym. Wciąż widzą w PiS siłę, która będzie ich bronić przed szalonymi ekologami, którzy chcą im narzucić nowe zasady uprawy ziemi, przed tymi, którzy chcą likwidować produkcję zwierzęcą, a nawet mleczarską. Ale przybywa rozgorączkonych i niezadowolonych z tych rządów. Na wsi rośnie złość. Najbardziej widocznym jej przejawem było starcie rolników ze stowarzyszenia Oszukana Wieś z ministrem rolnictwa, a zarazem wicepremierem w rządzie PiS Henrykiem Kowalczykiem. Minister jak co roku każdy z szefów resortu przyjechał na targi maszyn rolniczych do Kielc. Miało być rutynowe zwiedzanie targów, oglądanie maszyn, przyjacielskie pogaduszki z wystawcami. Zamiast tego Kowalczyk usłyszał gwizdy, oskarżenia o kłamstwa i oszustwa, krzyki: „Spieprzaj, dziadu”. Doszło nawet do przepychanek z protestującymi rolnikami i ministra ewakuowała policja.

Rząd nie wprowadził pomysłu rolników, Agrounii i PSL, czyli pobierania kaucji od importera na wiejdzie ukraińskiego zboża do Polski, i jej zwrotu przy wyjeździe z porcie w Gdyni

UKRAIŃSKIE ZIARNO UWIERA

Stowarzyszenie Oszukana Wieś nie wzięło się znikąd. To oddolna inicjatywa rolników z Lubelszczyzny, wściekłych na rząd za brak reakcji na to, co obecnie dzieje się na wsi. Jak twierdzi jeden z organizatorów stowarzyszenia Wiesław Gryn, do Oszukanej Wsi należą byli już zwolennicy PiS, rolnicy popierający PSL i całkowicie apolityczni. Przyjechali do Kielc, by pokazać ministrowi, jak bardzo są dziś zdeterminowani, by zmienić obecną władzę, bo na wsi w każdej niemal dziedzinie produkcji dzieje się dziś bardzo źle. Zaczęło się od kłopotów ze sprzedażą zboża jeszcze jesienią ubiegłego roku. Minister Henryk Kowalczyk we wrześniu zaapelował do rolników, by swojego zboża nie sprzedawali, bo będzie drożało, lepiej je więc przetrzymać

i więcej zarobić. Stało się odwrotnie, nie zdrożało, ale staniało. Zboże staniało, za to koszty produkcji poszły w górę – tylko w ciągu ostatniego roku nawozy podrożały trzykrotnie.

A to wszystko z powodu niekontrolowanego importu ziarna z Ukrainy. Miało tylko przejeżdżać przez Polskę do portu w Gdyni i stamtąd trafiać na statki wywożące je do Afryki czy Azji, tymczasem ponieważ nie ma żadnych skutecznych mechanizmów kontrolnych, część tego zboża zostaje w kraju. Zdaniem protestujących rolników nawet 90 proc. Rząd nie wprowadził pomysłu rolników, Agrounii i PSL, czyli pobierania kaucji od importera na wiejdzie zboża do Polski, np. 1 tys. zł od tony pszenicy, i jej zwrotu przy wyjeździe w porcie w Gdyni. Tego nie zrobiono i trudno wytłumaczyć dlaczego. Napływ ukraińskiego zboża spowodował nie tylko spadek cen, ale też zapchanie magazynów. Teraz kiedy nawet zdesperowany rolnik godzi się na sprzedaż po cenach poniżej swoich kosztów produkcji, to i tak ma kłopoty ze zbytem, bo mało jest chętnych do kupna. I im bliżej nowych zbiorów, tym sytuacja będzie trudniejsza, a napięcie na wsi będzie rosło. Po kilku miesiącach pomruków wsi i wygwizdaniu go przez rolników na targach w Kielcach minister Kowalczyk zgłosił swój pomysł rozwiązania problemu – plombowanie wagonów ze zbożem po stronie ukraińskiej. Obiecuje też rolnikom jakieś rekompensaty do cen zboża, tylko czeka na zgodę Brukseli. Jednak żadna zgoda nie jest tu potrzebna, bowiem w czasie pandemii Komisja Europejska wydała rozporządzenie, które zezwala na taką pomoc.

Zboża były zapalnikiem. Do tego dochodzi bardzo trudna sytuacja hodowców świń. Przy obecnych kosztach produkcji ta hodowla staje się nieopłacalna. W ciągu roku już kilkadziesiąt tysięcy gospodarstw zrezygnowało z hodowli. W tym roku do niezadowolonych dołączyli hodowcy krów mlecznych – ceny skupu mleka lecą na łeb na szyję.

LESZEK MILLER ODSTRASZA

Bunt na wsi jest na wyciągnięcie ręki, ale na razie każdy idzie osobno – osobno „Solidarność” RI, Agrounia, PSL, a teraz też stowarzyszenie Oszukana Wieś. Do protestów próbuje się podpiąć Konfederacja.

Im większa złość na rząd, tym większa szansa dla opozycji na wygranie wyborów. Jest już prawie przesądzone, że PSL w tych wyborach wystartuje razem z Polską 2050. Do Wielkanocy liderzy obu partii powinni to ogłosić. Potem ludowcy, jak mówią nieoficjalnie, będą oczekiwali na wyraźną zachętę ze strony Tuska, by podpisać trójporozumienie. Bez pośpiechu, im później to nastąpi, tym gorzej dla PiS, liczy się tu brak czasu na reakcję rządzących.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Andrzej Bursa*

Liryka Rudolfa Hoessa

Rudolf Hoess, komendant oświęcimskiego obozu śmierci, faszystowski rycerz bez skazy, w chwilach szczególnego podniecenia nerwowego siadał wieczorem na konia i galopował wokół obozu. Zdanie z pamiętnika Hoessa: „Uczucie nienawiści jest mi w ogóle obce”.

*Kiedy czuję się zmęczony pracą
Gwiazdy obóz otoczą kolczaste
Pochylony w skrzypiącej kulbace
Pędzę konno chorowitym laskiem*

*Czując ciepłą śledzionę na pięcie
Czując ciosy gałęzi suchych
Żywy człowiek z żywym zwierzęciem
W pełzających ciężko dymach trupich*

*W trupi dym w ostry gąszcz w duszny piach
Mocny Niemiec w sukno w skórę w stal okuty
Tam nienawiść ból i strach
Po imieniu dzwonią na mnie w druty*

*Jutro znów pracowicie palili będą
Trupie buty segregował trupie zęby
Więc dziś niech mój ogier staje dęba
Niech zahustam się jak diabeł na popregach*

Syn pastora w najgorętszych piekła kręgach

1955



***Andrzej Bursa** – 1932-57, zmarły przedwcześnie poeta i prozaik, zaliczany do tzw. poetów wyklętych. W jego wierszach obecne są antyestetyzm i brutalny naturalizm, ironia i prowokacyjny cynizm, a jednocześnie ukryty liryzm. Wiersz za antologią Bohdana Drozdowskiego i Bohdana Urbankowskiego „Od Staffa do Wojaczka. Poezja polska 1939-1988”, t. 2, Wydawnictwo Łódzkie 1991.

Na szczytach władzy w PSL nie ma praktycznie nikogo przeciwko takiemu porozumieniu. Wypowieź posła Marka Sawickiego, który na pytanie dziennikarzy odpowiedział, że lepiej, by Tusk nie kandydował na premiera przyszłego rządu, wcale nie świadczy o odrzuceniu takiego porozumienia. Trudno wymagać od polityka, żeby już dziś popierał na stanowisko premiera lidera innej partii niż własnego.

Natomiast nie ma mowy o jednej liście, na której będą kandydaci czterech partii – PO, PSL, Polski 2050 i Lewicy. Nie ma zgody ze strony ludowców na łączenie się z Lewicą. Choć z sondażu obywatelskiego dla „Gazety Wyborczej” zrobionego przez Kantar wynika, że 98 proc. wyborców PSL chce jednej listy, to góry PSL to nie przekonuje. Zdaniem działaczy wybory do europarlamentu w 2019 r. jasno pokazały, że taka lista demobilizuje część ich elek-

toratu, np. w Wielkopolsce wielu zwolenników PSL w ogóle nie zgłaszało, kiedy zobaczyli na liście Leszka Millera. Teraz oburzają ich antykościelne wystąpienia niektórych działaczy Lewicy. Dla wyborców umiarkowanie konserwatywnych, a tacy przeważają w elektoracie Stronnictwa, to nie do zaakceptowania i jest obawa, że zostaną w domach, jeśli będzie wspólna lista z Lewicą. Ale inaczej ci wyborcy patrzą na trójporozumienie, czyli jeden komitet wyborczy z partią Hołowni i Platformą. Z sondaży robionych na zamówienie Stronnictwa wynika, że reakcja elektoratu na wspólną listę z Hołownią jest dobra lub neutralna, dołączenie do Platformy oceniane jest znacznie bardziej ostrożnie, ale nie negatywnie. ●

Dlaczego zazdroszczę rusofobom

Wciąż widzę w Rosjanach promień światła

Po raz pierwszy w życiu usłyszeli od władz coś nowego: jesteście wyjątkowi, jesteście ważni i potrzebni ojczyźnie

Bielaszyn



„Może powinnaś napisać o czymś innym? Zdaje się, że ten temat czytelników dzisiaj nuży”, zasugerował mi M. w reakcji na moją tyradę, w której po raz kolejny tłumaczyłam, jak bardzo wkurwiają mnie Rosjanie.

Nie, nie przywidziało się Państwu. Ja też, mimo silnej rosyjskiej tożsamości i dużej dozy zrozumienia dla strachu i obaw tych, którym przyszło żyć w państwie tak represyjnym, czuję żal, przeglądając sieci społecznościowe moich rosyjskich krewnych i widząc publikowane zdjęcia: dzieci, zwierząt domowych, widoczków; albo fotki i filmiki z kawiarni, siłowni, parku, placu zabaw. Dziki gniew i wściekłość czuję, oglądając ich relacje z kolejnych wakacji w Dubaju albo imprez urodzinowych, wyprawianych w eleganckich restauracjach. Na ich kontaktach w mediach społecznościowych nie ma śladu bólu czy wojny. Jest spokój, harmonia, a niekiedy nawet specyficzny rodzaj urażonej dumy, często manifestowanej przez dzieci, którym dorośli wytłumaczyli, że nie należy przejmować się wykluczeniem z grupy przez „zazdrosne koleżanki”.

Każdy z nas ma swoje wyobrażenie o tym, kim jest człowiek, który dał się wciągnąć do sekty. Literatura, seriale, reportaże oraz filmy dokumentalne najczęściej charakteryzują „sekcjarza” jako osobę z nieudanym życiem osobistym, biedną, niezbyt inteligentną i bez głębszych więzi społecznych. Słowem, kogoś słabego, osamotnionego, pozbawionego poczucia własnej wartości, czyli też godności, a przez to łatwego do zmanipulowania. I potrzebującego wsparcia, by uwierzyć, że cokolwiek znaczy.

Jeśli przychodzi ono od osoby, która nie tylko jest przedstawiana przez otoczenie jako wyjątkowa i silna, ale w dodatku wyczuwa i umiejętnie wykorzystuje ludzkie słabości, mamy do czynienia z sektą. Jej działacze celowo niszczą psychikę swoich ofiar, pozbawiają je kontaktu z rzeczywistością, utwierdzają w przekonaniu, że świat „zewnątrzny” ich nie akceptuje.

Historia mojej bliskiej znajomej, silnej i świadomej dziennikarki, która w sekcje znalazła się tylko po to, by przygotować reportaż o jej metodach działania, a w efekcie niemalże popełniła samobójstwo, dowodzi, że w złowieszce sieci może wpaść każdy. Wystarczy, że odpowiednio długo będzie mu się „uświadamiać”, że jako jednostka nie znaczy nic, a jego życie zyskuje przynajmniej minimalną wartość tylko wtedy, kiedy jest w stanie przysłużyć się „rodzinie”.

Nie trzeba wiele czasu, by życie bez „guru” zaczęło jawić się sekciarzom jako niebezpieczeństwo.

To dlatego największą działającą dzisiaj sektą jest Rosja, a najbardziej cynicznym guru – Władimir Putin.

Uświadomiła mi to psycholożka, jedna z bohaterek „Zerwania więzi”, filmu Andrieja Łoszaka, opowiadającego o podziałach, jakie zaszły w rosyjskich rodzinach po 24 lutego 2022 r. Ekspertka zwróciła uwagę, że dopiero wydarzenia ostatniego roku uświadomiły jej, jak powszechny i kulturowany przez władze w społeczeństwie jest narcystyczny mechanizm rozszczepienia. Polega on na tym, że jednostka postrzega samą siebie lub inne osoby albo jako całkowicie złe, albo jako całkowicie dobre. Nie potrafi zintegrować cech pozytywnych i negatywnych w spójne wyobrażenie, nie jest zdolna do jednoczesnego doświadczania ambiwalentnych uczuć. Generuje to podziały na dobrych naszych i złych ich. Ale często także na bezwartościowych nas i lepszych, wywyższających się obcych. Rosyjskie społeczeństwo niczym osoba cierpiąca na narcystyczne zaburzenie osobowości łączy jedno i drugie.

Rosjanie jako naród mają bardzo niskie poczucie własnej wartości. I nie ma w tym nic dziwnego. Wielu żyje w biedzie, często skrajnej. Wszyscy

– w kłamstwie. Na każdym kroku doświadczają upokorzenia. Jak zauważa brytyjski dziennikarz Peter Pomerantsev, Rosjanie byli poniżani przed laty w łagrach, a dzisiaj są poniżani w urzędach, pracy i szkołach. Są świadomi, że nie szanują ich własne władze, które od zawsze, na każdym kroku, wysyłają jasny przekaz: wasze życie nic nie znaczy, jesteście nikim.

Faktem jest, że w czasie politycznego wzmożenia i narodowej mobilizacji wielu, zwłaszcza tych z odległych głubin, po raz pierwszy w życiu usłyszało coś innego: jesteście wyjątkowi, jesteście ważni i potrzebni. Rosjanie słyszą dzisiaj, że ich życie jednak coś znaczy, bo mogą je oddać, „bohatersko broniąc ojczyzny”. Bardzo podobne treści słyszą ci, którzy wpadną w sieci sekty.

Czuję dziki gniew, gdy w social mediach oglądam relacje moich krewnych z ich kolejnych wakacji w Dubaju

W kraju, który prowadzi wojnę i od lat przygotowywał do niej społeczeństwo, takie mechanizmy wystarczają, by zahipnotyzowana przez propagandę część narodu w to uwierzyła. A w efekcie także w swoją lepszosc i wyższość moralną.

Brzmi absurdalnie? Tylko dla tych, którzy dla własnego komfortu i dobrostanu psychicznego potrzebują radykalnego uproszczenia świata. Dla tych, którzy w „zwykłych Rosjanach” widzą krwiożerczych orków. Czasami bardzo tym ludziom zazdroszczę, wierzę, że żyje im się o wiele łatwiej niż mnie. Ja, w odróżnieniu od nich, znam wielu „zwykłych Rosjan” – dobrych, mówię to bez ironii, ludzi z miast i prowincji, którzy dali się zahipnotyzować telewizorowi do tego stopnia, że przestali odróżniać czarne od białego, dobro od zła, przemoc od troski.

Nie spotkałam wśród nich takich, którzy kiedykolwiek powiedzieliby, że popierają wojnę, albo uważają, że ja-

kikolwiek naród należy zetrzeć z powierzchni Ziemi.

Znam za to takich, którzy mówią mi, że dałam się zmanipulować: „obcym” mediom, rusofobom, Zachodowi. Wiedząc, że potępiam rosyjską agresję, Kreml i putinowską armię, zarzucają mi stronniczość – choć, co ciekawe, nie na linii Rosja – Ukraina. „Dlaczego piszesz o Charkowie, ale nie o Belgradzie? Dlaczego o Ukrainie, ale już nie o Iraku? Dlaczego Amerykanie mogą wszystko, a krytykowany jest tylko Putin? Dlaczego nie ruszał cię Donbas?”, to jedna z nielicznych wiadomości o wojnie, jaką otrzymałam w ostatnim roku od jednej z najbliższych mi osób z Rosji. Jednej z tych, która była obecna w moim życiu od najmłodszych lat, uczyła, że należy okazywać szacunek starszym, bronić słabszych, pomagać potrzebującym, kształcić się i kochać ojczyznę.

Dzisiaj tej osoby już w moim życiu nie ma. W walce z guru przemawiającym z telewizora nie miałam szans. Wiem jednak, że jedno wciąż nas łączy: oboje, zapytani o to, czy wojna może być czymś słusznym, odpowiemy: „nie”.

Pytanie M. sprawiło, że wyłączyłam komputer, położyłam się na łóżku i gapiąc się w sufit, złapałam na myśli, że chyba ma rację, a to wszystko zwyczajnie nie ma sensu. Nie da się utrzymać zainteresowania sytuacją, która wydaje się kłębowym zawiązanym węzłem, a w dodatku sprawia wrażenie bardzo prostej i oczywistej. Czarno-białej. Bo ja przecież też wolałabym widzieć setki tysięcy Rosjan na masowych antywojennych protestach, z plakatami i hasłami, które rozwiałyby przynajmniej część wątpliwości.

Pielewin pisał: „Jeśli znalazłeś się w ciemności, ale widzisz przynajmniej wąty promień światła, idź w jego kierunku, zamiast zastanawiać się, czy ma to sens. Bo może nie ma. Ale bezczynne siedzenie w ciemności nie ma go na pewno”. Ja wciąż promień światła w Rosjanach widzę i wierzę, że w interesie nie tyle nawet samych Rosjan, ile nas wszystkich, dla dobra ogółu, jest jego dostrzeżenie. Ofiarom manipulacji należy pomóc zrozumieć, a nie spisać je na straty. ●

OGŁOSZENIE

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



WYBORCZA.PL/JEDNAPLANETAJEDNOZYCIE

Mrożone owoce, o które upomina się cały świat



ORGANIZATOR:



wyborcza.biz

PARTNER:



LUDZIE, KTÓRZY WIDZIELI GODZILLE



Największy problem z geopolitycznym realizmem to jego nazwa

Maciej Jarkowiec

W 1943 roku Jean Monnet, wysoki urzędnik aliancki zajmujący się ekonomią, napisał list do Komitetu Wyzwolenia Francji: „Nie będzie pokoju w Europie, jeżeli państwa odbudują się na zasadzie suwerenności narodowej, z tym wszystkim, co pociąga za sobą politykę prestiżu i protekcyjizmu ekonomicznego. Kraje Europy są zbyt małe, aby zapewnić swym narodom dobrobyt. Aby go osiągnąć, państwa Europy powinny się połączyć w federację albo w zespół europejski, który uczyniłby z nich wspólną całość ekonomiczną”.

Po wojnie do swojej wizji Monnet przekonał ministra spraw zagranicznych Roberta Schumana. Wkrótce Francuzi zarazili nią Belgów, Holendrów, Luksemburczyków, Niemców i Włochów. Powstała Europejska Wspólnota Węgla i Stali. Paradygmat rywalizacji, który przez stulecia skazywał Europę na następujące po sobie katakлизmy, został zastąpiony paradygmatem współpracy.

Czy radykalna zmiana geopolitycznego myślenia jest możliwa w skali całego świata?

Zyjemy w czasach geopolityki. Wojna w Ukrainie obudziła zapotrzebowanie na interpretację. Chcemy na nowo zrozumieć świat. Politycy, polityolodzy, publicyści, doradcy ścigają się w dostarczaniu propozycji. Oglądam debatę na Uniwersytecie w Bergen. Po jednej stronie John Mearsheimer, rocznik 1947, profesor Uniwersytetu Chicagowskiego, wpływowy przedstawiciel politycznego realizmu. Jego

książka „The Tragedy of Great Power Politics” (Tragedia polityki mocarstw, 2001) wymieniana jest jako jedna z najciekawszych analiz geopolitycznych po 1989 roku, obok pozycji Zbigniewa Brzezińskiego, Francisca Fukuyamy i Samuela Huntingтона.

Po drugiej stronie Carl Bildt, rocznik 1949, były premier i minister spraw zagranicznych Szwecji, wysoki przedstawiciel dla Bośni i Hercegowiny, jeden z najbardziej doświadczonych praktyków polityki międzynarodowej w Unii.

Mearsheimer opowiada o wojnie z perspektywy rywalizacji mocarstw. Kiedyś żyliśmy w świecie dwubiegunowym. Później na krótką chwilę zapanował porządek jednobiegunowy. Dziś świat ma trzy bieguny – USA, Chiny i Rosję. Naturą mocarstw jest dążenie do zbudowania regionalnej hegemonii. Takiego hegemonu Mearsheimer nazywa Godzillą. USA są Godzillą na zachodniej półkuli. Utrzymują aktywność w Azji, aby nie dopuścić do hegemonii Chin w tamtym regionie. Wykorzystały słabość Rosji po upadku ZSRR, żeby Godzilla nie powstał z martwych na terenie postsowieckim. To dlatego rozszerzono NATO o Polskę i inne kraje byłych demoludów. W 2008 roku padła propozycja przyjęcia do Sojuszu kolejnych państw – Gruzji i Ukrainy. Waszyngton otworzył ścieżkę do integracji Kijowa z Zachodem. Rosja – argumentuje Mearsheimer – nie może się temu przyglądać. Czy nam się to podoba, czy nie, Moskwa postrzega Ukrainę w NATO jako egzystencjalne zagrożenie.

Interpretacja Carla Bildta wprowadza wojnę z poziomu makro – rozgrywki bezosobowych mocarstw – do poziomu nano – co siedzi w głowie Putina. Wojna jest napaścią na niepodległe państwo wynikającą z imperialistycznych ambicji rosyjskiego przywódcy. Putin wielokrotnie dawał do zrozumienia, że traktuje Ukrainę jako część Rosji. Chce odzyskiwać terytoria utracone po rozpadzie ZSRR. Pozamilitarnymi metodami udaje mu się to na Białorusi. Próbowal w Ukrainie, ale powstrzymał go marsz tamtejszego społeczeństwa ku Zachodowi. Zdecydował się więc na uderzenie.

Są też inne interpretacje. Surowcowa: Ukraina ma drugie co do wielkości złoża gazu naturalnego w Europie (ustępuje tylko Norwegii). Ponadto złoża rud metali i węgla. Przed wojną była piątym na świecie eksporterem rudy żelaza. Pod ukraińską ziemią jest pełno litu, z którego produkuje się baterie, choćby do elektrycznej motoryzacji. Według niektórych szacunków 20 proc. światowych złóż tytanu znajduje się w Ukrainie. W styczniu 2022 roku, chwilę przed rosyjskim atakiem, Boeing ogłosił, że wojna może zatrzymać produkcję samolotów. Ukraina ma też najlepsze grunty orne na planecie, co czyni ją jednym z największych globalnych dostawców kukurydzy i pszenicy. Zachód liczył, że po integracji Ukraina stanie się jego żywnościowym i surowcowym zagłębiem (tu eksperci przytaczają konkretne strategiczne umowy podpisane w ostatnich latach). Rosja dąży do dominacji energetycznej, dzięki której uzależni od siebie Europę. Ukraina staje się nieuniknionym polem bitwy o surowce. Taka opowieść o wojnie ma licznych promotorów. Na łamach renomowanego „Foreign Policy” forsuje ją Robert Muggah, autor ośmiu książek, doradca ONZ i Banku Światowego.

Jest jeszcze interpretacja pod tytułem: „Cokolwiek by się złego na świecie działo, to zawsze wina

wujaka Sama”. USA nie spowodowały wojny powodowane deterministycznym pędem mocarstw do dominacji – jak mówi Mearsheimer – tylko w wyniku ekonomicznej kalkulacji. Stany kroczą od wojny do wojny – Korea, Wietnam, Zatoła Perska, Afganistan, Irak, Ukraina – bo pcha ich do tego kapitalizm. Ostatnia wojna jest najwygodniejsza, bo nie giną w niej amerykańscy żołnierze. Ameryka osłabia Rosję, przewietrza wojskowe magazyny, nakręca nową zbrojeniową koniunkturę – wszystko ukraińskimi rękami, ukraińską krwią. To interpretacja najbardziej popkulturowa. Cieszy się popularnością zbliżoną do najlepszych seriali Netflixa. Ma też swoich intelektualistów, takich jak Naomi Klein, autorka słynnej książki „No Logo”, czy guru nowej lewicy, ekonomista Janis Warufakis.

Wszystkie te opowieści mówią prawdę. Tak, Rosja postrzega NATO jako wroga i chce go odsuwać od swoich granic. Tak, Putin ma ambicje odbudować pozycję Rosji na świecie. Tak, Ukraina jest surowcowym eldorado. Tak, USA zarabiają na wojnie.

Ale to prawdy szczątkowe.

Pewien historyk na pierwszej lekcji daje licealistom zadanie: prosi, żeby usiedli na ławce i zapisali wszystko, co się wydarzyło w ciągu jednej godziny. Teksty, które przynoszą, dają się przeczytać w pięć minut. Zadanie pokazuje, że istnieje pęknięcie między tym, co jesteśmy w stanie zobaczyć i opisać, a tym, co się realnie dzieje.

Geopolityka to zapis w zeszycie licealisty. Bada zależności między geografiami a polityką i stosunkami między państwami. Może tłumaczyć przeszłość, interpretować te-

rażniejszość, próbować prognozować przyszłość. Opierając się na niej, tworzy się strategię. Ale żeby sformułować geopolityczną teorię, trzeba dokonać radykalnego wyboru tego, co dostrzec, a co pominąć. Geopolityka nie jest nauką. Jest opowieścią. Dobrzy opowiadacze zyskują popularność wykraczającą poza politologiczne środowisko – czego polskim przykładem może być Jacek Bartosiak, założyciel think tanku Strategy&Future i gwiazda YouTube'a.

Ostatnie geopolityczne wzmoczenie świat przeżył po 1989 roku. W nowej rzeczywistości zaistniała potrzeba nowej opowieści. Co będzie dalej? Jeden z najbardziej szanowanych myślicieli politycznych tamtego czasu Zbigniew Brzeziński napisał „Wielką szachownicę”. Obmyślił całociową strategię działań USA na kluczowym obszarze Eurazji. Utrzymanie tam równowagi między najważniejszymi graczami i niedopuszczenie do wzrostu nowego hegemonu pozwoli Stanom zachować pozycję arbitra i utrzymać pokój. Eurazja jest szachownicą, na której rozgrywa się partia o panowanie nad światem.

Francis Fukuyama i Samuel Huntington pisali nie strategię, tylko prognozy. Latem 1989 roku – po wyborach w Polsce, przed upadkiem berlińskiego muru – Fukuyama opublikował esej dla „National Interest” pod tytułem „Koniec historii?”. Później książkę. Liberalna demokracja wygrała ostateczną walkę idei i stała się ostateczną formą organizacji wspólnot ludzkich – stwierdził. W XXI wieku będzie się rozprzestrzeniać na świat.

Huntington zgłosił sprzeciw w „Zderzeniu cywilizacji” (1996): w XXI w. konflikty ideologiczne

Paradoks geopolityki: choć jej teorie ignorują realny świat – wewnętrzną dynamikę polityczną i kulturową państw, emocje społeczne, ingerencję lobby korporacyjnych, psychologię liderów politycznych – mają ogromną moc ten świat kształtować



FOT. SHUTTERSTOCK

zostaną zastąpione przez kulturowe i religijne. Autor podzielił planetę na siedem obszarów cywilizacyjnych i analizował kulturowe pęknięcia między nimi. Grozi nam globalna anarchia – wieszczyl.

Wszystkie te książki dokonują uproszczeń niezbędnych w geopolityce: pomijają wewnętrzną dynamikę polityczną i kulturową państw, ignorują socjologię, emocje społeczne, działanie organizacji pozarządowych, międzynarodowych, ingerencję lobby korporacyjnych, nie zajmują się psychologią liderów politycznych i tysiącami innych czynników, które sprawiają, że świat jest, jaki jest.

Brzeziński sam, na łamach swojej książki, wielokrotnie podkreśla, że zawarta w niej wizja jest niezwykle trudna w realizacji. „Wielka szachownica” nie wzięła pod uwagę, że po zakończeniu zimnej wojny amerykańscy liderzy i społeczeństwo nie mieli ani ochoty, ani energii prowadzić dyplomatycznych i cywilizacyjnych manewrów w Eurazji na skalę, jaką zaproponował autor.

Fukuyama pisał, że poziom życia w liberalnych demokracjach będzie rósł. Tymczasem zaczął spadać, pojawił się prekariat. Ważnym konceptem jego tezy była nowoczesność (modernity) tak atrakcyjna, że nie oprze się jej żadna kultura. Ale część świata islamskiego poszła z nowoczesnością na wojnę. W krajach takich jak Polska naprzeciw nowoczesności stanęły armie tradycji. Rosyjska propaganda na buncie wobec zachodniej nowoczesności buduje nową narodową tożsamość. Komuniści w Chinach przy odpowiedzialnym zarządzaniu inżynierią społeczną utrzymują system łą-

czący elementy liberalne z nieliberalnymi i niedemokratycznymi.

Po 11 września 2001 roku Fukuyama stał się chłopcem do bicia. Wskazywano palcem: tak oto nawiśnie optymistyczna jest elita intelektualna Zachodu. Koniec końca Historii – napisał Fareed Zakaria. Historia wróciła z wakacji – drwił ktoś inny. Za to Huntington na chwilę okazał się prorokiem. Zachód kontra islam – pierwsze zdalenie cywilizacji. Tylko że zaraz potem wybuchła największa od niepamiętnych czasów ponadnarodowa i ponadpaństwowa rewolucja – arabska wiosna. Cywilizacja muzułmańska pogrążyła się w wewnętrznych rzeziach, bez uderzenia z zewnątrz. Społeczeństwa z kręgu kultury islamu domagały się demokracji. Czy rację miał jednak Fukuyama?

Książki Brzezińskiego, Fukuyamy i Huntingтона są kopalnią wiedzy, analiz, dają wyjątkowy wgląd w historię i politykę. Nie oferują jednak spójnej wizji świata, trafnej prognozy przyszłości, jedynej strategii, która gwarantuje pokój. Bo w geopolityce takich rzeczy nie ma. Jest tylko punkt widzenia.

Wróćmy na chwilę do Johna Mearsheimera – jak wspomnieliśmy – jednego z najbardziej wpływowych realistów. Największy problem z geopolitycznym realizmem to nazwa. Nurt ten oferuje punkt widzenia miejscami utopijny, momentami oderwany od rzeczywistości, czasem życzeniowy – tak jak inne geopolityczne teorie. Ale przez to, że realiści nazywają siebie realistami, uważani są nieraz za bliższych prawdy od całej reszty opowiadaczy. Mearsheimer jest świetny w swoim

fachu. Ma ogromną wiedzę i dar opowiadania. Gdy Carl Bildt przynudza jak typowy brukselski biurokrata, Mearsheimer chodzi przed publicznością, podskakuje, zmienia ton, błyska okiem. Abstrakcyjne mocarstwa stają się w jego opowieści żywymi tworami. Rozszerzenie NATO było błędem – twierdzi. Rozwścieczyło rannego rosyjskiego Godzillę i natchnęło do walki. Polityczny realizm w latach 90. nakazywał dogadać z Rosją podział wpływów, a nie wchodzić z butami na obszar postkomunistyczny.

Myśl Mearsheimera ignoruje realny świat. Co stałoby się w Polsce i innych krajach, gdyby Zachód zamknął przed nimi drzwi? Jakie uruchomiłoby to emocje społeczne i siły polityczne? Jakie dane wskazują, że gdyby nie rozszerzenie NATO, Rosja byłaby dziś pokojowo nastawiona do sąsiadów? Skąd wiadomo, że Europa zbudowana po 1989 roku wedle „realistycznych” założeń byłaby bardziej stabilna i bezpieczna? Nie ma odpowiedzi na te pytania, bo propozycja Mearsheimera nie jest naukową analizą, tylko opowieścią z gatunku historii alternatywnej. Może być punktem wyjścia do serialu Netflix.

Nie oznacza to jednak, że Mearsheimer nie ma w ofercie ciekawych punktów widzenia. Z debaty w Bergen zapada w pamięć jego wersja zakończenia wojny. Bildt wygłasza modły: pokonamy Rosję, zwalczymy nowe pandemie, ogarniemy zmiany klimatyczne. Mearsheimer otrzeźwia. Rosja uważa, że walczy z egzystencjalnym zagrożeniem. Nie może więc przegrać. Jeśli Ukraina wspierana przez Zachód zyska przewagę, wzrośnie ryzyko użycia przez Rosję broni nuklearnej. Czy jeśli zaatakuje z jej

Jakie dane wskazują, że gdyby nie rozszerzenie NATO, Rosja byłaby dziś pokojowo nastawiona do sąsiadów?

użyciem na terenie Ukrainy – kraju spoza NATO – USA odpowiedzą? Putin – tu Mearsheimer odfruka od realizmu i, tak jak Bildt, zagląda do głowy cara – myśli, że nie. Ergo: im bardziej Ukraina wygrywa, tym bardziej ryzykuje, że zostanie zgładzona.

Nie wiemy, czy Mearsheimer ma rację, ale wiemy, że wielu ludzi go słucha. Również ci, którzy podejmują decyzje. Największy paradoks geopolityki: choć z natury rzeczy jej teorie ignorują realny świat, mają jednocześnie ogromną moc tenże świat kształtować. Skrajnym przykładem tego zjawiska jest konferencja w Berlinie w 1885 roku, na której geostratedzy z największych mocarstw świata podzielili Afrykę. Panowie sączący szkocką i pykający cygarami nie mieli zielonego pojęcia o świecie i ludziach, o których losie decydowali. Nie przeszkodziło im to narysować na mapie granic kolonii. Stłoczyły one różne grupy etniczne w nowych, sztucznych tworach, doprowadzając do konfliktów, które do dziś hamują rozwój kontynentu.

Niezliczone czynniki kształtują globalną rzeczywistość i nie sposób przewidzieć przyszłości (Fukuyama, Huntington) albo jej zaplanować (Brzeziński). Nie zmienia to faktu, że istnieje polityka międzynarodowa, w której podejmowane są bardzo konkretne decyzje mające wpływ na kraje, społeczeństwa i pojedynczych ludzi. W Stanach Zjednoczonych establishment polityki zagranicznej określa się wspólnym mianem „the Blob” – klucha.

Kluchę tworzą publicyści, akademicy, stratedzy z think tanków, lobbysci z korporacji, doradcy polityków w departamentach Stanu i Obrony, Kongresie, Białym Domu. Tysiące ludzi. W tym środowisku ścierają się przeróżne wizje, teorie, interesy, ale bardzo często wylania się dominujący pogląd zwany konsensem. W czasie wojny w Wietnamie istniał konsensus „teorii domina” – gdy jedno państwo w danym regionie wpadnie w sidła komunizmu, pociągnie za sobą kraje sąsiedzkie. USA nie mogły do tego dopuścić. Wiele czynników zdecydowało o wybuchu wojny w Iraku – strach społeczeństwa przed terroryzmem, chciwość nafciarzy, sytuacja w samym Iraku – ale nie byłoby jej, gdyby nie konsensus. Za-

kładał on, że USA mają moc eksportować i implementować liberalną demokrację w dowolnym miejscu świata. Ci, którzy twierdzili przeciwnie, byli w mniejszości, Kongres klepnął inwazję głosami obu partii. Po 1989 roku w Polsce i innych krajach Europy Środkowej wytworzył się konsensus wejścia do Unii i NATO.

Dziś w Stanach istnieje konsensus konieczności wspierania Ukrainy. Każdy konsensus można jednak obalić i takie zadanie stawiają sobie John Mearsheimer oraz niezliczeni geostratedzy myślicy podobnie jak on.

Carl Bildt, który w opinii większości internautów przegrał debatę z Johnem Mearsheimerem, jest synem jednego z najwspanialszych konsensusów w dziejach świata. W następnych dekadach po powstaniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali nowy paradygmat współpracy obejmował kolejne państwa, po 1989 roku wchłonął Europę Środkową. Kolejne pokolenia europejskich elit polityki międzynarodowej – europejski „the Blob” – rozprzestrzeniały konsensus na pozaekonomiczne pola – polityki, sądownictwa, kultury. Wojna w Ukrainie przyczynia się do dalszej integracji: w energetyce, polityce zagranicznej i obronnej.

Tak jak ceną rywalizacji bywa śmierć i zniszczenie, tak ceną współpracy jest wkurzenie. Wkurzające są unijna biurokracja, niedość solidność struktur, ich skorumpowanie, ich ingerencja w funkcjonowanie państw i życie obywateli. Wielka Brytania nie wytrzymuje i wypisuje się z konsensusu. Ale cel nadrzędny zostaje osiągnięty: federacja utrzymuje pokój i względny dobrobyt. Powtórzmy pytanie ze wstępu: czy taka sytuacja jest możliwa w skali świata? Czy możliwy jest globalny konsensus?

Prawie 80 lat funkcjonowania ONZ i dzisiejsza dynamika geopolityczna nie składają do optymizmu. Obecnie dominującą opowieścią jest ta o rywalizacji USA z Chinami i USA z Rosją. Według niektórych geostrategów ryzyko wojny światowej jest największe po 1945 roku. Wyobraźmy sobie jednak, że w tych trzech krajach, w nieokreślonej przyszłości, oby nie w wyniku kataklizmu, wytwarza się pragmatyczny konsensus potrzeby współpracy – tak jak kiedyś w Europie. Liderzy siadają do stołu. Rozpoczyna się budowa nowych globalnych struktur – powolnych, zburokratyzowanych, drogich, podatnych na korupcję, wkurzających – ale skutecznie utrzymujących pokój. Nie-realne? Taki jest paradoks geopolityki: ignoruje realny świat, jednocześnie go tworząc. ●

„Najlepsze miejsce na świecie. Gdzie Wschód zderza się z Zachodem”. Nowa książka Jacka Bartosiaka (Wydawnictwo Literackie)

dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



N A S Z A E U R O P A

„Jakość naszego życia społecznego przypomina Amerykę Środkową”

BAŁKANY PUSTOSZEJĄ

Podzielone w niemal wszystkim narody bałkańskie jedno-czy jedna ambicja życiowa: emigracja. Albańczycy, Serbowie, Chorwaci, Bośniacy w swoich krajach nie widzą dla siebie przyszłości. Masowy exodus przekreśla przyszłość tych państw

Raffaele Oriani

la Repubblica

nżynier Siradj Duhan urodził się w Bośni, ale od ponad 30 lat mieszka w Wiedniu, gdzie prowadzi Towarzystwo Naukowców Bośniackich. Od 2019 r. próbuje importować kawałek swojego starego kraju do nowej ojczyzny: chciałby, aby Austria uznała oficjalnie Bośniaków za mniejszość narodową w tym kraju. Próbuje tego w swojej nowej ojczyźnie, bo nie jest to możliwe w Bośni: po niemal 30 latach od zakończenia wojny tylko 2,7 proc. mieszkańców deklaruje się jako Bośniacy, pozostali są zarejestrowani jako Serbowie, Chorwaci lub po prostu bośniaccy muzułmanie.

Balkany trwają w wiecznym dniu świstaka – napięcia etniczne to tutaj chleb powszedni. Podczas gdy we wschodniej części Sarajewa serbskie bojówki paradowały niedawno przed synem zbrodniarza wojennego Ratka Mladicia, w Kosowie znów omal nie doszło do starcia zbrojnego między państwem (w którym większość stanowią Albańczycy) a gminami z większością serbską. Napięcie wciąż rośnie przed wyborami 23 kwietnia.

Kartą etniczną grają także ci, którzy nie brali udziału w wojnach z ostatniej dekady minionego wieku. Na przykład premier albański Edi Rama rządzi krajem dławionym korupcją i biedą, ale znajduje czas, by odwiedzić w więzieniu byłego kosowskiego prezydenta Hashima Thaçiego, kiedyś dowódcę albańskich partyzantów z UÇK (Armii Wyzwolenia Kosowa), obecnie oskarżanego przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze o zbrodnie wojenne. To nie przypadek, że mimo organizowania kolejnych szczytów, podczas których teoretycznie rozmawia się o rozszerzeniu, UE nadal trzyma Bałkany Zachodnie na dystans.

Ale w tym regionie rozgrywa się też inny dramat: zniecierpliwieni oczekiwaniem na zakończe-



• „Jesteśmy waszymi kluczowymi pracownikami”. Protest szybko rosnącej diaspory albańskiej na Wyspach przeciwko kolejnemu zaostrzeniu prawa imigracyjnego przez torysowski rząd w Londynie FOT. MARK KERRISON/GETTY IMAGES

W latach 2016-20 liczba ludności w wieku produkcyjnym na Bałkanach Zachodnich zmalała o ponad 400 tys. W ciągu 10 lat populacja Serbii i Chorwacji zmniejszyła się o 10 proc.

nie powojennego chaosu Bośniacy, Serbowie, Albańczycy i Chorwaci coraz liczniej emigrują.

Nie na saksy, na stałe

Według ONZ Bośnia i Hercegowinę oraz Albanie pod względem odsetka obywateli mieszkających za granicą wyprzedza tylko jeden kraj świata – Gajana. Diasporę zasila stały strumień wyjazdów – jego efekt jest taki, że – jak podaje Rada Współpracy Regionalnej w Sarajewie – w latach 2016-20 liczba ludności w wieku produkcyjnym na Bałkanach Zachodnich zmalała o ponad 400 tysięcy. Skonfliktowane pod każdym względem narody łączy tylko jedno: chęć wyjazdu.

Rząd w Belgradzie alarmuje, że Serbia traci „jedno miasto rocznie”,

państwowy instytut statystyczny z konsternacją obserwuje, że w ciągu 10 lat populacja kraju spadła o 10 proc.; przeprowadzone przez ONZ badania w Bośni i Hercegowinie ujawniają, że 72 proc. młodych ludzi uważa, że żyją w kraju, gdzie korupcja ma charakter „strukturalny”, a prawie połowa chce wyjechać – im szybciej, tym lepiej.

Setki tysięcy ludzi ucieka przed biedą, korupcją, a także zrujnowanym środowiskiem. Kiedyś wyjeżdżali głównie mężczyźni do ciężkiej pracy, dziś wyruszają w podróż wszyscy: mężczyźni i kobiety, robotnicy i młodzi świeżo po studiach.

– W latach 90. nasza młodzież wyjeżdżała pełna nadziei na przyszłość, w poszukiwaniu nowych doświadczeń, ale biorąc pod uwagę powrót – zauważa Afrim Krasniqi, politolog z Uniwersytetu w Tiranie. – Dziś ludzie emigrują, bo nie wiążą już żadnych nadziei z własnym krajem.

Prognozy ONZ są bezlitosne: w ciągu najbliższych 50 lat Bośnia straci 60 proc. swoich mieszkańców, Albania – do końca wieku – 66 proc.

Dyplom medyczny jak bilet wyjazdowy

Zresztą ten trend można było wyczuć już wcześniej:

– W 2010 r. na moje zajęcia przychodziła setka studentów, dziś mam ich dziesięciu – mówi Krasniqi. – Za to kursy medyczne i pielęgniarskie są pełne po brzegi, tyle że studenci tych kierunków już mają w kieszeni bilety na wyjazd.

Tylko w ciągu ostatnich trzech lat w szpitalach w Niemczech zatrudniono 5 tys. albańskich pracowników służby zdrowia.

Agencja Eurofound zbadała dobrobyt ekonomiczny pracowników przemysłu i usług w krajach europejskich. Okazało się, że problemy ze związaniem końca z końcem ma np. 5 proc. Duńczyków, Albańczyków – aż 70 proc. Ucieczka staje się oczywistym rozwiązaniem.

Premier Edi Rama cieszy się poparciem Unii Europejskiej, ale tylko w ciągu pierwszych pięciu lat jego rządów do innych krajów europejskich wyemigrowało 260 tys. obywateli Albanii. W 2021 r. miała miejsce kolejna fala emigracji – sięgnęła 42 tys.

– W Unii lubią Ramę, bo gwarantuje stabilność, ale Albańczykom taka stabilność do niczego nie jest potrzebna – wyjaśnia Krasniqi. – Europa potrafi tylko ostrzegać nas przed wpływami rosyjskimi i chińskimi, ale nie robi nic, aby przeciwdziałać tej emigracji, i z zadowoleniem przygląda się exodusowi naszych wykwalifikowanych rąk do pracy.

Uderzający jest exodus kadry medycznej: co roku w Kosowie studia kończy 150 lekarzy, ale aż 180 starszych wyjeżdża. Albańczyków, tak jak Serbów, zniechęcają do pozostania w kraju niskie płace i nepotyzm. Tylko w 2019 r. wyemigrowało na stałe prawie 2 proc. Kosowian (to tak, jakby z zachowaniem proporcji względem ogółu populacji wyjechało 1,2 mln Włochów), strumień ucieczek został

powstrzymany chwilowo przez pandemię, ale już w 2021 r. rekord ten został przekroczony.

Mniej dramatyczne są liczby w Serbii, ale i tak widać tam, jak emigracja przyczynia się do paraliżu demograficznego. – Co najmniej 10-15 proc. spadku wskaźnika urodzeń to efekt ruchów migracyjnych – uważa Vladimir Nikitović, demograf z Instytutu Nauk Społecznych w Belgradzie.

W 2020 r. populacja Serbii po raz pierwszy spadła poniżej 7 mln. Co roku ujemne saldo wynosi 15-20 tys. ludzi – o tylu więcej wyjeżdża Serbów z Serbii, niż przybywa na studia lub do pracy w Belgradzie Serbów z Bośni i Kosowa.

– Średnio co roku emigruje 50 tys. Serbów i to nie tylko z powodów ekonomicznych: zwykli pracownicy szukają głównie godziwych zarobków, ale absolwen-

Według ONZ Bośnia i Hercegowinę oraz Albanie pod względem odsetka obywateli mieszkających za granicą wyprzedza tylko jeden kraj świata – Gajana

NASZA EUROPA

ci studiów chcą bardziej sprawiedliwego i mniej skorumpowanego otoczenia – wyjaśnia Nikitović.

Do widzenia, Brukselo

Przez lata panaceum na wszystkie bolączki miała być Unia Europejska, upragnione członkostwo w niej. – Jednak nikt już o niej nie myśli, ludzie zniechęceni są jej biernością – diagnozuje Krasniqi. – Podczas kampanii wyborczej w 2021 r. w Albanii po raz pierwszy w ogóle nie dyskutowano o Europie.

Nawet wśród tych bałkańskich państw, które należą do Unii, Europa to nagroda dla jednostek, ale kara dla społeczności.

– Chorwacja przystąpiła do Unii w 2013 r. W ciągu pierwszych ośmiu lat po akcesji z kraju wyjechało 370 tys. ludzi, w zdecydowanej większości byli to młodzi ludzie w wieku od 20 do 39 lat, którzy po prostu przenieśli się do Niemiec – informuje Tado Jurić, demograf z Uniwersytetu w Zagrzebiu.

To olbrzymia liczba dla kraju o czteromilionowej populacji, tym bardziej że „w tym samym okresie o 10 proc. wzrosła liczba emerytów, a o tyle samo spadła liczba studentów”.

Jurić przeprowadził badania wśród swoich rodaków na emigracji. – Najbardziej uderza to, że przebywają za granicą z myślą, by tam pozostać. 45 proc. planuje powrót dopiero na emeryturze, 40 proc. – nigdy.

Chorwacja to kraj, który zawsze może liczyć na boom turystyczny. Brakuje tu więc nie pracy, lecz siły roboczej. – Do wyjazdu z kraju pchają nie względy ekonomiczne, lecz przekonanie, że korupcja jest tu endemiczna i powszechna, a etyka pracy nie ma znaczenia. To już budzi u wielu wręcz obrzydzenie.

Potwierdza tę tezę epizod z 2018 r.: dubliński oddział HDZ (Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej), partii nacjonalistycznej i konserwatywnej, zaprosił rodaków zamieszkujących w Irlandii na przyjęcie bożonarodzeniowe. Wywołało to lawinę obelg i gróźb, która zmusiła organizatorów do wycofania się z pomysłu.

Bałkański Meksyk

– Instytucjonalna słabość i korupcja w Meksyku wygoniły już 10 proc. jego mieszkańców do USA. Taki sam odsetek Chorwatów wyjechał do Niemiec – mówi Tado Jurić.

Dotyczy to nie tylko Chorwacji. Serbski demograf Vladimir Nikitović tak podsumowuje ostatnie 30 lat „bałkańskiej samotności”: „Nasz wskaźnik rozwoju społecznego bardziej przypomina Amerykę Środkową niż naszych europejskich sąsiadów”. Na rozwój społeczny składają się trzy elementy: edukacja, opieka zdrowotna, poziom życia – tłumaczy. A strukturalne niedomagania w tych obszarach to prawdziwa rzeczywistość schowana pod nacjonalistyczną retoryką, ale dobrze rozpoznana przez ludzi. Można to było kilka miesięcy temu zobaczyć w postaci napisu na budynku w Mitrowicy, w północnym Kosowie: ktoś napisał „To jest Serbia!”, a ktoś inny zareagował pod spodem: „Nie, to jest poczta”. ●

Tłum. Bartosz Hlebowicz

CZY PEKIN MOŻE BYĆ PEACEMAKEREM

Pax Xinica

Chiny usiłują aktywniej mediuować w światowych konfliktach, zajmując miejsce zwolnione przez USA i ONZ. Ale w Ukrainie to tylko gra pozorów – wiarygodność Pekinu jako neutralnego mediatora jest tam bliska zera.



Robert Stefanicki

Wyobraźmy sobie, że w reakcji na wynegocjowane przez Chiny porozumienie między Arabią Saudyjską i Iranem w Białym Domu zbiera się sztab kryzysowy. Administracja prezydenta Bidena decyduje, że trzeba odpowiedzieć stanowczym uderzeniem – i przymusza Izrael do pokoju z Palestyńczykami. Na to Xi Jinping rzuca wszystko na jedną szalę: nakłania Władimira Putina do wycofania wojsk z Ukrainy.

Czyż nie tak powinna wyglądać rywalizacja między mocarstwami?

Faktyczne nawiązanie relacji dyplomatycznych między Rijadem i Teheranem jest korzystnym wydarzeniem: znacząco obniża napięcie w regionie i daje nadzieję na zakończenie wojny w Jemenie. Nie jest skierowane przeciwko żadnemu innemu państwu, bo i trudno sobie wyobrazić współpracę na tym polu dwóch zaciekle rywali. Zresztą Arabia Saudyjska na drugą nożkę przymierza się do nawiązania stosunków z Izraelem, śladem jej sojuszników z Zatoki Perskiej.

Mimo to w Waszyngtonie zapanał niepokój – nie dlatego, że ocieplenie między Rijadem i Teheranem może skutkować rozluźnieniem reżimu sankcyjnego wobec Teheranu (Saudyjczycy wcale nie chcą, żeby ajatollahowie wyprodukowali bombę atomową), ale przede wszystkim dlatego, że w tej zgodzie maczał palce Pekin, największy rywal Ameryki.

Coraz mniej mediacji

Powrót do postrzegania peacemakingu przez zimnowojenne okulary poważnie utrudnia prowadzenie pokoju.

W 20-leciu po 1988 r. większość konfliktów zbrojnych na świecie została rozwiązana w drodze porozumienia. Procesów mediacyjnych w latach 90. było tyle samo, co podczas całej zimnej wojny. Doprowadziło to do spadku zarówno liczby toczonych wojen, jak i liczby ofiar.

Odpowiedzialna za to była Organizacja Narodów Zjednoczonych. W 1988 r. pomogła zakończyć wojnę Iraku z Iranem i wojnę w Namibii. Potem odegrała główną rolę w wygaszaniu konfliktów w Libanie, Nikaragui,

Kambodży, Salwadorze, Chorwacji, Gwatemali – by wymienić tylko kilka pierwszych.

„W prawie wszystkich tych procesach dyplomacja ONZ była raczej spersonalizowana niż zinstytucjonalizowana, bardziej dyskretna niż publiczna, neutralna niemal obsesyjnie i oparta na głębokiej znajomości kontekstu”, napisał w analizie David Harland z Centrum Dialogu Humanitarnego.

USA pozostały „niezbędnym mocarstwem”, ale ich zaangażowanie w przywracanie pokoju – z wyjątkiem miejsc, gdzie miały bezpośredni interes – odbywało się głównie za pośrednictwem ONZ. Waszyngton pośredniczył w porozumieniach z Dayton (1995) kończących wojnę w Bośni i wraz z innymi państwami odegrał rolę w porozumieniu wielkopiątkowym, które zakończyło konflikt w Irlandii Północnej (1998), a także w Macedonii (2001).

Coś zaczęło zgrzytać po 2007 r. Zwykle uważa się, że Fukuyamowski „koniec historii” skończył się wraz z atakami Al-Kaidy na USA w 2001 r., ale chyba ważniejsza była rosnąca asertywność konkurencyjnych potęg: Rosji i Chin, mających też duży wpływ w ONZ.

Władza Putina okrzepła, pojawiły się marzenia o powrocie Rosji do mocarstwowości. Nowa doktryna Kremla zaczęła kwestionować wysiłki ONZ i innych podmiotów zmierzające do rozstrzygania sporów międzynarodowych po myśli USA. Przykładowym polem bitwy stało się Kosowo, gdy Pekin i Moskwa zawetowały oenzetowski plan niepodległości.

Międzynarodowe wysiłki mediacyjne nie zapobiegły też krwawemu rozwiązaniu wojny domowej na Sri Lance (2009), zawiodły w Libii (2011). Jemen był polem wielu porozumień, z których żadne nie przyniosło pokoju.

Po 2008 r. mediacje były coraz częściej prowadzone przez podmioty spoza ONZ, a niekiedy strony konfliktu dogadywały się same. Hiszpanii udało się zakończyć wojnę z ETA, wynegocjowano zawieszenie broni w Mjanmie i częściowo w Ukrainie w 2014 r., za pośrednictwem Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. W negocjacjach z FARC w Kolumbii pomagały Kuba i Norwegia. Niezwykle krwawą wojnę domową w Etiopii udało się w ubiegłym roku zakończyć przy udziale Unii Afrykańskiej.

Jednak ogólnie liczba aktywnych konfliktów powróciła do wysokiego poziomu z pierwszej połowy lat 90., natomiast liczba zawiesznień ognia i procesów pokojowych jest mniejsza niż wtedy.

Wracają proxy wars

Harland widzi kilka tego powodów. Po pierwsze, zaostrezenie rywalizacji geopolitycznej. Mocarstwa znowu prowadzą wojny cudzymi rękami, co najjaskrawiej było widać w Syrii.

Po drugie, atomizacja konfliktów. Kiedy walczą nie państwa, ale

jakieś grupy powstańczo-rozbójnicze, nie bardzo wiadomo, z kim negocjować. Z tym wiąże się, po trzecie, rozprzestrzenianie się konfliktów ponad granicami.

Po czwarte, w erze Twittera coraz trudniej zachować dyskrecję. Wczesne mediacje ONZ były często prowadzone w tajemnicy, od negocjacji szefa ONZ Daga Hammarskjölda z chińskim premierem Zhou Enlaiem w latach 50. po Ban Ki-moona usiłującego rozwiązać konflikt w Kosowie.

Paraliżowanemu sprzecznymi interesami mocarstw ONZ coraz trudniej zajmować pozycję uczciwego pośrednika. Ponadto zaczęła dominować polityka nierozmawiania z niektórymi stronami konfliktu. Álvaro de Soto zrezygnował z funkcji wysłannika na Bliski Wschód, kiedy ONZ zabroniła mu rozmów z Hamasem.

Waszyngton w większości wyszedł z roli negocjatora usiłującego obniżyć napięcia na całym świecie. „Poza sytuacjami humanitarnymi amerykańska dyplomacja obsesyjnie reaguje na zagrożenia i identyfikuje tzw. złych aktorów. W konfliktach izraelsko-palestyńskich Waszyngton jest tak mocno sprzymierzony z jedną stroną, że nie może sensownie krytykować lub wywieść na nią presję”, napisał w „Foreign Policy” Howard French.

Na tak zapuszczonej rynek prowadzania pokoju wkraczają Chiny. Już wcześniej wysyłały wielu swoich żołnierzy do misji pokojowych ONZ na całym świecie, teraz usiłują wejść do pierwszej ligi i pokazać się jako bezstronny, łagodny mediator.

Może to wzbudzać dreszcz, zważywszy na zamordyzm, jaki chińska partia komunistyczna zaprowadziła u siebie w kraju, ale po prawdzie Pekin jest bardziej predestynowany do akurat tej roli niż Waszyngton. Chiny nie najeżdżają innych krajów, nie nakładają tak chętnie sankcji (chyba że ktoś im nadeptnie na odcisk w sprawie Tajwanu lub krytykując za łamanie praw człowieka), nie sporządzają list wrogów i nie trzymają ich w bazie wojskowej wyjętej spod prawa. A dzięki swojemu potencjałowi gospodarczemu mają zdolność przelamywania linii podziałów takich jak ta między Iranem a Arabią Saudyjską.

Dotąd wysiłki Chin były najczęściej próżne. Trwające latami rozmowy sześciostronne w sprawie Korei Północnej – ich najbliższego sojusznika – speliły na niczym. Tak jak próby wynegocjowania pokoju w Afganistanie i Mjanmie. Sukcesem jest dopiero umowa irańsko-saudyjska – lecz była ona przygotowywana wcześniej, Chiny wkroczyły na zaawansowanym etapie jako kraj pozytywnie nastawiony do obu rywali, czyli naturalny kandydat na pośrednika.

Zakończenie wojny Rosji z Ukrainą to zadanie nieporównywalnie trudniejsze. Od czasu inwazji toczyło się kilka rund rozmów w sprawie zawieszenia broni, o czym już mało kto pamięta, co najlepiej ilustruje ich bezskuteczność. Najpierw z udziałem miliardera Romana Abramowicza, potem Izraela, wreszcie Turcji.

Chiny też próbowały. Już 1 marca 2022 r. chiński minister spraw

zagranicznych powiedział swojemu ukraińskiemu odpowiednikowi, że Pekin jest gotowy wspierać negocjacje w celu osiągnięcia porozumienia politycznego.

Teraz Chiny przedstawiły plan pokojowy pełen ogólnikowych wyrażeń, z którymi trudno się nie zgodzić, na czele z tym o „konieczności poszanowania integralności terytorialnej”. Nieprzewidujący jednak wycofania sił rosyjskich z Ukrainy.

Trudno postrzegać jako neutralny kraj, którego przywódca odwiecza Władimira Putina od razu po wydaniu za nim listu gończego przez Międzynarodowy Trybunał Karny. I zapewnia go, że Chiny „traktują priorytetowo wszechstronne partnerstwo strategiczne” z Rosją.

Xi Jinping nie zdradzi Putina

W kalkulacjach Xi dominuje przekonanie, że Chiny są uwikłane w długoterminową konfrontację z Ameryką, która może doprowadzić do wojny o Tajwan. W tej sytuacji Rosja stanowi dla Chin zaplecze energii, technologii wojсковej i wsparcia dyplomatycznego. Jej klęska w Ukrainie dodałaby animuszu Ameryce i jej sojusznikom.

W interesie Pekinu jest utrzymanie Putina u władzy. Jego upadek grozi chaosem na granicy z Chinami i nowym, może prozachodnim przywódcą na Kremlu, który w zamian za zniesienie sankcji zgodzi się pomóc Ameryce powstrzymać Chiny. Dla Xi to koszmarny scenariusz, którego realizację należy zablokować za wszelką cenę.

Propozycje pokojowe mają na celu poprawienie wizerunku Chin na arenie międzynarodowej przy jednoczesnym osłabieniu wizerunku USA jako siły jątrzącej. Chińczycy bowiem na razie nie dostarczają broni na pole bitwy, przynajmniej tak otwarcie jak Amerykanie.

Rosyjsko-chińska narracja głosi, że Biden nie pozwala Zelenskiemu na przyjęcie planu pokojowego. W istocie Amerykanie doradzilizydentowi Ukrainy, aby go jednoznacznie nie odrzucał – również z powodów wizerunkowych. Nawet gdy zachodni sojusznicy Ukrainy skrytykowali chińskie propozycje, Zelenski powiedział, że Ukraina potrzebuje zaangażowania Chin, aby zakończyć wojnę.

Mimo to jest jasne, że ani Rosja, ani Ukraina nie chcą w tej chwili rozmów pokojowych, ponieważ liczą na osiągnięcie przewagi na polu bitwy.

Zelenski zaproponował 10-punktowy plan, który pociągałby Rosję do odpowiedzialności za okrucieństwa wojenne i wymagalby od niej poddania całego zdobytego terytorium oraz zapłacenia reparacji. Ze swojej strony Putin zażądał od Kijowa uznania terytoriów anektowanych przez Moskwę. Nie ma tu punktów stycznych. I nie ma za grosz zaufania, że Rosja znowu nie naruszy porozumienia natychmiast po podpisaniu.

W tej sytuacji i Święty Piotr nic by nie wskórał. Ale jak strony dojrzą do negocjacji, mediator się znajdzie. ●

KIM SĄ ZBRODNIARZE WOJENNI

FOT. EAST NEWS

Pozornie upadek Mussoliniego [25 lipca 1943 roku Wielka Rada Faszystowska odsunęła go od władzy] to historia przeniesiona żywcem z wiktoriańskiego melodramatu. Ostatecznie bowiem sprawiedliwość zatriumfowała, nikczemnik został pogrzebiony, pracowały młyny boże. Gdy jednak głębiej się nad tym zastanowić, widać, że ta opowieść z morałem jest nie tak prosta i jednoznaczna oraz mniej budująca. No bo na początek: jakie właściwie przestępstwa (jeśli w ogóle) popełnił Mussolini? Polityka siły nie zna przestępstw, ponieważ nie ma w niej zasad. No i, swoją drogą, czy w reżimie politycznym Mussoliniego daloby się wyróżnić coś, co potępiłby szczerze ci, którzy prawdopodobnie by go sądzili. Autor tej książki obszernie wywodzi – faktycznie jest to jej główne przesłanie – że nie było takiego łajdactwa, jakie Mussolini popełnił w latach 1922–1940, którego nie wynosili pod niebiosa dokładnie ci sami ludzie, którzy obecnie obiecują postawić go przed sądem.

Na potrzeby swojej alegorii „Kasjusz” stawia Mussoliniego przed brytyjskim trybunałem, w którym funkcję oskarżyciela pełni nasz prokurator generalny. Lista zarzutów jest doprawdy imponująca, a główne jej punkty – od zabójstwa Matteottiego [prawnik, antyfaszysta, socjalista zamordowany w 1924 r.] do najazdu na Grecję; od zniszczenia kooperatyw wiejskich do bombardowania Addis Abeby [podczas inwazji włoskiej na Abisynię w latach 1935–1936] – nie zostało zakwestionowane. Obozy koncentracyjne, złamane traktaty, palki gumowe, olej rycynowy – to wszystko są niezaprzeczalne fakty. Nasuwa się wszelako kłopotliwe pytanie: jak to jest, że coś, co było chwalebne, gdy samemu się to czyniło – powiedzmy dziesięć lat wcześniej – staje się nagle karygodne? Mussoliniemu pozwolono powołać świadków obrony, zarówno żyjących, jak i nieżyjących, i wykazać – na podstawie ich wypowiedzi, które ukazały się drukiem – że od samego początku poważni i godni zaufania liderzy brytyjskiej opinii sprzyjali wszystkim jego postępom. Oto przykład, co w roku 1928 napisał lord Rothermere [magnat prasowy,



wy, twórca potęgi tabloidów „Daily Mail” i „Daily Mirror”]:

„W swoim kraju [Mussolini] był antidotum przeciw śmiertelnej truciznie. Dla reszty Europy był on balsamem, który przyniósł nieocenione dobro. Mogę powiedzieć ze szczerą satysfakcją, że byłem pierwszą osobą o politycznym wpływie, która ukazała wspańnię osiągnięcia Mussoliniego we właściwym świetle. [...] Jest on największą postacią obecnej doby”.

Oto wypowiedź Churchilla z roku 1927:

„Gdybym był Włochem, jestem pewien, że wspierałbym całym sercem pańską zwycięską batalię przeciwko zwierzęcym żądom i namiętnościom leninizmu. [...] [Włochy] dostarczają niezbędnego antidotum na rosyjską truciznę. Odtąd żadne wielkie państwo nie pozostanie bez najsukuteczniejszego środka zapobiegawczego przeciw rakowi bolszewizmu”.

Poniżej słowa lorda Mottistone’a [John Bernard Seely, I. baron Mottistone, polityk konserwatywny, w latach 1912–1914 minister wojny] z roku 1935:

„Nie byłem przeciwko [włoskim działaniom zbrojnym w Abisynii]. Pragnąłem rozwiązać śmiechu wartę urojenie, że to miła rzecz sympatyzować ze słabszym. [...] Mówiłem, że to nikczemne jest dostarczanie broni czy też tolerowanie takich dostaw tym okrutnym i brutalnym Abisyńczykom, przy jednoczesnym odmawianiu jej innym, odgrywającym honorową rolę”.

Wypowiedź Duffa Coopera [arystokrata, konserwatysta, dyplomata] z roku 1938:

„A jeśli chodzi o ten abisyński epizod, im mniej na ten temat, tym lepiej. Gdy starzy przyjaciele dochodzą do zgody po kłótni, to zawsze dla nich niebezpieczne jest dyskutować o jej pierwotnej przyczynie”.

Gotowi byliście tolerować najpodlejsze zło, pod warunkiem że wasze majątki pozostaną bezpieczne

George Orwell

Recenzja książki „Kasjusz” [pseudonim Michaela Foota, brytyjskiego lewicowego polityka i dziennikarza] „The Trial of Mussolini” [Proces Mussoliniego]

Oto Ward Price [dziennikarz, reporter, w latach 30. XX wieku sympatyk Hitlera i Mussoliniego] z „Daily Mail”, rok 1932:

„W przeświadczeniu ignorantów oraz osób uprzedzonych sprawy włoskie wyglądają tak, jakby naród ów znajdował się pod władzą jakiejś tyranii, od której chętnie i dobrowolnie by się uwolnił. Smętnie ubolewając nad fanatycznymi mniejszościami, które to grupy łączy tożsamość z pewną niedoinformowaną częścią brytyjskiej opinii publicznej, naród nasz już od dawna przymknął oko na wspaniałą robotę »faszystowskiego« reżimu. Sam kilkakrotnie słyszałem, jak Mussolini wyrażał wdzięczność »Daily Mail« za to, że jest pierwszą brytyjską gazetą, która przedstawiała uczciwie światu jego cele”.

I tak dalej, i tak dalej. Hoare [polityk konserwatywny, w latach 30. minister spraw zagranicznych], Simson [polityk Partii Liberalnej, wielokrotny minister], Halifax [wicekról Indii, I. hrabia Halifax, w latach 1938–1940 minister spraw zagranicznych], Neville Chamberlain [brytyjski premier w latach 1937–1940], Austen Chamberlain [przyrodni brat premiera, konserwatysta, współtwórca traktatu w Locarno], Amery [dziennikarz i polityk, w latach 20. pierwszy lord Admiralicji i minister kolonii], lord Lloyd [polityk konserwatywny, przewodniczący Izby Lordów] oraz rozmaici inni zajmują po kolei miejsca na ławie dla świadków, a wszyscy oni jak jeden mąż gotowi są potwierdzać, że gdy Mussolini czy to niszczył włoskie związki zawodowe, czy to nie interweniował w Hiszpanii, czy to traktował Abisyńczyków gazem musztardowym, czy to nakazywał wyrzucać z samolotów arabskich jeńców, czy wreszcie rozbudowywał flotę wojenną, by użyć jej przeciw Wielkiej Brytanii, rząd brytyjski oraz jego oficjalni rzecznicy popierali go na dobre i na złe. Oto i lady Chamberlain [żona Austena Chamberlaina] wymieniąca uściski dłoni z Mussolinim w roku 1924. Rok 1939: Chamberlain i Halifax bankietują wraz z nim, wznosząc toasty za „Cesarza Abisynii”; oto lord Lloyd kadzi włoskiemu faszystowskiemu reżimowi w oficjalnej broszurze jeszcze w roku 1940 [wydana w grudniu broszura „The British Case” uzasadniała przystąpienie Wielkiej Brytanii do wojny z Hitlerem]. Ta część rozprawy pozostawia wszystkich w przeświadczeniu, że, prosta sprawa, Musso-

lini jest niewinny. Dopiero potem, po wysłuchaniu przez sąd Abisyńczyka, Hiszpana oraz włoskiego antyfaszysty zaczynają rysować się przeciw niemu rzeczywiste zarzuty.

No cóż, choć książka ta należy do gatunku fantazji, konkluzja jest na wskroś realistyczna. Jest wysoce nieprawdopodobne, żeby brytyjscy torysi postawili kiedykolwiek Mussoliniego przed sądem. Nie mieliby żadnych powodów, by postawić go w stan oskarżenia, wyjąwszy przystąpienie Włoch do wojny w 1940 roku. Jeżeli „proces zbrodniarzy wojennych”, przedmiot marzeń niektórych, miałby się kiedykolwiek odbyć, może to nastąpić wyłącznie po rewolucji w krajach sprzymierzonych. Jednocześnie jednak sama idea znajdowania kozłów ofiarnych czy też obwiniania jednostek, partii narodów za nieszczęścia będące naszym udziałem skłania do pewnych wniosków, niekiedy dość niepokojących.

Historia brytyjskich stosunków z Mussolinim ukazuje bowiem strukturalną słabość kapitalistycznego państwa. Przy założeniu, że polityka siły jest niemoralna, „wykupienie” Włoch z obozu krajów Osi – koncepcja ta wyraźnie należała do założeń polityki brytyjskiej, poczynając od 1934 roku – było naturalnym ruchem strategicznym. [Stanley] Baldwin [trzykrotny premier Wielkiej Brytanii, konserwatysta], Chamberlain i cała reszta nie mogli go jednak wykonać. Byłoby do tego zdolne jedynie ciało na tyle silne, by odstrążyć Mussoliniego od nawiązania sojuszu z Hitlerem. To zaś nie wchodziło w rachubę, ponieważ gospodarka działająca wyłącznie według kryterium zysku po prostu nigdy nie jest zdolna do przeprowadzenia przezbrojenia na nowocześniejszą skalę.

Wielka Brytania zaczęła się zbroić dopiero wtedy, gdy Niemcy byli już w Calais. Wcześniej istotnie Parlament przyznawał całkiem okazałe fundusze na te cele, spływały one wszakże po cichu do kieszeni akcjonariuszy, a żadnej broni nikt nie widział. A ponieważ brytyjska klasa rządząca nigdy nie miała zamiaru pozbawiać się przywilejów, było rzeczą nieuchronną, że ludzie ci będą prowadzić wszelką politykę bez przekonania i że będą ślepi na nadciągające niebezpieczeństwo. Jednak krach moralny,

jaki w wyniku tego nastąpił, okazał się czymś zgola nowym w polityce brytyjskiej. W wieku dziewiętnastym bowiem i na początku obecnego stulecia politycy brytyjscy mogli wprawdzie być hipokrytami, lecz hipokryzja wymaga istnienia kodeksu moralnego. Była to zaskakująca nowość, gdy torysi zasiadający w Izbie Gmin wiwatowali na wieść, że włoskie samoloty zbombardowały brytyjskie okręty, czy też gdy członkowie Izby Lordów wdali się w zorganizowaną kampanię oszczerstw przeciw baskijskim dzieciom, które trafiły do naszego kraju jako uchodźcy.

Ileokroć przychodzą na myśl kłamstwa i zdrady tamtych lat; cyniczne porzucanie w potrzebie kolejnych sojuszników; kretyński optymizm torysowskiej prasy; stanowcze zaprzeczanie temu, że dyktatorzy nieuchronnie oznaczają wojnę, choćby oni sami zapowiadali ją wszem i wobec; przeświadczenie klasy posiadającej, że obozy koncentracyjne, getta, masakry i wojny wszczynane bez wypowiedzenia to nic złego, nasuwa się myśl, że oprócz zwykłej ludzkiej głupoty odegrała tu rolę również moralna dekadencja. Przecież w roku 1937 lub w okolicach tej daty nie sposób już było nie wiedzieć, jaka jest prawdziwa natura faszystowskich reżimów. A jednak oligarchowie uznali, że faszyzm jest po ich stronie, i byli gotowi tolerować bodaj najpodlejsze zło, pod warunkiem że ich majątki pozostaną bezpieczne. Na swój prymitywny sposób praktykowali „polityczny realizm” Machiavellego zawierający się dla nich we frazie: „Wszystko jest dobre, co działa na rzecz Partii” – w tym wypadku ta „Partia” to, ma się rozumieć, Partia Konserwatywna.

Wszystko to „Kasjusz” wydobywa na światło dzienne, uchylając się wszakże od zasadniczego wniosku. Z całej jego książki wynika bowiem, że niemoralni są tylko torysi. „Była jednak również inna Anglia – pisze. – Ta inna Anglia nienawidziła faszyzmu od dnia jego narodzin. [...] była to Anglia lewicy, Anglia pracy”. Ma w tym wypadku rację, ale jest to tylko część prawdy. Postępowanie lewicy w codziennej praktyce było bardziej prawe i uczciwe aniżeli jej teorie. Lewica zwalczała faszyzm, lecz jej reprezentatwni ideolodzy równie głęboko jak ich przeciwnicy uwięźli w świecie „realizmu” i „polityki siły”.

Realizm (zwany niegdyś nieuczciwością) należy do ogólnego klimatu politycznego obecnych czasów. O słabości przesłania „Kasjusza” świadczy to, że można by śmiało napisać całkiem podobną książkę zatytułowaną choćby „Winston Churchill przed sądem” czy też „Czang Kaj-szek przed sądem”, a nawet „Ramsay MacDonald przed sądem” [MacDonald – w latach 1929-1935 premier Wielkiej Brytanii z ramienia Partii Pracy]. W każdym wypadku przeczytalibyśmy o tym, jak przywódcy lewicy przeczą samym sobie niemal tak rażąco, jak przywódcy torysów cytowani przez autora. Bo również lewica gotowa była przymknąć oko na niejedno i zaakceptować kilku bardzo wątpliwych sojuszników. Dziś się śmiejemy, słysząc, jak torysi wieszają psy na Mussolinim, choć pięć lat temu mu schlebiali, kto jednak w roku

1927 mógł przewidzieć, że przyjdzie taki dzień, kiedy to lewica przytuli do swego Iona Czang Kaj-szeka? Kto mógł przewidzieć tuż po strajku generalnym [w 1929 roku, w obronie zagrożonych redukcją górników], że dziesięć lat później Winston Churchill zostanie pieśczochem dziennika „Daily Worker”? W latach 1935-1939, kiedy to niemal każdy sojusznik w walce z faszyzmem był mile widziany, lewicowcy wychwalali Mustafa Kemala [Atatürka, prezydenta Turcji w latach 1923-1938] i zaczęli odnosić się czule do rumuńskiego króla Karola II.

Choć jest to pod każdym względem bardziej wybaczalne, stosunek lewicy do reżimu rosyjskiego wyraźnie przypomina stosunek torysów do faszyzmu. Widać tu tę samą skłonność do usprawiedliwiania wszystkiego, „ponieważ oni są po naszej stronie”. Wszyst-

Gdy zgładza się tyrana, katami powinni być ich poddani; ci, którzy ponoszą karę z rąk obcych państw, jak Napoleon, stają się po prostu męczennikami, a po śmierci przechodzą do legendy

ko jest jak najbardziej w porządku, gdy na fotografii lady Chamberlain wymienienia uścisk dłoni z Mussolinim; zdjęcie, na którym Stalin ściska dłoń Ribbentropowi, jest znacznie świeższej daty. Ogólnie rzecz biorąc, lewicowi intelektualści brali w obronę traktat rosyjsko-niemiecki. Był on bowiem wyrazem realizmu, tak jak uprawiana przez Chamberlaina polityka appeasementu, miał też podobne skutki. Jeśli istnieje jakaś droga ucieczki z moralnego chlewu, w jakim żyjemy, najpierw należałoby zapewne pojąć, że „realizm” nie popłaca i że zdradzić przyjaciół, a potem zacierając z radości dłonie, patrzeć, jak giną, nie jest ostatnim słowem mądrości politycznej.

Co widać wyraźnie w każdym mieście od Cardiff do Stalingradu, lecz dostrzega to tylko niewielu. Tymczasem obowiązkiem pamflicysty jest atakowanie prawicy, lecz bez schlebiania lewicy. A swoje obecne położenie lewica częściowo zawdzięcza temu, że przedwcześnie popadła w samozadowolienie.

„Kasjusza” Mussolini po wystąpieniu świadków obrony sam staje przed sędziami. Powołuje się uparczywie na credo Machiavellego „silniejszy ma rację”, vae victis! Owszem, on

sam popełnił jedyne przestępstwo, które ma znaczenie, czyli przestępstwo porażki – przyznaje też, że jego adversarze mają prawo go zgładzić – lecz, co powtarza z naciskiem, nie mają prawa go obwiniać. Postępowali i postępują bowiem podobnie jak on, a ich potępienie moralne to wyłączanie hipokryzja. Potem składają zeznania trzej inni świadkowie: Abisyńczyk, Hiszpan i Włoch, którzy moralnie są na zgola innym poziomie, ponieważ nigdy nie uprawiali kunktatorskich gier z faszyzmem, nijak też nie mogli uczestniczyć w polityce siły: wszyscy trzej domagają się dla podsądnego kary śmierci.

Czy jednak postąpiliby podobnie w prawdziwym życiu? Czy coś takiego może w ogóle się zdarzyć? Jest to mało prawdopodobne, nawet gdyby ci, którzy mają realne prawo, by sądzić Mus-

sgładza się tyrana, katami powinni być ich poddani; ci, którzy ponoszą karę z rąk obcych państw, jak Napoleon, stają się po prostu męczennikami, a po śmierci przechodzą do legendy.

Nie jest przy tym tak ważne, żeby tym politycznym gangsterom zadawać cierpienia. Bardziej istotne, żeby sami się kompromitowali. Na szczęście tak się częstokroć zdarza, ponieważ – co zaskakujące – wodzowie w lśniących zbrojach, apostołowie wojennych cnót wszelakich raczej nie umierają w boju, gdy przychodzi ich czas. Historia przekazuje nam mnóstwo relacji o haniebnych rejteradach wielkich i sławnych. Napoleon poddał się Anglikom, by otrzymać ochronę przed Prusami; cesarzowa Eugenia uciekła w szykownej bryczce z amerykańskim dentystą [chodzi o żonę Napoleona III, która po klęsce Francji w wojnie z Niemcami w 1870 roku uciekła do Wielkiej Brytanii]; [Erich] Ludendorff [obok Paula von Hindenburga najważniejszy dowódca niemieckiej armii w I wojnie światowej] włożył dla niepoznaki okulary o błękitnych szklach; jeden z najnikczemniejszych rzymskich cesarzy zatrząsnął się w ustępie, by nie odnaleźli go spiskowcy, a na samym początku hiszpańskiej wojny domowej pewien czołowy faszysta umknął z Barcelony – co w tym wypadku pasowało jak ulał – przez rynsztok.

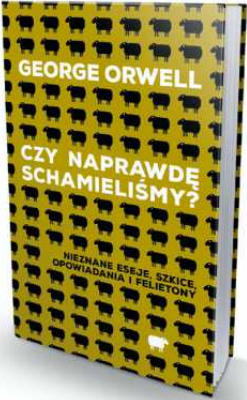
Chciałoby się, żeby i Mussolini skorzystał z podobnej drogi ucieczki, i gdyby pozostawić go samemu sobie, być może rzeczywiście tak by się stało. Być może dotyczy to również Hitlera. O tym ostatnim mawiano, że gdy nadejdzie jego ostatnia chwila, nie będzie ratować się ucieczką ani się nie podda, tylko zginie w jakiś teatralny sposób, choćby odbierając sobie życie. Mawiano tak jednak wtedy, gdy dobrze mu się wiodło na frontach: w bieżącym roku, kiedy to wszystko zaczęło się psuć, nie sposób doprawdy rzec, że działa on z godnością czy też odważnie. „Kasjusz” kończy swoją

książkę rekapitulacją wygłoszoną przez sędziego, kwestię ostatecznego werdyktu pozostawia jednak otwartą, najwyraźniej oczekując go od czytelnika. No cóż, jeśli chodzi o mnie, to na Hitlera i Mussoliniego wydałbym taki oto wyrok: żadnej kary śmierci, chyba że zostałaby ona wymierzona szybko i w jakiś mało widowiskowy sposób. Gdyby Niemcy i Włosi uznali, że należy postawić ich przed polowym sądem wojennym, a potem naprzeciw plutonu egzekucyjnego, niech tak się stanie. Byłoby jednak lepsze rozwiązanie: pozwolić jednemu i drugiemu na ucieczkę z walizką papierów wartościowych na okaziciela, a potem niech sobie mieszkają w jakichś szwajcarskich pensjonatach w charakterze już tylko starych nudziarzy. Żadnej martyrologii i żadnego zsyłania na Świętą Helenę! No i co najważniejsze: żadnego uroczystego, tchnącego hipokryzją „procesu zbrodniarzy wojennych” połączonego z okrutną wielką galą prawa, które to procedury potrafią w osobiwy sposób zromantyzować oskarżonych, a z lajdaka uczynić bohatera. ●

„Tribune”, 22 października 1943 r.

W nawiasach kwadratowych przypisy redakcji

Tekst pochodzi ze zbioru „**Czy naprawdę schamieliśmy? Nieznane eseje, szkice, opowiadania i felietony**” (Muza 2022) w tłumaczeniu Bartłomieja Zborskiego



ZAWIADOMIENIE

Zarząd Cuiaвии Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Inowrocławiu na mocy § 31 Statutu Spółdzielni zwołuje

ZEBRANIE PRZEDSTAWICIELI

które odbędzie się dnia **14 kwietnia 2023 r. o godz. 11.00.** w restauracji Akto Mirana w Inowrocławiu przy ul. Nowej 32.

W przypadku braku quorum następne Zebranie Przedstawicieli odbędzie się w tym samym dniu o godz. 11.30.

Porządek obrad:

1. Otwarcie.
2. Wybór Prezydium Zebrania.
3. Zatwierdzenie porządku obrad.
4. Zatwierdzenie regulaminu obrad, w tym regulaminów komisji.
5. Wybór Komisji Zebrania:
 - a/ mandatowej
 - b/ skrutacyjnej
 - c/ uchwał i wniosków
6. Zatwierdzenie protokołu z poprzedniego Zebrania.
7. Sprawozdanie Zarządu za 2022 rok.
8. Sprawozdanie Rady Nadzorczej za 2022 rok.
9. Przedstawienie sprawozdania Biegłych Rewidentów z weryfikacji sprawozdania finansowego Spółdzielni za 2022 rok.
10. Wystąpienie zaproszonych gości.
11. Podjęcie uchwał w sprawach:
 - a/ zatwierdzenia sprawozdania finansowego Spółdzielni za 2022 rok,
 - b/ zatwierdzenia sprawozdania Zarządu za 2022 rok,
 - c/ zatwierdzenia sprawozdania Rady Nadzorczej za 2022 rok,
 - d/ udzielenia absolutorium Prezesowi Zarządu,
 - e/ udzielenia absolutorium Wiceprezesowi Zarządu,
 - f/ podziału nadwyżki bilansowej,
 - g/ określenia najwyższej sumy zobowiązań jakie Spółdzielnia może zaciągnąć,
12. Wybór Delegata na Zjazd Przedkongresowy Krajowej Rady Spółdzielczej.
13. Sprawy różne.
14. Zatwierdzenie protokołu Komisji Uchwał i Wniosków.
15. Zakończenie.

Zarząd
Cuiaвии Okręgowej Spółdzielni
Mleczarskiej w Inowrocławiu

OGŁOSZENIE 34242959

SEN ALBO SMIERĆ

FOT. SUTTERSTOCK



75 proc. Polaków jeździ po naszych drogach w stanie nietrzeźwości. Nie, nie po alkoholu

Z PROF. DR. HAB. N. MED. **MIROSŁAWEM JAROSZEM**, INTERNISTĄ, GASTROENTEROLOGEM, PROPAGATOREM ZDROWEGO STYLU ŻYCIA, WIELOLETNIM EKSPERTEM DS. ŻYWNOSCI, ŻYWIENIA I OTYŁOŚCI WHO, EFSA I KE, ROZMAWIA **KRYSTYNA NASZKOWSKA**

Po co nam „Kodeks zdrowotny kierowcy”?

– Jesteśmy w światowej negatywnej czołówce pod względem zachorowań na otyłość, cukrzycę, nowotwory złośliwe oraz ilości zgonów z powodu COVID-19. Ale okazuje się, że mamy też trzecie miejsce w Europie, jeśli chodzi o największą liczbę śmiertelnych wypadków samochodowych na milion mieszkańców i ogromne inwalidztwo powypadkowe.

Takie inwalidztwo oznacza leczenie w szpitalu, rehabilitację, wypłacanie rent i odszkodowań, spory prawne, czyli wiele konsekwencji zdrowotnych i ekonomicznych. I tu zaskoczenie: my ciągle nagłaśniamy wypadki, które po-

wodują kierowcy pod wpływem alkoholu, i w świadomości społecznej alkohol wydaje się najważniejszym czynnikiem odpowiadającym za wypadki, a tak nie jest! Tylko ok. 6 proc. wypadków to skutek rajdu pijanego kierowcy. A co z resztą? Otóż ja postanowiłem uświadomić nam wszystkim, że trzeźwy kierowca może mieć tak samo zaburzoną koordynację wzrokowo-ruchową, ostrość widzenia, złą ocenę sytuacji na drodze, osłabiony refleks itd. jak kierowca pijany.

Wypadki często powodują ludzi, którzy nigdy nie mieli nawet punktów karnych.

Za szybko jeżdżą?

– Jest to tylko jedna z przyczyn. Teraz siedzi w więzieniu dobrze zapowiadający się biznesmen, ojciec dwójki dzieci, który na czerwonym świetle przejechał kobietę w ciąży. Był trzeźwy, nie szarżował. Twierdzi, że nie widział czerwonego światła ani kobiety. I ja jestem skłonny mu uwierzyć. Bo ten człowiek wracał do domu po 12 godzinach ciągłej, intensywnej i stresującej pracy. Jeśli po tylu godzinach pracy wsiadamy do auta, to nasze reakcje są takie, jakbyśmy mieli we krwi 1-1,5 promila alkoholu.

Albo ktoś wybiera się w długą podróż np. do Włoch, pakuje się na ostatnią chwilę, kładzie się do łóżka o 1 w nocy, a wstaje o 6 rano, by jak najwcześniej ruszyć w tę

długą trasę – jego wszelkie reakcje będą tak opóźnione, jakby miał 1,5 promila. Prawdziwą plagą jest zaburzenie snu. Ludzie zasypiają na moment przy kierownicy, to są takie mikrozaśnięcia wynikające ze znużenia, bo np. długo przedtem siedzieli późnym wieczorem przed komputerem lub używali smartfona. Brak snu odpowiada za blisko 40 proc. wypadków. Tylko za to nie ma punktów karnych i mało kto o tym mówi. Ciekaw jestem, jak by zareagował komendant główny policji, gdybym postawił tezę, że ok. 75 proc. Polaków jeździ po naszych drogach w stanie nietrzeźwości.

Tak pan ocenia?

– Tak. Tylko niewłaściwe zażywanie leków przed podróżą i w jej trakcie odpowiada za 20 proc. wypadków. Ludzie mają różnego rodzaju choroby i dolegliwości i na to mają zapisane leki, ale one mogą wpływać na naszą spostrzegawczość, refleks, powodować spadek ciśnienia albo senność. Do tego wielu bierze też różnego rodzaju suplementy diety, nie zdając sobie sprawy, że wchodzą one w interakcje z zażyтыми wcześniej lekami i np. lek na nadciśnienie, który ktoś stale zażywa, może wcale nie działać, a to oznacza niedokrwienie mózgu czy spadek parametrów psychomotorycznych. Ktoś, kto ma niskie ciśnienie i nie dba o nawodnienie organizmu w czasie podróży, może mieć hipotonię. Nawod-

nienie jest naprawdę bardzo ważne, u starszych kierowców wystarczy, że organizmowi brakuje pół szklanki wody i już możemy mieć zaburzenia koncentracji uwagi i ostrości widzenia. To są drobne rzeczy, których na pierwszy rzut oka nie widać, ale one się bardzo liczą w ocenie sytuacji na drodze. Nie mówiąc o tym, że w dłuższej podróży trzeba co dwie godziny się zatrzymywać, przewietrzyć mózg, zrobić gimnastykę, poobracać gałkami oczu – w lewo, w prawo itd. – bo to może uratować życie nasze lub czyjeś.

że zrobimy z tego jedną z najważniejszych spraw naszych rządów. W Stambule przedstawiłem nasz program Pol-Heath („Narodowy program zapobiegania nadwadze i otyłości oraz przewlekłym chorobom niezakaźnym poprzez poprawę żywienia i aktywności fizycznej”), został on oceniony jako jeden z trzech najlepszych programów z 48 krajów regionu europejskiego. Miała być edukacja w szkołach i miejscach pracy na temat skutków otyłości, regularne ważenie i mierzenie dzieci, kampanie edukacyjne... Mieliśmy promować zdrowy tryb życia. A szkoła, która program wdroży, dostanie certyfikat podpisany przez ministrów zdrowia i edukacji oraz Instytut Żywności i Żywienia jako placówka przyjazna zdrowiu dzieci i młodzieży.

Oczywiście nic z tego nie wyszło, nasza władza nie uznała, by warto taki program w szkołach realizować. Ale na dwuletni program pilotażowy, który miał na celu poprawę żywienia w szkołach, pieniądze dali Szwajcarzy. Była to część Szwajcarsko-Polskiego Programu Współpracy „Zachowaj Równowagę” (2011-16). Program objął tylko 10 proc. szkół, bo na tyle Szwajcarzy dali pieniądze, czyli ok. 800 tys. zł. To objęło całe środowisko szkolne – dzieci, nauczycieli, dyrektorów, kucharki, rodziców. Wprowadziliśmy odpowiedni jadłospis do szkolnych stołówek, produkty do szkolnych sklepików, informacje na temat zdrowia i otyłości do nauczania oraz dodatkowe zajęcia sportowe. Dzięki takim miękkim działaniom udało się w ciągu tych dwóch lat zmniejszyć częstość występowania otyłości u młodszych dzieci aż o 3 proc., czyli uchroniliśmy przed otyłością 8 tys. dzieci. Wyliczyłem, że gdyby rząd przeznaczył na takie zapobieganie otyłości 8 mln złotych, to moglibyśmy uchronić ok. 80 tys. dzieci. Tyle to kosztuje jeden nowoczesny rezonans magnetyczny, ale oczywiście władza woli wydać na rezonans. Gdybyśmy kontynuowali program przez 10 lat, to prawdopodobnie zachorowania na nadwagę i otyłość uniknęłyby ok. 1 miliona dzieci. Pytanie retoryczne – naprawdę nie mamy na to 80 mln zł, 8 mln rocznie? A przecież kilkanaście procent dzieci z otyłością ma już początki nadciśnienia tętniczego, stanu przedcukrzycowego i cukrzycy typu 2. Udowodniono także, że dzieci z otyłością mają gorsze wyniki w nauce.

3 proc. to nie wydaje mi się dużo.

– Ależ to bardzo dużo! Mówimy o dwóch latach działania programu. Zatrzymanie tego procesu, tego narastania otyłości już jest ogromnym sukcesem, a myśmy mieli spadek! Gdyby ten program został utrzymany i rozciągnięty na kolejne szkoły, mielibyśmy dziś w kraju zupełnie inną sytuację z otyłością u dzieci. Niestety, nie został utrzymany, a Instytut Żywności i Żywienia, który ten program prowadził, został zlikwidowany w 2020 r. Jest to olbrzymia szkoda dla zdrowia Polaków, że taki Instytut zajmujący się ponad pół wieku prewencją żywnościowo-żywnościową chorób, utworzony z inspiracji i z pomocą finansowej Food and Agriculture Organization of the United Nations (FAO), od trzech lat już nie istnieje.

Kiedy ja wsiadam do auta, to chcę jak najszybciej dojechać do celu, szkoda mi czasu na gimnastykę. I przypuszczam, że takie jest nastawienie większości kierowców, u nas i w innych krajach. To dlaczego u nas jest więcej wypadków?

– Bo to koreluje z innymi problemami zdrowotnymi u nas występującymi, np. z otyłością czy cukrzycą, my nie dbamy o swoje zdrowie. To jest układanka, a nie jeden parametr, który za wszystko odpowiada. Jeśli przoduujemy w liczbie zachorowań na nowotwory czy na stan przedcukrzycowy i cukrzycę, to dlaczego nie mielibyśmy przodować w wypadkach drogowych?

Polacy zdrowia nie doceniają i nikt nam o tym nie mówi, ani w szkole dzieci o tym nie usłyszą, ani rządzący nam tego nie mówią. Nie mamy nawyków prozdrowotnych, to jest kwestia powszechnej edukacji zdrowotnej, ale tego procesu nawet nie zaczęliśmy, bo zawsze były ważniejsze problemy.

Co moglibyśmy zrobić?

– Choćby walczyć z otyłością, która jest prawdziwą plagą i matką wszystkich chorób, jednym z największych zagrożeń, jakie są dziś w Polsce dla naszego zdrowia.

Kilkanaście lat temu, w 2006 r., na Europejskiej Ministerialnej Konferencji w Stambule podpisaliśmy Europejską Kartę Walki z Otyłością i zobowiązaliśmy się tam,

Pamiętam, jak lata temu minister zdrowia prof. Zbigniew Religa zaprosił mnie na spotkanie ze swoją radą konsultacyjną złożoną z lekarzy. I kiedy ja im tłumaczyłem korzyści z medycyny prewencyjnej, to oni odpowiadali, że przecież my nie mamy pieniędzy na prozdrowotne działania. A argument koronny był taki: w Ameryce jest jeszcze większa otyłość niż u nas, czyli bogatszy kraj, a jest gorzej! Taki argument to dramat, nie patrzymy na tych, którzy mają lepiej – choćby w Japonii, Nowej Zelandii, Francji, Włoszech, Luksemburgu – tylko na tych, którzy mają gorzej, i to nas usprawiedliwia. A poza tym ja zawsze mówię: im kraj jest biedniejszy, tym bardziej powinien dbać o medycynę prewencyjną. Od początku, już w poradni położniczej, powinny być programy prawidłowego żywienia dla kobiet w ciąży, bo jeśli przyszła matka źle się odżywia, to jej jeszcze nienarodzone dziecko już nabiera na przykład skłonności do otyłości i chorób nowotworowych. Matka poprzez swoje zachowanie wpływa na to, w jakiej kondycji będzie jej dziecko.

My naprawdę już dużo wiemy, tylko co z tego, skoro ludzie, którzy rządzą, uważają, że na profilaktykę szkoda pieniędzy. Akceptują wydatki na leczenie, ale nie na zapobieganie. To jest błąd strategiczny i skutek jest taki, że Polska jest niechlubnym liderem, jeśli chodzi o zachorowania na wiele chorób, ale też w skracaniu długości życia.

To chyba skutek pandemii, bo wtedy bardzo wzrosła u nas śmiertelność?

– Po pierwsze, ta wysoka śmiertelność z powodu COVID-19 wynikała z generalnie złego stanu zdrowia Polaków, głównie otyłości i cukrzycy typu 2. Jeszcze przed pandemią byliśmy jednym z niewielu krajów na świecie, w których długość życia mieszkańców zaczęła się skracać. Najpierw były dwa lata płaskie, kiedy długość życia nie rosła, a potem zaczęła spadać. Pandemia oczywiście dołożyła swoje i średnia życia Polaka jest teraz o blisko dwa lata krótsza niż w 2019 r.

To duże nieszczęście. Żyjemy krócej, ale też my się starzejemy w inwalidztwie.

Co to znaczy?

– Chodzi nie tylko o długość, ale i jakość życia. Na przykład w Japonii kobiety żyją o siedem lat dłużej niż w Polsce, a mężczyźni ok. sześciu lat dłużej. Ale tam ludzie znacznie dłużej żyją w zdrowiu, bez chorób, które utrudniają albo uniemożliwiają samodzielne, satysfakcjonujące życie.

Jeśli to zsumujemy, to różnice między naszymi społeczeństwami są już gigantyczne. Kiedy Japończyk jest w pełni samodzielny, to Polak zмага się już z niewydolnością krążenia, udarami, wieńcówką, demencją.

Na demencję chyba nie mamy wpływu? To geny decydują.

– Otóż mamy, i to duży wpływ. Jest kilka czynników, które wpływają na jej rozwój, zwłaszcza na chorobę Alzheimera, np. otyłość, nadciśnienie tętnicze, cukrzyca, mała aktywność fizyczna, dieta itd. Naukowcy udowodnili, że dobrze lecząc wymienione choroby, dbając o sylwetkę, możemy znacząco zmniejszyć lub opóźnić rozwój

demencji. Niestety, ta wiedza nie jest powszechna.

A geny?

– Każdy człowiek ma jakieś genetyczne predyspozycje do różnych chorób. Geny są jak fortepian, ale to, jaką melodię na nim zagramy, w dużej mierze zależy od tego, jak żyjemy. Funkcjonowanie genów zależy od wielu czynników, ono się zmienia pod wpływem stresu, rodzaju pokarmu, relacji międzyludzkich, poziomu aktywności fizycznej. Można je modyfikować. Kilka lat temu dużą grupę 70-latków w Japonii badano pod kątem wpływu relacji międzyludzkich, stylu życia na rozwój demencji. Badanie trwało sześć-siedem lat. I okazało się, że w grupie, która dwa razy w tygodniu chodziła na tańce, grała w szachy, spotykała się w celach towarzyskich, nastąpiło znaczne spowolnienie procesów demencyjnych – czyli nawet w późnym wieku są efekty. Bo demencja zaczyna się w wieku ok. 40 lat, tylko objawy widzimy dopiero 20-30 lat później. Ten proces można powstrzymywać, ale wiadomo, że jak mamy predyspozycje genetyczne do tej choroby, to łatwiej na nią zachorować.

Młody człowiek na ogół myśli, że nigdy nie zachoruje.

– Ale gdyby miał w szkole przedmiot zdrowie, to nauczylby się pewnych prozdrowotnych zachowań od małego. Te dzieciaki z naszego programu szwajcarskiego świetnie się bawiły na tych zajęciach, kiedy to się dobrze robi, to można uruchomić olbrzymi potencjał, jaki tkwi w tym programie.

Wyobraźmy sobie, że mamy aparat do mierzenia wyspania, tak jak jest alkomat do mierzenia stężenia alkoholu we krwi. Kierowca sam może sprawdzić, czy nadaje się do jazdy samochodem, czy jednak dla bezpieczeństwa powinien się przespać. My nawet teoretycznie tego nie doceniamy, nie mówiąc o praktyce. A przecież jeśli ktoś wiedział, że jest niewyspany, i wsiadł do auta, a potem spowodował wypadek, to jest tak samo winny jak ten pijany kierowca skazany przez sąd.

To na co pan liczył, pisząc taki kodeks?

– Chcę, by ludzie wiedzieli. Wysłałem ten kodeks do komendanta głównego policji, do inspektora transportu i wielu innych podmiotów, chcę nim zainteresować media, bo to jest szansa na zmianę naszych zachowań i ukrócenia beztrości, z jaką siadamy za kierownicą. Kiedyś spytano mnie, co zrobić, jakieś jedno posunięcie, by zaczęła spadać otyłość w Polsce. Ja takim geniuszem nie jestem, by znaleźć takie jednostkowe posunięcie. Ale po chwili zastanowienia wymyśliłem, że może gdyby robić stale dobre kampanie reklamowe promujące zdrowe żywienie i styl życia i puszczać je częściej niż reklamy piwa w mediach, to na pewno byłby efekt. Jeśli się coś dobrze robi, to to działa na człowieka. Edukacja w szkole, kształcenie kierowców z uwzględnieniem tych faktów, które przedstawiłem, promowanie w mediach. A poza tym powinny się tym zająć firmy ubezpieczeniowe. Tego typu kodeks zdrowotny powinien być uzupełnieniem kodeksu drogowego. Ważne są formalne uwarunkowania, jakie zawarte są w kodeksie

drogowym, ale o wypadku przede wszystkim decyduje człowiek, on musi właściwie oceniać sytuację i odpowiednio do niej postępować. Jeśli źle ocenia, to mamy kłopot. A olbrzymia ilość kierowców jest niewyspana, przemęczona, nie leczy nadciśnienia, stanu przedcukrzycowego, cukrzycy, zaburzeń rytmu serca itd.

Żyjemy w czasach epidemii bezsenności?

– W Polsce 15 milionów ludzi ma problem – albo śpiemy za krótko, albo sen jest przerywany, nieefektywny. Ludzie powinni kłaść się spać regularnie, a dwie-trzy godziny przed snem wyciszyć swoją aktywność. Nie patrzeć w ekran komputera, nie oglądać telewizji, nie jeść posiłku...

Tak się nie da żyć, panie profesorze! Człowiek wraca do domu, powiedzmy, o godz. 18, a o 22 chce iść spać. To oznacza, że nawet nie obejrzy „Kropki nad i”, nie mówiąc o wieczornym filmie.

– Moją rolą jest to powiedzieć, pokazać, jak być powinno, ja mogę tylko dawać przykłady skutków drogowych niewyspania, pokazywać ludzkie tragedie. Przerabiam proste zalecenia na praktykę, o tym jest ta książka. Jestem lekarzem, dla mnie największą radością jest wyleczenie kogoś, to jest najważniejsze dla lekarza. Napisałem tę książkę, bo gdybyśmy wprowadzili te zalecenia w życie, to uniknęlibyśmy 90 proc. wypadków drogowych. Na to nie liczę oczywiście, ale każdy najmniejszy procent to uratowane życie.

„Kodeks zdrowotny kierowcy” to nie tylko kompendium wiedzy, ale zawiera także ponad 60 zaleceń, jak nie zabić i nie okaleczyć siebie i innych ludzi. Nic dodać, nic ująć.

Kiedy Japończyk jest w pełni samodzielny, to Polak zмага się już z niewydolnością krążenia, udarami, wieńcówką, demencją

Jak patrzy na pana środowisko lekarskie? Walczący z wiatrakami?

– Wszyscy są zajęci pracą. Trochę mamy problem z tym, że młode pokolenie lekarskie jest nastawione na wąską specjalizację, szybkie procedury, a profilaktyka jest na uczelniach medycznych traktowana symbolicznie. A ja uważam, że lekarze generalnie powinni bardziej zajmować się prewencją niż leczeniem, tak sobie wyobrażam przyszłość medycyny. Będzie się ona opierała na uczeniu ludzi, jak dbać o swoje zdrowie, na dawaniu im możliwości tego dbania – edukacja szkolna, łatwo dostępne baseny, zdrowa żywność, rekreacja,

higiena snu. I czerpanie z tego radości. Bo my źle do tego podchodzimy, patrzymy na te zalecenia jako na coś, co nas udreży, a to może dawać radość, jeśli podejście się w odpowiedni sposób. Zamiast narzekać, że lekarz zalecił mi mniej mięsa, możemy przyrządzić sobie wspaniałą sałatkę według własnego pomysłu w stylu śródziemnomorskim. Pójść do klubu potańczyć z przyjaciółmi albo samemu.

Kiedyś ludzie chodzili na potańcówki, dużo więcej tańczyli niż obecnie, a taniec wyzwala hormony radości, a do tego, co udowodnili Japończycy, opóźnia procesy demencji.

Jest dużo fajnych aktywności, nie musimy się nimi katować, tylko z nich cieszyć. Patrzyłem dziś na schody w metrze na Kabatach – nikt nimi nie wchodził, za to w kolejce tłoczyli się ludzie do schodów ruchomych. Ja chodzę po schodach i jest mi z tym wspaniale. Bo my się uzależniamy od aktywności fizycznej i ona sprawia nam przyjemność. Człowiek ma tendencję do uzależnienia, nasz mózg lubi dawać sobie nagrody, nagrodą jest dobre samopoczucie. I mogą to wywoływać alkohol lub narkotyki, jeśli się do nich przyzwyczaimy, ale może też aktywność fizyczna. Są uzależnienia dobre i niedobre, ruch fizyczny, zdrowy styl życia to dobre uzależnienie. Codzienna aktywność poprawia nam nastrój, poprawia sen, mamy wymierne korzyści. Moją rolą było napisanie tego kodeksu, podaję pałeczkę dalej. Teraz rządzący powinni ją przejąć i coś z tym zrobić.

Można by parę książek napisać o tym, co rządzący powinni zrobić, a nie robią.

– Ma być współoddziaływanie wzajemne wszystkich na siebie, taki obieg zamknięty złożony z ad-

– Ale czy to go usprawiedliwia, skoro jest na ten temat powszechna wiedza? Sąd to rozstrzygnie.

Z czego bierze się epidemia bezsenności?

– Żyjemy w przewlekłym stresie, nie radzimy sobie z tym – stresująca praca, czasem kłopoty w życiu osobistym. A w ostatnim czasie doszedł stres związany z pandemią, inflacją. Jeśli sobie z tym nie radzimy, to podwyższa się hormon stresu, który hamuje mechanizm przygotowujący człowieka do snu, jesteśmy nadmiernie pobudzeni. Coraz więcej ludzi korzysta z komputerów, a niebieskie światło ich ekranów też blokuje wejście w fazę snu. Mamy bezdechy senne, wielu nawet o tym nie wie, one powodują, że budzimy się w środku nocy, to są mikroprzebudzenia, wtedy sen jest mniej skuteczny. Nie dbamy o higienę snu, która jest bardzo prosta – trzeba przewietrzyć sypialnię, dobrze ją zaciemnić, mieć dobry materac, nie zostawiać sobie ważnych spraw do obgadania tuż przed pójściem spać, nie biegać intensywnie wieczorem itd. Wieczór mamy spędzać na luzie.

A życie towarzyskie?

– Relacje międzyludzkie zmniejszają ryzyko zachorowań na wiele chorób, wydłużają życie.

Na jakimś kongresie medycznym pokazano miasteczko we Włoszech z tzw. błękitnej strefy, czyli basenu Morza Śródziemnego, gdzie ludzie żyją najdłużej w Europie. Otóż z lotu ptaka widać było, jak ciasne są tam uliczki, a domy stykają się niemal ze sobą, prawie okno w okno. W takim miasteczku nie sposób nie mieć stałych relacji sąsiedzkich, bez wypicia kawy z sąsiadem nie da się żyć. I w tym bogactwie relacji naukowcy doszukują się jednej z przyczyn długowieczności mieszkańców. Mózg steruje naszym ciałem jak komputer. Kiedy się starzejemy, to nasz organizm powoli wyłącza jakieś narządy, ale póki nasz mózg czuje potrzebę funkcjonowania, to z tym starzeniem całego organizmu walczy, hamuje procesy patologiczne. On wyłącza się ostatni. Dlatego tak ważne jest, by go stymulować, podtrzymywać jego ochotę do egzystencji, dawać mu bogactwo impulsów, stymulować do działania. To może być chodzenie na tańce, zawieranie nowych przyjacieli, zwykle umówienie się na kawę ze znajomym już jest takim bodźcem. Dla mózgu bardzo ważne jest uczenie się nowego języka i nie jest istotne, na ile go opanujemy, liczy się próbowanie. Jest taka fantastyczna książka pt. „100-letnie życie: Codziennosc i praca w erze długowieczności” napisana przez dwóch naukowców z London Business School – prof. Lyndę Gratton i prof. Andrew Scotta. Otóż oni założyli na podstawie prognoz naukowych, że połowa dzieci, które teraz się rodzą, dożyje 105 lat. To oznacza, że po przejściu na emeryturę będą żyli jeszcze co najmniej 15-20 lat. Trzeba więc jeszcze w okresie pracy zawodowej znaleźć sobie jakieś zajęcie, najlepiej zupełnie inne, jakąś pasję, którą będziemy rozwijać po przejściu na emeryturę. Aby nadal pracować lub czymś się zajmować, choć w mniejszym natężeniu niż w latach wcześniejszych. Być zaangażowanym. I do tego trzeba się wcześniej przygotować. ●

Fantazjowanie

Minister Ziobro to nie zero, ale zero zero siedem.

Michał Rusinek



W 1908 roku w „Neue Revue” ukazał się artykuł Sigmunda Freuda poświęcony fantazjowaniu. Autor stawia w nim tezę, że do fantazjowania przyznają się wyłącznie dzieci i pisarze. W niniejszej rozprawce postaram się udowodnić, że robią to także, choć przyparci do muru, niektórzy politycy.

Ale po kolei. Fantazjowanie rozumie Freud jako „śnienie na jawie”, nad którym – w przeciwieństwie do snów – mamy kontrolę. Fantazjujemy wtedy, kiedy nie jesteśmy szczęśliwi, kiedy jakieś nasze pragnienie – erotyczne lub ambicjonalne – nie jest spełnione: „Każda fantazja jest spełnieniem pragnienia, korektą niedającej zadowolenia rzeczywistości” – pisze Freud. A następnie daje przykład młodego człowieka, „ubogiego sieroty”, który idzie na rozmowę kwalifikacyjną do ewentualnego pracodawcy. W drodze do niego fantazjuje, że „zostanie przyjęty do pracy, spodoba się swojemu nowemu szefowi, stanie się niezastąpiony w przedsiębiorstwie, z kolei zbliży się do rodziny pracodawcy, poślubi jego uroczą córeczkę, po czym zostanie współnikiem – i wreszcie następcą szefa przedsiębiorstwa”. Fantazjowanie jest zatem funkcją naszego aparatu psychicznego, która nie tylko pozwala nam — jak w zabawie — być kimś innym, ale też opanować lęk przed tym, czego się obawiamy: na przykład, że nie zostaniemy zatrudnieni. A więc i poczuć siłę płynącą z fikcyjnej sytuacji, która pozwoli nam stać się człoa rzeczywistości.

Zatrzymajmy się chwilę przy wspomnianej zabawie. Jest ona „najulubieńszym, najbardziej absorbującym dzieckiem zajęciem”. Zabawą dziecka, jak twierdzi Freud, kieruje pragnienie, by „być dużym”, czyli dorosłym. Dziecko naśladuje zatem w zabawie to, co jest mu znane z życia dorosłych, bo pragnie być jak najszybciej dorosłym. Zabawa daje przyjemność. Kiedy więc człowiek dorastający przestaje się bawić, wyrzeka się przyjemności, jaką czerpał z zabawy. Jednak doskonale wiemy, że raz zaskosztowanej przyjemności wyrzec się trudno, więc dorosły wytwarza sobie twór zastępczy: fantazje. O wiele trudniej je obserwować niż zabawę dzieci, bo dorosły wstydy się swoich fantazji, Freud pisze, że „ukrywa je przed innymi, chroni je jako coś najbardziej osobistego i intymnego, w zasadzie już raczej przyznałby się do jakichś swoich występków, niż wyjawiał swoje fantazje”. Wie on, że oczekuje się po nim, „żeby już się nie bawił i nie fantazjował, lecz żeby działał w rzeczywistym świecie”. Dorosłemu nie przystoi przyznawanie się, że chciałby być kimś innym, i bawienie się w Indian, kowbojów czy szpiegów. Chyba że jest pisarzem.

Wróćmy więc zatem do wspomnianej już kategorii fikcji. Pisarz to, zdaniem Freuda, jedyny zawód, który nie tylko pozwala się przyznawać do fantazjowania, ale i czynić z niego użytek. Gdyby Sigmund Freud znalazł książki, a najlepiej filmy o Jamesie Bondzie, mógłby się posłużyć przykładem relacji między ich autorem, Ianem Flem-

giem, a stworzoną przez niego postacią. Fleming pracował wprawdzie w wywiadzie w czasie wojny, ale dość krótko. Po wojnie usiłował być dziennikarzem i brokerem giełdowym, co go raczej nudziło, fantazjował więc o byciu kimś innym. I z tych jego fantazji zrodziły się przygody dzielnego agenta, który – jak powiedziałby Freud – był projekcją ego autora: wysyłano go na ważne i niebezpieczne akcje, z których zawsze wychodził cało, oraz miał niebawale powodzenie u kobiet, o czym Fleming też zapewne marzył.

Zarówno James Bond, jak i jego przygody mają swoje źródło w fantazjach pisarza. Mają one bowiem zawsze charakter fabularny, nawet gdy ich fabularność nie jest filmowa i spektakularna, jak w przypadku wspomnianego człowieka idącego na rozmowę kwalifikacyjną. I zawsze ich bohater jest projekcją ego autora; wszystko musi mu się udać i nigdy nie może zginąć. Na jego śmierć nie pozwala nie tyle producent serii filmów, bo zarządziłby kurę znoszącą złote jajka, ile aparat psychiczny autora, bo wyrządziłby krzywdę własnej psychice.

Podczas niedawnych uroczystości w kopalni Belchatów wiatr podniósł ministrowi Zbigniewowi Ziobrze połą marynarki i odsłonił pistolet marki Glock zatknęty na plecach za pasek jego spodni. Uroczystość była filmowana, więc niedługo potem internet zawrzał z oburzenia. I pojawiły się pytania: po co mu pistolet, skoro miał ochronę SOP? Czy przynosi go też na zebrania rządu i posiedzenia w parlamencie? Czy naprawdę umie się nim posługiwać? Ziobro tłumaczył się dość mgliście: że ma status pokrzywdzonego w procesie o zabójstwo, że posiadanie broni „do celów obrony osobistej” jest prawem każdego obywatela, że on sam strzela sportowo od ponad 20 lat, że bandyci byłiby bardzo zadowoleni, gdyby nie „posiadał broni”, i że „szanując czas funkcjonariuszy [SOP]”, zrezygnował z ich ochrony w czasie weekendu, a w ogóle to „poleca strzelectwo”, bo bardzo dobrze relaksuje i „uczy odpowiedzialności”. Pikanterii dodaje fakt, że pan minister, przemawiając w Belchatowie, zapewniał, iż będzie „walczył o polskie górnictwo”. Zapewne chodziło mu o walkę w znaczeniu metaforycznym, ale wiedząc, że gdy to mówił, miał prawdziwy pistolet za pasem, pewności już mieć nie możemy.

Mglistość wyjaśnień Ziobry sugeruje, że należałoby poszerzyć tezę Freuda. Fantazjują nie tylko dzieci i pisarze, ale także politycy. Pan minister chciałby być kimś, kim nie jest. Kim dokładnie – tego nie wiemy. Musielibyśmy go spytać o jego ulubione filmy. Być może szeryfem z jakiegoś westernu, ale oni zwykle posługiwali się rewolwerami. Nie wiem też, czy chętnie utożsamiałby się z ostatnim znanym nam szeryfem, czyli Garym Cooperem, który w 1989 roku prowadził nas na wybory. Skłaniałbym się raczej ku filmom śpiewogowskim i próbie pracowania obrazliwego przydomka, jaki nadał mu niegdyś Leszek Miller: pan minister to nie zero, ale zero zero siedem, czyli James Bond: projekcja ego nie tylko Iana Fleminga, ale i zapewne Zbigniewa Ziobry. Wiemy przecież, że bohater literacki czy filmowy jest stworzony na obraz i podobieństwo nie tylko ego autora, ale też ego czytelnika czy odbiorcy. Już Arystoteles zauważył, że jako czytelnicy czy widzowie spektakli teatralnych mamy skłonność do utożsamiania się z fikcyjnym bohaterem i przeżywania perypetii razem z nim. Każdy chłopiec, oglądając film o Bondzie, marzy, by być Bondem i przeżywać jego przygody. Najwięksi i najwierniejsi marzyciele kupują sobie nawet pistolety, ale – podobnie jak w przypadku fantazji – „starannie ukrywają [je] przed innymi, ponieważ wyczuwają powody, by się ich wstydzić”, jak pisze Freud. Gdyby nie niedyskretny wiatr, nie zobaczylibyśmy nie tylko glocka, ale i wstydliwych fantazji pana ministra. ●

Cierpliwość arcybiskupa mnie przerasta

Ja na jego miejscu natychmiast rzuciłabym papierami.

Magdalena Czyż

Jak napisać „dziękuję” arcybiskupowi w tych mrocznych dla Kościoła w Polsce czasach? Tym bardziej że na ten mrok kościelnej instytucja sama sobie zapracowała. Aż się boję zaczynać, bo domyślam się, że oberwę za to nie tylko ja, ale i ten arcybiskup. Prymas senior, arcybiskup Henryk Muszyński, 20 marca skończył dziewięćdziesiąt lat. Nie podoba mi się wiele jego poglądów, tak jak nie podoba mi się większość poglądów katolików. Z wieloma jego poglądami gotowa jestem się spierać, zwłaszcza z tym o obecności krzyża w przestrzeni publicznej.

Po wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który uznał, że krzyż w szkole publicznej łamie wolność religijną uczniów i prawo rodziców do wychowania dziecka zgodnie z własnym przekonaniem, arcybiskup powiedział: „Zadaniem władzy jest stwarzać w przestrzeni publicznej miejsce dla działalności wszystkich prawnie uznanych wyznań i religii. Wojująca laickość, która neguje, a nawet pragnie wykluczyć symbole chrześcijańskie z wymiaru publicznego, nosi na sobie wyraźne znamiona totalitaryzmu ideologicznego”.

Na moje oko i ucho nikt nie pragnie wykluczyć symbolów chrześcijańskich ani żadnych innych z wymiaru publicznego, duża część społeczeństwa europejskiego natomiast pragnie, aby symbole te znajdowały się w swoich świątyniach, zwłaszcza że świątynie również należą do przestrzeni publicznej. I jeśli katolicy, Żydzi czy muzułmanie chcą widzieć swój symbol poza terenem swojej świątyni, to jest już próba ekspansji. Jako osoba niewierząca mam prawo chcieć, aby przestrzeń publiczna, która nie jest własnością żadnej wspólnoty religijnej, nie była ozdabiana żadnymi jej symbolami. Trzymajmy się starego jak świat prawa własności, które ukształtowało europejską kulturę w takim samym stopniu, co chrześcijaństwo, a się dogadamy!

Jeden natomiast temat mamy wspólny: dialog chrześcijańsko-żydowski. Powiedzieć, że zgadzam się z arcybiskupem we wszystkich aspektach tego dialogu, to nic nie powiedzieć. Jego cierpliwość do, jak on to nazywa, wrażliwości żydowskiej niektórych radykalnych środowisk żydowskich zdecydowanie przerasta moją i sprawia, że pozostaje mi tylko zdjąć przed nim kapelusz i powiedzieć wielkie: DZIĘKUJĘ i PODZIWIAM!

Dowód: W wywiadzie rzece „Posługa Słowu” arcybiskup Muszyński wspomina: „Ze spotkaniem we Fryburgu wiąże się wydarzenie, które uczyło mnie liczenia się z wrażliwością rozmówcy, uczestnika dialogu. Były to moje pierwsze rozmowy z Żydami, nie znałem jeszcze ich wrażliwości i odczuć. W czasie dyskusji, gdy oskarżono Kościół nie tylko o chrystianizację miejsc zagłady żydowskiej, ale także o przywłaszczenie i postawienie jako wzór świętości znanej żydowskiej myślicielki Edyty Stein, pozwoliłem sobie na uwagę, że nikt nie kwestionuje jej żydowskości, przeciwnie – jako Żydówka może być wzorem dla Żydów, a jako Żydówka i święta także dla chrześcijan. Odebrano to jako impertynencję, podniosły się głosy oburzenia. Nie wytrzymał tego jeden z Żydów i dosłownie ściągnął mnie z mównicy przy żywym aplauzie dużej części sali. Takich doświadczeń się nie zapomina. (W imię prawdy muszę dodać, że później przeprosił mnie za to)”.

Zdecydowanie takich doświadczeń nie sposób zapomnieć. Ja na jego miejscu natychmiast rzuciłabym papierami. Dlatego fakt, że arcybiskup dla rozwoju dialogu z Żydami pracował nieustająco przez pół życia, zasługuje na najwyższy szacunek.

Księżę Arcybiskupie, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! ●

Powiedzieć, że zgadzam się z abp. Muszyńskim we wszystkich aspektach dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, to nic nie powiedzieć

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielitński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
WYDAWCA: Agora SA,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Czy deskorolka jest pojazdem

ChatGPT zmienił zdanie i dopiero to mnie przeraziło.

Marcin Matczak



Zacząłem się martwić, że stracę pracę. Pozbawi mnie jej sztuczna inteligencja, na przykład ChatGPT – maszyna inteligentna jak diabli i równie przerażająca. Stracę pracę jako publicysta, bo Chat już jest w stanie pisać ciekawie i kompetentnie, ale stracę ją też jako prawnik, co jest nadzieją żywioną przez tych, którzy prawników nienawidzą. Czyli prawie wszystkich.

Być może społeczeństwo wierzy, że sędzia-komputer to zmiana na lepsze, bo zamiast uprzedzonego człowieka prawo stosować będzie obiektywna maszyna. Nowe badania przeprowadzone w Bułgarii pokazują, że pokolenie pamiętające „Terminatora” nie boi się rozwoju technologii, bo ufa, że korzyści będzie z tego więcej niż zagrożeń. Są oczywiście i drżący o to, że maszyna wygryzie ich z posady. Zamiast nowej fali luddyzmu, którego przedstawiciele w XIX wieku niszczyli maszyny tkackie, by nie odebrały im pracy, badacze spodziewają się jednak zmian w kształceniu i rozwoju państwa opiekuńczego, do którego zwrócić się pokrzywdzeni przez maszyny ludzie.

Ja bym jednak z ostrożności procesowej te maszyny zaatakował z impetem, z jakim majstrowie tkaczy zaatakowali w 1861 r. fabrykę Scheiblera w Łodzi. Lepiej dmuchać na zimne. Usiadłem więc do pogawędki z ChatGPT, żeby pomścić Kasparowa, a Lee Sedola, mistrza gry „Go”, słynne ofiary starć z komputerami.

Na pierwszy ogień poszedł przykład brytyjskiego filozofa H.L.A. Harta: reguła „zakaz wpuszczania pojazdów do parku”, która ilustruje nieostrość języka, z którą borykają się prawnicy. Termin „pojazd” ma jądro znaczeniowe, które obejmuje samochód czy autobus. Gdy napotkamy któryś z tych pojazdów, nie ma problemu – nie wpuszczamy. Co jednak z rzeczami, które podpadają pod „cień semantyczny”. Czy jest pojazdem deskorolka? Wózek dziecięcy, inwalidzki?

Cwany ChatGPT deskorolki nie wpuścił, a wózek dziecięcy i inwalidzki – tak. Co jednak z tzw. przypadkiem Fullera: czy można wwieźć do parku czołg, który ma w nim stanąć jako pomnik? Tu uznał, że czołg to pojazd, a więc jest objęty zakazem. Ale też zasugerował, że należy wystąpić o pozwolenie na ten pomnik. W kolejnej odpowiedzi na to samo pytanie zmienił zdanie, i to mnie przeraziło. Czyż to nie arcyludzkie, prawnicze zachowanie, zgodne z zasadą „jeden bot powie »tak«, drugi bot powie »nie«”?

ChatGPT stwierdził, że celem przepisu jest ograniczenie ruchu kołowego. To imponujące: nie jest formalistą, myśli funkcjonalnie. Ale zaraz dodał, że jeśli przepis mówi o wszystkich pojazdach, „to pomnik czołgu nie zostałby wpuszczony do parku”. Ha! Czyli to myślenie celem było udawane! To pewnie kopia uzasadnienia z uchwały jakiejś rady miasta! Ograniczamy ruch kołowy, ale „pomnik czołgu” nie może w parku STAĆ?

To jest problem sztucznej inteligencji: rozumieć język to nie znać definicje, ale wiedzieć, jak odnosi się on do świata i jakie skutki w nim wywołuje. Nie wystarczy zamknąć się w świecie słów, które odnoszą się do innych słów. Rozumie my język dzięki zdolności do „ucieleśnionej symulacji” – doświadczenie realnego świata i tego, jak nasze ciało wchodzi z nim w interakcje, jest konieczne, by wylapać funkcjonalne powiązania pomiędzy zjawiskami. Dlatego wiemy, że „pomnik czołgu” nie jeździ. Maszyna nie wie, bo nie ma ciała i nie ma tego doświadczenia. I nie za bardzo wiadomo, jak miała by je zdobyć.

Czuąc krew, natarłem na bota kazusem Yates v. US: czy rybak wyrzucający do morza niewymiarową rybę podczas kontroli straży morskiej popełnia przestępstwo „niszczenia lub ukrywania zapisów, dokumentów lub przedmiotów materialnych w celu utrudnienia dochodzenia”. ChatGPT stwierdził, że ryba jest rybą, a nie dokumentem. Złośliwy powie, że sędziowie głosami 5-4 doszli w tej sprawie do tego samego wniosku, chcąc uchronić rybaka przed poważną karą. Jednocześnie bot zaznaczył, że wyrzucenie ryby „nie ma żadnego związku” z dowodami w tej sprawie, ale „może naruszać przepisy o ochronie przyrody”. Wiadomo, ryba to nie pil-

Oddzielenie tego, co istotne w stanie faktycznym, od tego, co nieistotne, wymaga doświadczenia życiowego, które maszynie nie jest na razie dostępne

ka. Z takim podejściem, które nie rozumie zupełnie kontekstu, można chyba powiedzieć, że trafiło się ślepej maszynie ziarno. Innymi odpowiedziami ChatGPT potwierdza, że nie potrafi, jak człowiek, postrzegać rzeczywistości sytuacyjnie. Formalistycznie uznał, że przepis dotyczący importu owoców obejmuje pomidory, bo to owoce w sensie botanicznym (inaczej sędziowie w sprawie Nix v. Hedden). Uchylił się od odpowiedzi, czy barterowe płacenie bronią schowaną w torbie za nielegalny towar jest przestępstwem popełnionym „z użyciem broni” (sprawa Smith v. US). Na stary wenecki kazus, czy lekarz ratujący zdrowie człowieka leżącego na ulicy, upuszczając mu krwi, powinien być skazany za „rozlew krwi”, odparł, że „otwarcie naczyńia krwionośnego jest przestępstwem”, a ja dostałem ostrzeżenie, że pytanie narusza zasady gadania z maszyną. Tęczowa flaga na figurze Chrystusa może być według Chata zbezczeszczeniem (na prawicy radość!). Jednak cios nożem w ple-

cy wychodzącego z mieszkania napastnika uznał za przekroczenie granic obrony koniecznej, czym okazał więcej zdrowego rozsądku niż niby ludzki Zbigniew Ziobro.

Prawo to nie szachy – nie jest zamkniętym, sztucznym systemem, w którym łatwo ustalić jeden cel, bo wiadomo, co jest wygraną. Prawo działa w świecie, wymaga rozumienia nie tylko języka, ale także rzeczywistości, w tym złożonych związków funkcjonalnych między zjawiskami. Maszyna będzie lepsza od człowieka w analizie zdjęcia rentgenowskiego, bo tam zbiór istotnych faktów ma podany jak na dłoni. W prawie oddzielenie tego, co istotne w stanie faktycznym, od tego, co nieistotne, wymaga doświadczenia życiowego, które maszynie nie jest na razie dostępne i trudno sobie wyobrazić, jak – pozbawiona ciała i emocji – miałyby je zdobyć.

Czy mogę więc spać spokojnie? I tak, i nie. Na szczęście Nick Bostrom, autor „Superinteligencji”, pisze, że ta prawdziwa pojawi się dopiero w 2075 roku. Będę miał wtedy 99 lat i będę sobie spokojnie żył, podłączony do inteligentnych maszyn, na koszt ZUS i opiekuńczego, polskiego państwa. No, chyba że za wszystkie moje grzechy lewica każe mnie odłączyć. ●

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



TOMASZ ULANOWSKI
– dziennikarz naukowy "Gazety Wyborczej" przeszedł z plecakiem ponad 1200 km wybrzeżem Bałtyku i Morza Północnego, sprawdzając czy jesteśmy gotowi na apokalipsę. I idzie dalej...

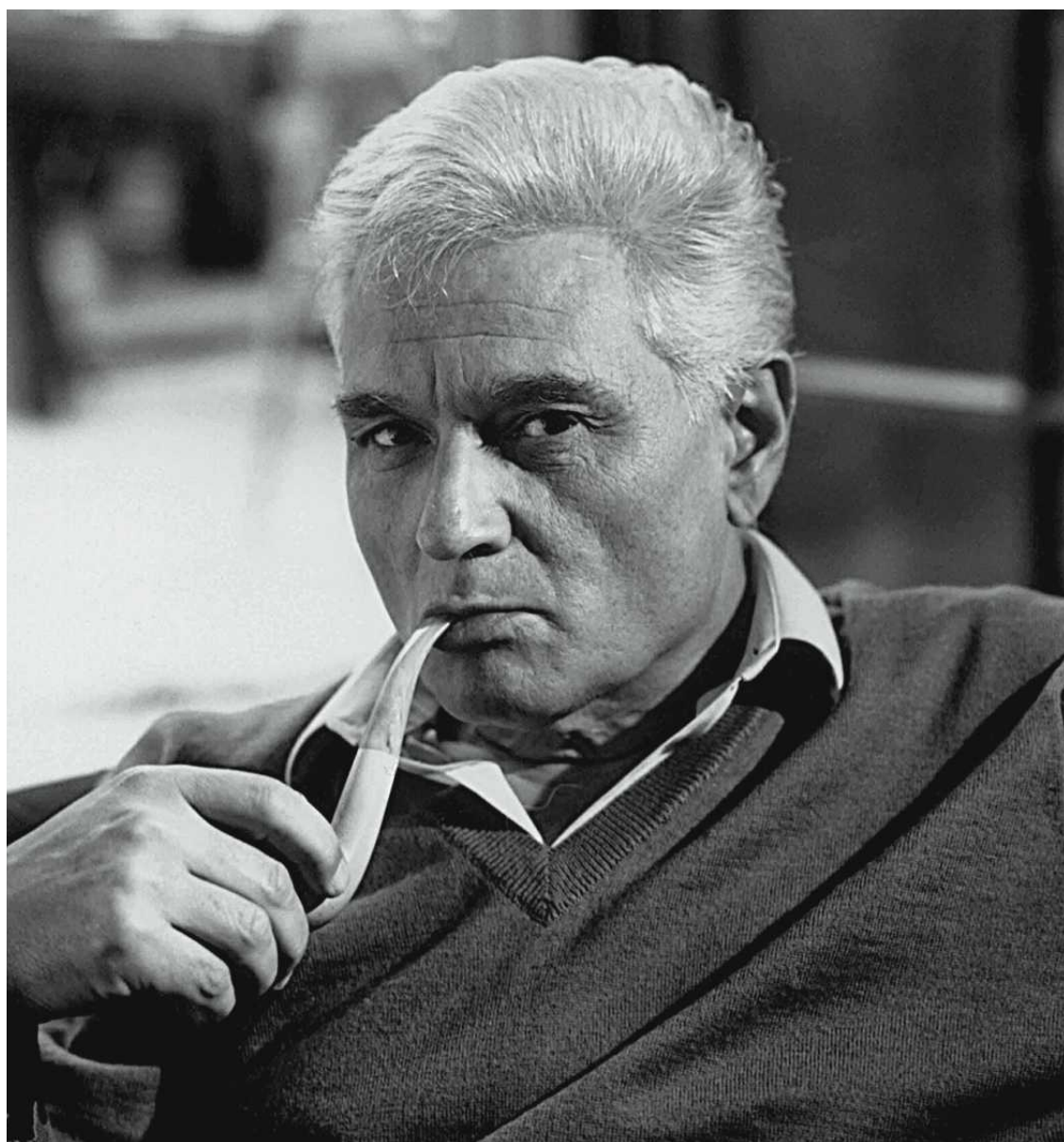
FASCYNUJĄCA WĘDRÓWKA PRZEZ ŚWIAT, KTÓRY NA NASZYCH OCZACH GINIE

Książka dla każdego, kto z niepokojem myśli o przyszłości naszej planety. Ulanowski zabiera nas w podróż przez odległe lądy, morskie głębiny, gabinety wybitnych naukowców i przez meandry własnych erudycyjnych przemyśleń. Pouczająca i niezapomniana wyprawa, dzięki której trochę mniej boimy się nieuniknionego końca świata.

ILONA WIŚNIEWSKA

Idźcie z Tomkiem. Idźcie z nim w tę ważną podróż koniecznie, żeby zrozumieć świat, w którym żyjemy.

ADAM WAJRAK



• Jacques Derrida FOT. EAST NEWS

Odrzucenie
patriarchatu oznacza
zmaganie się
z samą jego podstawą:
dyskursem wierności
i odstępstwa wobec
Pana i Władcy.
**Czy to będzie Bóg
czy Tora, papież,
proboszcz, pastor
czy rabin**

**Adam Michnik poleca
Agata Bielik-Robson i tradycja żydowska**

DOGMATYZM ŁAKNIE KOSZAR

**Czy współczesna
humanistyka nie jest
autoerotyczną fiksa-
cją? Badaniem siebie,
wglądaniem w siebie,
śledzeniem siebie,
doglądaniem siebie,
rozpaczliwą próbą
przebicia muru?**

Tadeusz Bartoś*

Gazety codzienne skierowane do masowego odbiorcy, objaśniając świat, pomijają subtelności, upraszczają – takie przekonanie od XIX wieku pokutuje pośród filozoficznej braci. Stąd pytanie, czy na łamach „Wyborczej”, jakkolwiek by było, gazety codziennej, powinno się pisać o książkach, takich jak „Marańska Pascha Derridy” Agaty Bielik-Robson. Jeśli publicystyczny przekaz upraszcza, to książka ta przeciwnie: eksploruje subtelności.

Autorka nie chce konstatować oczywistości, pielęgnuje wieloznaczność idei, poszukuje nowych

dróg myślenia – na przekór skojarzeniowym odruchom. Nieprzynależność do takich rozważań powie: „Dzieli włos na czworo”. Mniejsza o epitety.

Nie polecam książki czytelnikom pragnącym utwierdzić się w swoich dobrze ugruntowanych przekonaniach czy też szukającym poradnika, jak żyć. Jeśli Agata Bielik-Robson (A.B.R.) z rozmysłem i w kunsztowny sposób snuje wielowątkowe interpretacje, to recenzent, by uprzyścić czytelnikowi książkę, musi, przeciwnie, uproszczyć złożone, subtelne wyłożyć zdroworoządkowo, ryzykując banał. Tłumacz, wiadomo, zdrajca.

Książka jest w istotnej mierze hermeneutyką tekstów religijnych. Metaforyzm, poetyzowanie, formułowanie paradoksów to zna-

ki firmowe tego typu pracy intelektualnej. Bielik-Robson, inspirowana pismami Jacques’a Derridy, wytwarza własny język religijnego mówienia i myślenia. Książka jest w jakiejś mierze hermeneutyką teologiczną, literaturoznawczą, żywą hermeneutyką tradycji, analizującą kategorie myślowe i interpretacyjne religii żydowskiej, badającą ich wpływ na zachodni świat – według ABR znaczący, by nie rzec: fundamentalny.

Autorka za Derridą angażuje kategorię marana [patrz niżej], by przeprowadzić własny wykład tego, co inni nazywali płynną nowoczesnością, postmodernizmem, a więc wielorakimi metodami spostrzegania ograniczoności ludzkiego poznania, jego prowizoryczności albo i fikcyjności. Maranizm w jego nieostrym rozumieniu jest innym sposobem mówienia o myśleniu w epoce późnej nowoczesności, własną odpowiedzią na nowoczesność. Wiodąca idea Derridy, dekonstrukcja, może zostać wypowiedziana w języku religijnej hermeneutyki tekstów tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej.

Skoro „Marańska Pascha” jest literacko-religijną opowieścią o po-nowoczesności, to nie zdążył znaleźć tam swego miejsca istotny wątek humanistyki XX wieku, determinizm: obraz człowieka jako stuprocentowego produktu cywilizacji, gdzie także jego wolność, możliwość wyboru są wytworem totalnej struktury.

Ten sposób myślenia, skrywany m.in. pod hasłami strukturalizmu, zdezaktualizował się w poststrukturalizmie Derridy. Atrakcyjność widzenia wszędzie reguł i praw przestała być atrakcyjna; rozpo-

częła się moda na odstępstwo, odmiennność, idiosynkrazję, feerię nietożsamości. Mammy więc wybór na straganie filozoficznych ofert Francji końca XX w. Gust i smak rządzą. Nie musi to być zarzut. Gust gustowi nierówny.

Opowieść o tożsamości wiodąca idea „Marańskiej Paschy”: gra w tożsamości, epopeja tożsamości. I nie chodzi o logiczne prawo tożsamości (p jest p, q jest q), ale o literacko-filozoficzny sposób myślenia o człowieku inspirowany tekstami Derridy.

Ten francuski filozof, urodzony w Algierii, wychowany w katolickim środowisku, mający w swej rodzinie żydowskich przodków, w dojrzałym okresie twórczości podejmuje się refleksji nad własnymi przynależnościami. „Gra w przynależności” – to kolejny pasujący tu slogan. Derrida nazywa siebie maranem, a więc współczesnym odpowiednikiem Żyda, który w Hiszpanii w XV w. zmuszony był do przejścia na katolicyzm, a potajemnie podtrzymywał praktyki swej starej religii. Złożona tożsamość marana, z czasem łączącego i mieszanego elementy żydowskie i chrześcijańskie, jest tu ideą przewodnią, źródłem inspiracji.

Niepełna przynależność, zamazana, niewykluczająca, także nieprzynależność, poczucie zewnętrzności, bycia tu i tam zarazem, w to gra Derrida. Bycie maranem oznacza dla niego przekraczanie granic między partykularnymi tożsamościami, ale też religijne zaangażowanie nieograniczane ortodoksiami. Maranizm jest więc tutaj metaforą. Poszerzone zostaje znaczenie tego słowa, otrzymuje ono nowy uniwer-

salizujący sens opisujący duchową epopeję nowoczesności.

W kwestii tożsamości, gdy badamy ją systematycznie, istnieją oczywiście ujęcia graniczne, idealizacje. Z jednej strony mógłby ktoś powiedzieć: żadne przynależności nie są trwałe, wszystko płynie. Po drugiej stronie barykady ujrzelibyśmy ideę niezmienności, wpisania w istotowo-trzeciowo tożsamy ze sobą niezmienny świat. Życie toczy się gdzieś pomiędzy.

Gdzie jest owo „pomiędzy” Derridy? Gdzie Agaty Bielik-Robson? Ona sama o sobie w książce milczy, ciekawski czytelnik musiałby sięgnąć do innej, „Kłopot z chrześcijaństwem” (Czarna Owca 2013), gdzie rozmawialiśmy także o jej osobistym doświadczeniu maranizmu. A przynależność Derridy? Inaczej pewnie przebiegać musiała niż ta Heideggera, kluczowego dla niego filozofa-mysliciela, obecnego intensywnie na kartach „Marańskiej Paschy”.

On sam, Derrida, ojczyznę swą znajdujący we francuszczyźnie, choć zanurzony w wieloświecie algiersko-francusko-żydowsko-katolicko-parysko-amerykańskim.

Heidegger – jakby z antypodów. Był kilka razy za granicą, ale cały istniał jako związany z lokalnością własnego zakątka. Odnajdujący centrum świata w niemieckiej prowincjonalności, która była dla niego domem i bynajmniej nie izolacją. Niczego więcej nie potrzebował: w poetyckiej i filozoficznej niemczyźnie słyszał głosy starożytnych Greków i ich wieczną pieśń istnienia.

Aby zagłębić się w enigmatyczny świat Derridy, przyjrzyjmy się kilku słowom kluczom. Z zawilych analiz historycznego maranizmu A.B.R. ekstrahuje typowe egzystencjalne modusy bycia w świecie. Maranizm jest strukturą samo-obcości. Maran jest nigdzie, samo-odseparowany, ani Żyd, ani chrześcijanin. Osobliwa bezdomność, bez-wartościowość. Ostatecznie „sam Duch jest maranem. Nie ma tożsamości (...), jest źródłem poza źródłem i jest sobą tylko w byciu poza sobą”. Jest przed i po: przed alfą i po omedze.

Krytycznie nastawiony pomyśli zapewne o fikcji takiego nie-tożsamościowego sposobu bycia. Brak tożsamości jest moją nową tożsamością? Nietożsamość jako wycofanie się i rezygnacja z zaangażowania? Maranizm jako próba zajęcia uprzywilejowanego miejsca pośród oceanu banalnych tożsamości narodowych, religijnych, etnicznych: my oto tutaj dumnie możemy wskazać na własną nietuzinkowość. Jest jeszcze motywowana etycznie tożsamośćiofobia: silne tożsamości = przemoc symboliczna. Krytycznie nastawiony może tak pomyśleć, ale byłoby nie fair unieważniać ogrom filozoficznego zamyśłu Derridy widzianego oczyma A.B.R.

Jest jeszcze inny trop sceptyczny: tożsamościowe badania jako obsesyjne zajmowanie się sobą. To pewien rys kultury zachodniej – narcystyczne fiksacje. Walter F. Otto [filolog klasyczny] zwracał tu uwagę na wpływ psychologii głębi – „przyczynia się [ona] w najbardziej przerażający sposób do postępującego ubożenia duchowego dzisiejszego człowieka, który (...) znalazł się na najlepszej drodze do tego, by całkowicie oderwać się od

świata i zajmować się tylko i wyłącznie sobą”.

Czy współczesna humanistyka nie jest czymś takim właśnie, auto-erotyczną fikcją? Badaniem siebie, śledzeniem siebie, dogładaniem siebie, rozpaczliwą próbą przebicia muru, rozdarcia całunu grobowej izolacji?

Istotną kategorią derridiańskiej opowieści jest „skrywanie się”. Co istnieje, istnieje, skrywając się w schowku, w krypcie, zakodowane („en-crypté”). Enigmatyczność jest tu paradygmatem poznania. „Dzień pełnej prawdy nigdy nie nadejdzie” – to stanowisko przeciwne deklaracjom Pawła z Tarsu, który twierdził, że kiedyś zobaczy całą prawdę twarzą w twarz. Nic z tego.

Zagadkowość decyduje o metodzie myślenia. Sekret to ważny wątek w myśleniu Derridy. Wyzwaniem jest, jak unikać mówienia otwarcie, a zarazem powiedzieć wszystko. Do tego dorzućmy jeszcze sekret Heideggera, którego wedle A.B.R. strzegł pilnie: zadłużenie w tradycji żydowskiej, „»żydowskiej myśli ognia«, czyli dziełnictwa ognistej »ruah«, której sekret płonie tak w Heideggerze, jak w Derridzie”.

Nietożsamość to także sprzeczność, zwana eufemistycznie antynomią. Jest i nie jest zarazem Żydem, chrześcijaninem, wierzącym, niewierzącym. To, czego nie dopuszcza logika, może być trafną próbą wyrażenia ludzkiego doświadczenia, niepewności. Dziś łatwiej trawi się taki sposób mówienia, choćby dzięki fizyce kwantowej, która o częstotliwości mówi, że jest ona i nie jest zarazem w jednym miejscu, widuje się ją bowiem równocześnie i tu, i tam.

Antynomiczność języka to także wolność. Już od czasów Dunsza Szkota wiemy, że z dwóch zdań sprzecznych wynika dowolne zdanie. I bynajmniej nie chodzi o pojękiwanie w duchu logicyzmu, ale wskazanie na logiczne warunki wolności absolutnej. Niebycie wpisanym otwiera więcej możliwości niż bycie zamkniętym w gorszej nieruchomości tożsamości.

Prawdziwa wiara, czytamy, musi chronić swój przewrotowo-sprzecznościowy charakter. Robi to w milczeniu, w ukryciu. Dyskrekcja to ważny wymiar maranizmu. Przemilczenie, sekret – coś może być bliższe maranom? I tym historycznym, i tym współczesnym myślicielom prywatności.

Antynomiczność to także idea „zbawienia przez grzech” – myśl Gershoma Scholema. Grzech zakazany przez Torę jest zarazem przez Torę narzucony wybrańcom, którzy mają Torę porzucić, „przyjąć obcą wiarę i przemienić ją od wewnątrz” (Abraham Cardoso). Derridę A.B.R. postrzega jako następcę Scholema. Derrida jest współczesnym maranem, którego obowiązkiem jest odstępstwo. Maran odstępcą sięga głębiej przesłania religii żydowskiej niż wierny Torze Żyd. Odstępcą w swym odstępstwie jako odstępstwo przewartościowuje, zdradę uznaje za boski nakaz. „Doświadczenie zaprzęństwa jest w istocie bolesnym i źródłowym trwaniem w wierności”. „Wierność w zdradzie” – to formuła Derridy.

Trochę to pokrętne, rzec by można – niewychowawcze. Choć niewątpliwie ocena zdrady wymaga najpierw oszacowania przedmiotu zdrady. Religijne odstępstwo dla jednych może być niegodziwością, dla innych godną pochwały asertywnością.

Dodajmy od siebie, że napięcie wokół kwestii wierności-niewierności religijnej konfesji ma typowe cechy patriarchalnego systemu przemocy, która ustanawia religijny schemat dyscyplinujący i wyznacza pole, w którym rozgrywa się możliwe warianty odstępstw. Odrzucenie patriarchatu oznacza jednak najpierw zmaganie się z samą jego podstawą: dyskursem wierności i odstępstwa wobec Pana i Władcy, czy to będzie Bóg, czy Tora, papież, proboszcz, pastor czy rabin.

Warto też pamiętać, że odstępstwo ma mieć charakter dialektyczny, jest zdradą w imię rozwoju tradycji, byciem w sercu tradycji, by ją ożywiać. To „odpowiedzialna niewierność” w imię tradycji. Nie tyle proste sprzeniewierzenie się, ile sprzeniewierzenie się, by ocalić. Rozwój zakłada zmianę, a więc niemożliwa jest literalna wierność. Ten jej brak niefortunnie nazywa się tu zdradą, co o tyle jest fatalne, że zdrajców się karze. A kara przyjdzie.

Innym istotnym wątkiem osobliwej transgresyjności maranizmu jest uniwersalizacja żydowskości. Rozwinięta zostaje na kartach książki idea żydowskości poza wszelkim judaizmem. Bycie Żydem staje się kwestią egzystencjalnego uposażenia, a nie przynależności religijno-narodowej.

Czytamy więc np., że bycie Żydem to bycie otwartym na przyszłość. I vice versa. Teza Derridy, że więcej prawdziwej żydowskości jest poza judaizmem, że bardziej Żydem jest Żyd odrzucający judaizm, budzi niepokojące skojarzenia (pisałem o tym w książce „Upadek, niemożliwy”).

Był już kiedyś w historii taki Żyd, który mówił podobne rzeczy. To Paweł z Tarsu. Ochrzczonych nazwał prawdziwymi Żydami, w przeciwieństwie do Żydów tylko obrzezanych. Okazało się szybko, że ci tylko obrzezani są dziećmi diabła.

Jak się to skończyło – wiemy. Ile procent żydowskości w Żydzie – to praktyki segregacyjno-rasistowskie. Niechciane skutki m.in. hermeneutycznych zabiegów Derridy. Pozostaje mieć nadzieję, że w najbliższych wiekach teksty Derridy będą mniej popularne niż listy Pawła z Tarsu w ostatnich dwóch tysiącleciach.

Kategorie religii żydowskiej zostają przetworzone intelektualnie, by stać się narzędziami diagnostycznymi zachodniej cywilizacji. Obok maranizmu jest jeszcze mesjańskość. Duch mesjański staje się w książce metaforą cywilizacji współczesnej. Mesjańskość jako nakierowanie na przyszłość całego świata przekracza judaizm. Nie patrzymy w przeszłość, ale wyglądamy nowego. Mamy więc powtórzenie gestu Pawła.

Mesjańskość Derrida arbitralnie określa jako „heterogeniczną inność”. Gdy pamiętamy, że pojęcie „różni” („la différence”) jest kluczowe dla jego filozofii, widzimy raz jeszcze, jak tę własną filozofię próbuje wyrazić w katego-

riach religijnych. Mamy ład kontra zerwanie, antynomiczną nieciągłość, którą Derrida kojarzy ze słowem „mesjanizm”. To mesjanizm ma przynieść radykalną sprawiedliwość.

Za Sabatajem Cwi [mystyk] czytamy, że „ostatecznym celem studiowania Tory jest pogwałcenie Tory”. Derrida dodaje, że ostatecznym powołaniem żydowskiego archiwum jest zamienić się w kupę popiołu (spopielenie wirtualne). Popiół to „via negativa” samoodradzającej się tradycji. Ona zawsze jest powstawaniem z popiołów. W tle widzimy chrześcijańską figurę: przez śmierć do życia. Przyszłość na gruzach przeszłości. Maran to prekursor nietożsamościowego modelu życia, to iskra ducha przeciw archiwalnej literze.

Nie ma powrotu do przeszłości. Nie istnieje coś takiego jak nieskażony pierwotny stan. Derrida „nie zamierza wracać do miejsca żadnej czystej, realnej, prawdziwej żydowskości”. Pomieszenie, wymieszanie, języków, kultur, wielo-tożsamość. Historycznie to choćby hellenizacja religii żydowskiej w epoce aleksandryjskiej świetności (ca III w. p.n.e. – IV w. n.e.). Nie ma powrotu do czystej hebrajskości. Derrida woli nieczystą Babel, pomieszenie, kontaminację.

Sporzeczność z klasyczną tradycją żydowską, który A.B.R. prowadzi pod przewodnictwem Derridy, jest sporem myśliciela uciekającego od dosłowności. Takie przedłożenie uwalnia czytelnika od dociekania racji pojawiających się formuł. Nie pytamy, jakie są logiczne racje wyводу poetyckiego, podobnie rzecz ma się z myśleniem religijnymi figurami. Trzeba się domyślać, zgadywać. Nic nie jest podane wprost.

Książka wprowadza czytelnika w zapomnianą sztukę myślenia obrazami. Myśl Zachodu popadła w abstrakcjonizm pojęć, wysiłek A.B.R. stara się przywrócić i pokazać rzetelną pracę filozoficzną przy użyciu figur, archetypów jako prawzorów obrazów.

Smutek naszych czasów to rozdarcie między pustymi ruchomymi obrazkami filmowych opowieści a pustymi, bez kształtu, smaku, zapachu, koloru strukturami abstrakcyjnej myśli – czy to filozoficznej, czy wszelkiego innego wytworu nowoczesnych nauk.

Książka A.B.R. ma ambicje uniwersalnej filozoficznej syntezy. Autorka odkryła pojęcie, za pomocą którego porównuje i zestawia znaczącą część tego, co wydarzyło się w dziejach filozofii: to kabalistycznej proveniencji idea „cimcum”, wycofania się Boga, by znalazło się miejsce dla świata. Wielcy filozofowie, od Platona po Heideggera i Derridę, są interpretowani za pomocą tej mitologicznej opowieści. Znikanie Boga, śmierć Boga, współczesny ateizm, zapomnienie bycia, zapomnienie Boga, dekonstrukcja, istotne wątki filozofii XX wieku rozpracowane zostają przy użyciu idei „cimcum”.

Rozmach filozoficznego zamyśłu zmusza autorkę do lapidarności sformułowań. Stanowisko Hegla, Nietzschego czy Heideggera streszcza niekiedy w kilku słowach. Rodzi się pytanie, czy rzeczywiście przytaczany filozof tak myślał. Ja sam niektóre wątki zapamiętałem inaczej. Taki już los

silnych interpretacji. Dzieło nastawione na uogólnione zestawianie wielkich figur filozoficznych, na uniwersalną syntezę obarczono jest ryzykiem dostosowywania poglądów omawianych filozofów do własnego interpretacyjnego klucza.

Patrzę na recenzję, którą napisał. Zaglądam raz jeszcze do książki A.B.R. Błady cień wobec bogactwa treści. Tak miało być. To, co czyni tę książkę uniwersalną, to fakt, że nie jest szkolnym opracowaniem myśli Derridy, ale raczej współmyśleniem, oryginalną adaptacją derridiańskiego maranizmu. Autorka rozwija sztukę interpretacyjną, którego istotną regułą jest wolność: myśli, intuicji, skojarzeń, poddawanych żmudnemu procesowi wydobywania ukrytych znaczeń.

Jeśli szukacie humanistyki, która jest nie tylko bibliotekarską sprawozdawczością, ale też twórczą „wariacją na temat”, czytajcie „Marańską Paschę Derridy”.

Na koniec pesymistyczna refleksja. Nie spodziewam się znaczącej recepty tego ważnego filozoficznego dzieła. Przyczyn jest wiele. Oto kilka z nich.

Niechęć do pochwały cudzego, narastająca maniera dobierania się nie do dzieła, ale do autora. Dominacja urazowo-plotkarskiego nastawienia, atrofia życzliwego podejścia, niezdolność do spontanicznej sympatii – rzeczy niezbędnych, by rozpocząć rozmowę.

Filozofia od czasów Platona, jeśli nie jest dogmatyzmem, pozostanie rozmową przyjaciół, miłośników mądrości. Niezobowiązującą, niekoniecznie konkluzywną, sposobem wspólnego bycia razem. Jej przeciwieństwem są monologi. One wymagają jedynie posłuchu, uległości, dyscypliny. Dogmatyzm łaknie koszar. I starannej procedury ewaluacyjnej. ●

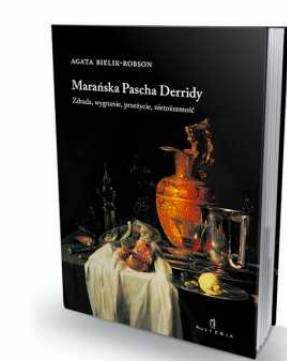


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Tadeusz Bartoś

• filozof, profesor Akademii im. Aleksandra Gięysztora w Pułtusku. Ostatnio opublikował m.in. książkę „Upadek, niemożliwy. Eseje filozoficzne”, Pasaże 2022. Tytuł tekstu – „Wyborcza”

Agata Bielik-Robson, **„Marańska Pascha Derridy. Zdrada, wygnanie, przeżycie, nietożsamość”**, Austeria 2022



Ci irytujący hedoniści Ukraińcy

Spokojne życie wydało się gospodarzowi Kremla nudne i nużące

Jerofiejew*

Nikt chyba nie zauważył, że od początku wojny rosyjsko-ukraińskiej w istocie toczy się nie jedna, nie dwie, ale trzy wojny po kolei. Innymi słowy, cele i założenia wojny po stronie rosyjskiej uległy w ciągu roku radykalnym zmianom.

Ideologicznie zygzakowata konstrukcja wojskowa, przypominająca wijącą się żmiję, zrodziła się z tego, że sama jej koncepcja od samego początku była uparcie skrywana nawet przed kremłowskimi elitami. Plan zakładał logikę wywróconą do góry nogami, poddyktowaną osobistą nienawiścią Putina do „zbójckiego” sąsiada. To był gniew kogoś zazdrosnego, rogacza, od którego uciekła żona, nie wytrzymując rodzinnych przejść i kierując wzrok na inne, europejskie formy bytu.

Pytanie, czy sama uciekla, czy też uwiódł ją amerykański narzeczoną i jego europejscy kolesie, mąż rozstrzygał jednoznacznie: to drugie! Uważał swoją zniszczoną rodzinę za swoją własność, a tymczasem został oszukany i zhańbiony!

Białoruś też chciała uciec, ale ujął ją w żelazny uścisk Łukaszenka i udało się – wróciła na swoje miejsce. Więc dlaczego nie spróbować z Ukrainą?

Tutaj problem nie dotyczył Ukrainy, ale samej Rosji i trzeba było to przedstawić w taki sposób, że Ukrainie lepiej z Rosją, bo tak naprawdę nie istnieje jako niezależne państwo, to państwo wymyślone, a wszyscy Ukraińcy to tacy sami Rosjanie. Czyli z jednej strony została oddana w ręce amerykańskiego narzeczonego, a z drugiej – nie ma jej.

Oczywiście taka nieistniejąca Ukraina, zamieszkała przez rdzenną ludność rosyjską, nigdy nie istniała. Jej ucieczkę od Rosji tłumaczono tym, że była i jest inna: cechuje ją uporczywy hedonizm, radość życia związana z klimatem panującym nad Morzem Czarnym, ma też własne pojęcie własności prywatnej i sensownej pracy. Mentalność rosyjska zaś jest w pewnym stopniu zainfekowana antyeuropejskim tumiwizmem.

W czasach sowieckich różnice między Rosją a Ukrainą były mniej widoczne, ale popularne w Ukrainie pieśni i tańce ludowe z pewnością nie by-

skoro nie było i nie ma powrotu do mocno przegnilego ZSRR sprzed pie-restrojki?

Gdyby jednak sowietyzacja Ukrainy się udała, i do władzy doszedłby przyjaciel kremłowskiego gospodarza Medwedczuk czy inny – jak mu tam? – Janukowycz, Ukraina zachowałaby tożsamość i nadal patrzyłaby tęsknie na Zachód ze swojej klatki. Ale nie wróciła ani sowiecka klatka, ani Janukowycz.

Sowieccy bracia Rosjanie ze zdumieniem odkryli, że Ukraińcy nawet na wsiach mają toalety w domach, a nie na ulicach jak my. Różnica cywilizacji i kultury zachowań była na wyciągnięcie ręki, ale nasi propagandziści i władze nadal przypisują wszystkie swoje blamaże inspiracji USA. Naród rosyjski, zapatrzonny w TV, w to uwierzył, a Moskwa przez cały czas żyje hulaszczym życiem klasy średniej.

Druga faza wojny wkradła się niepostrzeżenie i o ile ta pierwsza była sowiecka, o tyle ta druga historyczna.

Wycofawszy się na góry ustalone pozycje, rosyjscy przyjaciele powrócili do idei, która nawiedziła ich jeszcze w 2014 r., gdy trwała wojna o Donbas: istnieją części Ukrainy, które Rosja źle zrozumiała lub bezmyślnie Ukrainie podarowała (tu winien był Lenin, nie tylko Chruszczow), i że ziemię tę, zwane w dawnych czasach Noworosją, należy odebrać.

Ukraina została podzielona na tubylców i obcych, a ponieważ główne hasło ideologiczne ukryte w rosyjskiej duszy brzmi: „Jesteśmy lepsi od wszystkich”, to obcych należy bezwzględnie eliminować w imię tych swoich.

Historyczne znaczenie Noworosji stało się już zapomnianym szczegółem carskich kampanii, ale sięgając do tego źródła, można wzruszyć wiele granic Europy i Azji. Odkąd kremłowska propaganda opanowała telewizyjną sztukę zniewalania naszych rodaków bajkami o Rosji jako wiecznie rosnącej, jak ciasto, potędze, to noworosyjskie wyjaśnienie też się wyczerpało, nawet bardziej niż sowiecka fikcja.

W drugim, historycznym etapie wojny odbyły się tzw. referenda. Rosja uzyskała nowe granice, które jednak zmieniają się z bitwy na bitwę, ale w umysłach Kremla cała Noworosja, łącznie z Odessą, aż po Mołdawię, jest skazana przez historię na bycie rosyjską.

No dobrze, powiedzmy, że tak by się stało. Ale co z obcą, wroga teraz Ukrainą? Oczywiście musiałaby w końcu stać się ofiarą, cała. Może Użhorod i obwód użhorodzki można by teoretycznie oddać Węgrom w zamian za dobre zachowanie ich premiera, który popiera Putina. A jak zadrży Polska i Rumunia, gdy Matka Rosja się do nich zbliży!

Już w trakcie historycznej wojny o Noworosję zaczął się rozwijać załazek nowej wojny – metafizycznej. Stopniowo Zachód zaczął nie słowami, ale czynami wspierać Ukrainę, która stała się twierdzą NATO.

Istotą wojny metafizycznej jest to, że obie strony stały się ostatecznie i nieodwołalnie dobrem i złem, światłem i ciemnością, i teraz kompromis, jakiegokolwiek negocjacje pokojowe są wykluczone. Po Buczy, „referendach” i in-

nych rosyjskich osiągnięciach militarnych Zachód uznał, że jest coś takiego jak metafizyczne światło Ukrainy.

Metafizyczna wojna kieruje nas w stronę Biblii, gdzie apokaliptyczne bitwy nie kończą się tchórzliwymi rozejmami. Walka trwa do ostatniego żołnierza. Rosja ma więcej żołnierzy, a rosyjski żołnierz bardziej się boi przelozonych niż śmierci.

Zachodnia pomoc wojskowa, skoro dostawy są opóźnione, raczej nie doprowadzi Ukrainy do zwycięstwa. Rosyjski przywódca nie jest tchórzem. Gdy na ciemnym podwórku lubuz wyciąga finkę, wie, że przeciwnik też jest uzbrojony. Trzeba walczyć do ostatniego człowieka, i to zrobi rosyjski przywódca. Krym? Któż by oddał Krym! Oddać Sewastopol? Nie ma mowy!

Nie wykluczam, że w niesprzyjających okolicznościach militarnych zapędzony w róg przywódca mógłby rzucić bombę atomową na Kijów. Zachód od 1945 r. jest tak przesiąknięty pacyfizmem, że raczej przyjąłby to do wiadomości, niż na taki atak odpowiedział.

Cóż, jeśli ktoś chce szczęśliwego zakończenia, niech sobie wyobrazi luksusowy 140-metrowy jacht gospodarza, z wielką banderą, płynący po Morzu Śródziemnym, i samego gospodarza na mostku z lornetką, z lekko skwaszonym wyrazem triumfu na twarzy, spoglądającego na podbite brzegi z grymasem: „No i co, to też przelknęliście?”.

Jak zatrzymać tę metafizyczną wojnę? Widzę trzy możliwości.

Oczywiście trzeba sobie darować „piękną Rosję przyszłości” – fikcję naszych dzielnych rosyjskich liberalów. Piękna Rosja przyszłości się posrała. I to nie pierwszy raz.

Po raz pierwszy bolszewicy zniszczyli słodki sen liberalów w 1917 r. Teraz pierwszą opcją jest „l'être et le néant” (byt i nicość, Sartre) samego przywódcy Kremla. Na próżno zgaduje się, kiedy go zabraknie: będzie, dopóki go nie zabraknie. Gdy go zabraknie, może pojawić się nowy Chruszczow, jak dawno temu, po Stalinie. Reżim zacznie szukać sposobów na wyjście z izolacji.

Drugi wariant to krótki, pragmatyczny związek Chin i USA, które powiedzą jednym głosem: dość! Niemożliwe?

Trzeci wariant to całkowite wyczerpanie Ukrainy.

Nowy mały Chruszczow jest jakimś wyjściem z metafizycznego impasu. Być może świat złapie oddech, skończy się metafizyka. Ale tak czy inaczej rany zostaną na wiele pokoleń. ●

przeł. arp



***Wiktor Jerofiejew** – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego powieść „Różowa mysz” (Wyd. Agora)
Tytuł - „Wyborcza”.

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn



FOT. DMITRI LOVETSKY/AP

To nawet nie metafora, ale realny w mniemaniu Putina skandal rodzinny.

Pierwsza wojna, która rozpoczęła się 24 lutego 2022 r., dotyczyła powrotu jego żony do domu. Politycznie było to zgodne z planem odtworzenia ważnej europejskiej części ZSRR, bo bez Ukrainy Rosji brakowało siły, by zawisnąć nad Europą i znowu zamienić się w mocarstwo: realne, przerażające lub na swój sposób urocze (dla wszystkich, którym znudziło się życie w Europie i chcą wyskoczyć z komfortowych ram).

Wojna zaczęła się jako sowiecka operacja wojskowa, mająca na celu błyskawiczny powrót Ukrainy na właściwe jej miejsce. Zarazem ukraińskiego prezydenta Zełenskigo Rosja uważała za blazna, za którym krył się prawdziwy amerykański pan młody w patriotycznym cylindrze.

To, czy Putin zdawał sobie sprawę z tego, że Ukraina uciekła od Rosji, aby żyć lepiej, tak jak społeczeństwa zachodnie, a może po prostu pragnęła wolności, nie jest istotnym pytaniem.

ly holdem dla ZSRR, lecz świadomym spełnianiem obowiązku wobec tradycji narodowej.

Zatem pierwsza, sowiecka wojna z dzisiejszą Ukrainą została przegrana, zanim się zaczęła. Jednak gospodarzowi Kremla przytakiwali także ci ideolodzy i funkcjonariusze resortów siłowych, którzy odczuwali podobną nienawiść do sąsiedniego „pseudokraju” (taką samą nienawiść żywiła Moskwa do Gruzji; przeniosła ją także na Polskę, choć do Polski droga daleka – kiedy Ukraina wróci do domu, jak mówią, to dotrzemy i do Polski).

Skąd się bierze ta nienawiść? Ano być może z podziału świata na tubylców i obcych, z uwielbienia dla zwycięstw na rodzinnym podwórku, w siłowni, a potem na etatach w KGB. Spokojne życie wydało się gospodarzowi Kremla nudne i nużące.

Dzisiaj już wiemy, że rosyjscy oficerowie mieli w ekwipażu parade munitury, przygotowane na wielki dzień zwycięstwa. Kampania sowiecka nie powiodła się. A jak mogła się udać,

OŚLEPNIJ Z ZACHWYTU

W czasach narcyzmu „zapomnienie o sobie” postulowane przez poetę wydaje się najbardziej wyrafinowanym programem moralnym

Krzysztof Siwczyk

Poeta żyje o tyle, o ile jest czytany, zwłaszcza po śmierci. Za życia można kierunkować swoją literacką karierę, profilować jej losy, roić o jej wiecznym trwaniu. Wszystkie te zabiegi weryfikuje śmierć. Na dobrą sprawę jest ona starterem właściwego odbioru dzieła. Nie jest już ono obciążone ciężarem realnego ciała, konkretnego uśmiechu, wyrazistej osobowości. Dzieło osamotnione i pozbawione rękami obecności autora wychodzi wreszcie na trudną wolność. Jest to wolność, której warunki i ramy określa odtąd czytelnik. To w nim realizuje się wizja i przesłanie autora, jego niedokończone pomysły i niespełnione ambicje nie mają już żadnego znaczenia. Pozostają konkretne książki, poszczególne wiersze, ożywiane przed oczami czytelnika, zmartwychwstające na moment lektury pod lichym światłem nocnej lampki.

Oto dar, jaki możemy zaoferować umarłym poetom i poetkom. Nic poza tym.

Mineły dwa lata od śmierci Adama Zagajewskiego. W Stanach Zjednoczonych ukazał się właśnie w przekładzie Clare Cavanagh tom „Prawdziwe życie”, ostatnia opublikowana przez Zagajewskiego książka poetycka. Gdy czytam recenzje, wnioskuję, że za oceanem Adam wiedzie drugie życie w przekładzie, jest czytany jako symbol „polskiej szkoły poezji” – czyli jako autor o specyficznym doświadczeniu historycznym, w którym przesiedlenia po II wojnie światowej stały się przyczynkiem do szukania swojej prawdziwej ojczyzny. Zagajewski „prawdziwego życia” i ojczyzny zaznał poza miejscem i czasem, w kondominium sztuki wysokiej i muzyki poważnej, w kosmosie wielkiej literatury XX wieku. Nie był jednak pięknoduchem i parnasistą. Był facetem z krwi i kości. Był też przy tym łagodny i niezmiernie dowcipny. Był też świetnym ambasadorem swojej twórczości i jej najlepszym menago. Przy okazji, zwłaszcza za oceanem, dbał o dobre imię poezji polskiej. Jednym słowem – robił to, czego nie robi wielu. Od pewnego momentu, kiedy osiągnął już absolutny parnas i sławę, zszedł na ziemię i dzielił się tymi dobrami z tymi, którzy nie mieli w literackim życiu tylu powodów do satysfakcji. Bardzo go za tę cechę ceniłem. To był jednak rodzaj altruizmu, który nie uzgadnia się z wizerunkiem Adama jako mieszkańca wieży z kości słoniowej, z której spogląda na małe interesiki i wzajemne podkładanie świń w tzw. środowisku literackim.

Wiele takich świń sam mu podkładałem, oczywiście w pokątnych rozmowach w latach 90., kiedy młodzi poeci bardzo Zagajewskiego nie lubili. Był symbolem literackiego światowca, gładko przedostającego się w przekładach do większości dużych języków, a stamtąd już bezpośrednio do dużych pieniędzy płynących z nagród i uniwersyteckiego uznania. Taki miałem obraz Zagajewskiego, mojego gliwickiego krajana. Nie mogę uwierzyć, że za chwilę minie trzydzieści lat od ukazania się książki, która wywoływała te idiosynkrazje. Otóż w roku

1994 ukazał się tom „Ziemia ognista”. Wracam do tej książki, włączam nocną lampkę i próbuję odtworzyć temperaturę starych konfliktów. Otóż nic w tych wierszach nie usprawiedliwia złośliwostek, do których byłem skłonny. A dwa teksty pozostają dla mnie najważniejszymi wierszami, jakie napisał Zagajewski. Chodzi mianowicie o tekst „Palmiarnia” i wiersz „Uchodźcy”.

Wiele świń sam mu podkładałem, oczywiście w pokątnych rozmowach w latach 90., kiedy młodzi poeci bardzo Zagajewskiego nie lubili

Gliwicka palmiarnia stoi, jak stała, i chyba nadal jest miejscem ucieczki przed obleśną rzeczywistością. Chodzę do niej dokładnie z tych samych powodów, co Zagajewski przed laty: „W tym niewielkim, czarnym mieście, twoim mieście/ w którym nawet pociągi zatrzymywały się niechętnie,/ nie odwracając głowy od swych finalnych przeznaczeń, w parku, jakby na przekór ceniom i sadzy,/ stał szary budynek o perłowym wnętrzu”. Jedyne, co uległo zmianie, to kolor miasta. Nie jest już czarne. Jest metaliczne, korporacyjne, pełne botoksu na twarzach i ukrywanych łez, jeszcze bardziej pragmatyczne niż w czasach, w których mieszkał w nim Zagajewski wraz z rodziną, a jego ojciec uczył na Politechnice Śląskiej. W palmiarni przybyło stanowisk akwarystycznych. Wielkie ryby patrzą na ludzi z zadziwieniem. Trudno powiedzieć, kto ma większe usta.

Ostania zwrotka „Palmiarni” głosi coś zadziwiającego. Mianowicie jest w niej to, czego nie potrafiłem dostrzec w Adamie, kiedy byłem gówniarzem. Otóż on był zawsze bardzo otwarty na drugiego człowieka. To ja kiedyś, hołdując stadnym, środowiskowym odruchom, nie chciałem tej otwartości dostrzec.

Zagajewski manifestował ją oczywiście w sposób zakamuflowany, w języku obciążonym kulturową wzniosłością. Był to kiedyś dla mnie język obcy. Dopiero dziś staram się opanować jego podstawową gramatykę: „Zapomnij o sobie, oślepnij z zachwytu,/ zapomnij o wszystkim i może wtedy wróci/ głębsza pamięć i głębsze braterstwo, i powiesz nie wiem, nie wiem jak się to stało/ – palmy otworzyły moje chciwe serce”. Czytam dziś te słowa zgola inaczej niż kiedyś. Zmienia się czas i kontekst. Łatwość, z jaką pogardzamy bliźnimi, jest jeszcze łatwiejsza, społecznie akceptowalna. Sam jestem ofiarą tych procesów. Pogardzam i jestem pogardzany. Bynajmniej nie winię za ten stan rzeczy faszyzującego się polskiego państwa. Głębsza pamięć (choćaby o książkach, które w życiu przeczytałem), nie pozwala mi po prostu wierzyć w człowieka, w jego skłonności do dobra. Dowodów mam bez liku, w każdym kliknięciu, na każdym portalu widnieje jeden komunikat: jesteśmy złem. Absolutnie amoralnym, banalnym złem. Głębsze braterstwo, o którym pisze Zagajewski, dziś wydaje się równie utopijne jak w latach ciężkiej komuny. A jednak nie jest niemożliwe. Może się wydarzyć chociażby na prawach całkowitej niespodzianki, niewiedzy. Dobro jest impulsywne, podobnie jak zło. Pytanie, z jakiego źródła przyjdzie impuls. Adam odkrył je w sztucznym raju palmiarni, w panoptikum, gdzie wiekowe rośliny patrzą na nasze chwilowe istnienia pełne pretensji do wyjątkowości.

W czasach narcyzmu „zapomnienie o sobie” postulowane przez poetę wyda-

je się najbardziej wyrafinowanym programem moralnym i surową regułą zakonu altruistów. Czytając ten wiersz, czuję się, jakbym na moment lektury był jego członkiem.

Po jej zakończeniu odzywa się we mnie „chciwe serce” i bierze nad wszystkim górę.

Drugi ważny dla mnie wiersz z „Ziemi ognistej” antycypuje wydarzenia, których świadkami byliśmy niedawno. Rzecz jasna w całości ta poetycka antycypacja wywiedziona jest z doświadczeń przeszłości, z obrazów uchodźców, które towarzyszą każdemu konfliktowi zbrojnemu. Poeta pisze: „To może być Bośnia, dzisiaj./ Polska we wrześniu 39, Francja -/ osiem miesięcy później, Turynia w 45./ Somalia lub Afganistan, Egipt”. Dziś jest to Ukraina. Nie ma tu poetyckiego zaskoczenia – concept zrównoważonego pandemonium, jakiego doświadczają ludzie na skutek wojen, jest dla Adama tyleż oczywisty, co wierny wiedzy o człowieku jako nawozie w tępej mechanice wojny. Nie ma innych wojen niż wojny na wyniszczenie. Wyniszczenie to pojęcie adekwatne do kondycji ludzkiej. W „Uchodźcach” jednak poeta idzie dwa kroki dalej, w kierunku całkowitego braku nadziei w obecność jakiegokolwiek sensu, który można traktować z powagą i wiarą w ocalenie. Są to dwie końcowe zwrotki, które faktycznie pozostają dla mnie literackim dowodem na szacunek i respekt, jakim Adam darzył Emila Ciorana. Autor „Historii i utopii” był faktycznie dla Zagajewskiego przewodnikiem po sceptycyzmie. Obraz uchodźców jest pokrewny głośnemu (który z aforyzmów Ciorana nie jest głośny!) aforyzmowi Ciorana: „Ten, kto wczytał się w spojrzenia i gesty ludzi, wyciąga z tego tylko jedną lekcję: skamienienie serca, i jeden ma tylko ideał do zaproponowania: samotność”. Bo nie ma bardziej samotnych ludzi niż uchodźcy zbici w ciżbę, których poeta zobaczył w ruchu ku Utopii: „i to charakterystyczne pochylenie,/ jakby w stronę innej, lepszej planety,/ mającej mniej ambitnych generałów,/ mniej armat, mniej śniegu, mniej wiatru,/ mniej Historii (niestety, takiej planety/ nie ma, jest tylko pochylenie).// Powlócząc nogami, idą powoli, bardzo powoli/ do kraju nigdzie,/ do miasta nikt/ nad rzeką nigdy”. Taka wizja uchodźców brutalnie ucieleśniła się na granicach. Na tych, które zostały otwarte, i na tych, które okazały się zasiekami nie do przejścia. Otwarte serca Polaków i skamieniałe twarze funkcjonariuszy państwa wpisują się w jeden wielki obraz „Kraju Nigdzie”, o którym pisał Zagajewski.

Adam Zagajewski zmarł w tzw. światowy dzień poezji. Mógł umrzeć w każdym innym dniu, ale tak się złożyło. Pamiętam doskonale ten dzień. Redakcja „Gazety Wyborczej” poprosiła, żebym pożegnał go na łamach. Byłem ogłupiały. Pisałem wspomnienie, ale trochę w malignie. Im dalej od tego dnia, tym wyraziściej widzę Adama i jego charakterystyczny uśmiech.

Zostanie już dla mnie poetą nut jasných, uśmiechów przez łzy. Ale też poetą „ciemnej ścieżki”, metodycznego wątpienie i grozy.

Grozy, której nie chciał uznać jako ostateczny horyzont ludzkiej egzystencji, przeciwstawiając jej heroiczne „opiewanie okaleczonego świata”, które ściągnęło mu na głowę sporo szyderstw tych, którzy nie byli w stanie tego robić. Nie wiem, czy w dzisiejszym stanie rzeczy tego świata Adam Zagajewski napisałby taki wiersz jak „Spróbuj opiewać okaleczony świat”. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zanurzając magdalenkę w herbacie, Proust wyprzedził neurobiologów, psychologów, chemików i behaviorystów

Z KOGNITYWISTKĄ
ANN-SOPHIE BARWICH*
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Jeśli zapytamy sześciu naukowców, czym jest węch, otrzymamy sześć różnych odpowiedzi... – Mówiąc o zapachu, lubię sięgać po słowa poety Walta Whitmana – każdy zapach „zawiera wielość”. Zapachy są z natury wielowymiarowe, wymagają więc badań interdyscyplinarnych.

Zacznijmy od fizycznych bodźców, z którymi stykamy się na co dzień. Zapachy są przenoszone przez lotne cząsteczki unoszące się w powietrzu, więc można je badać jako chemik, np. analizując strukturę molekularną w celu syntezy znanych i tworzenia nowych zapachów.

Ale zapachy są również sygnałami, które odbieramy ze środowiska i które wpływają na nasze zachowanie, dostarczając informacji. Nie sprawdzamy przecież, czy mleko nadaje się do picia, patrząc – zwykle je wąchamy. Zapachy oczywiście odgrywają kluczową rolę w życiu zwierząt, jeśli chodzi o ocenę pokarmu, partnerów i potencjalnych zagrożeń. Możesz więc badać ich znaczenie jako biolog behawioralny, a potem jako neuronaukowiec – jak informacje chemiczne przekładają się na aktywność mózgu.

No i istnieje wiele skojarzeń psychologicznych, które w związku z zapachami tworzymy przez całe życie, zwłaszcza w dzieciństwie. Są mocno związane ze wspomnieniami – jak szczególnie bliskie memu sercu zapach garażu ojca czy gulaszu ciotki. Ale jak właściwości chemiczne, takie jak podwójne wiązania, łańcuchy węglowe i garść atomów, mogą przywołać wspomnienia domu i nostalgii? Aby odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba psychologów, ale także filozofów. Co jest ostatnią rzeczą, której ludzie pozbywają się po śmierci bliskich? Ubrania. Pachną tak jak rodzice czy osoby, które straciliśmy, i ten zapach zapewnia poczucie obecności, którego nie są w stanie oddać zdjęcia czy nagrania głosu.

A nie wspomnieliśmy jeszcze o perfumiarzach i ich zaawansowanej wiedzy na temat estetyki i kompozycji. Interdyscyplinarność w nauce to nic nowego, ale w przypadku zapachów jest szczególnie ważna, bo studiowanie tego zmysłu daje szansę zrozumieć, jak nasze umysły mogą tworzyć różne obrazy mentalne, wspomnienia i emocje, a nawet poczucie fizycznej obecności, w odpowiedzi na tysiące cech molekularnych.

Może to zdziwić wiele osób, ale współczesne naukowe badanie węchu rozpoczęło się na dobre dopiero w 1991 r.

– Wielkim przełomem było odkrycie genów receptorów węchowych przez Lindę Buck i Richar-

da Axela na Uniwersytecie Columbia, za które dostali Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny.

Receptory, które wykrywają substancje chemiczne w naszym środowisku, należą do bardzo ważnej rodziny receptorów białkowych, GPCR – receptorów sprzężonych z białkami G. Tworzą one nadrodzinę białek transbłonowych, które biorą udział w wielu fundamentalnych procesach, takich jak widzenie, regulacja odpowiedzi immunologicznej i detekcja neurotransmiterów. Rodzina genowa tych białek obejmuje około 10 proc. genomu ssaków, a same receptory GPCR są zaskakująco rozległe: mówimy o tysiącu genów u myszy i ponad 400 typach receptorów u ludzi! Podczas gdy największa rodzina receptorów sprzężonych z białkami G przed odkryciem receptorów węchowych – rodzina serotoniny – liczy ich 15. To odkrycie było więc niemal fundamentalne dla genetyki czy neurobiologii.

Ty utrzymujesz, że mamy dwa zmysły węchu?

– Jednym jest wąchanie ortonosowe, czyli wdychanie zapachów przez nos. To mamy zwykle na myśli, gdy mówimy o węchu. Podczas wdechu unoszące się w powietrzu lotne cząsteczki dostają się do nosa i docierają do cennej warstwy komórek na szczycie

Węch, wielki zapomniany

COŚ TU ŚMIERDZI



FOT. SHUTTERSTOCK

OGŁOSZENIE
PARTNER STRATEGICZNY:
POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK
JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

jamy nosowej – nabłonka. Nabłonek zawiera węchowe neurony czuciowe z receptorami węchowymi, z którymi wiąże się cząsteczki. Ta dotykowa interakcja pomiędzy cząsteczkami i receptorami wysyła sygnał przez neurony do mózgu, a konkretnie do cebulki węchowej. To ciekawe spostrzeżenie dla hipochondryków: te węchowe neurony czuciowe są jedynymi komórkami nerwowymi, które są bezpośrednio wystawione na świat zewnętrzny. Stanowią więc znakomity cel dla infekcji – i dlatego regenerują się co trzy-pięć tygodni, inaczej po kilku przeziębieniach utracilibyśmy węch. Węch jest jednym z bardzo

niewielu układów, gdzie regeneracja komórek nerwowych trwa nawet w dorosłym życiu.

Mamy również drugi, mniej doceniany zmysł węchu: węch retronosowy. Dzięki niemu doceniamy smak jedzenia i picia. Kiedy jesteśmy przeziębieni, wszystko jest pozbawione smaku. Bo to, co uznajemy za smak jedzenia, jest w rzeczywistości jego aromatem wykrywany przez receptory zapachowe w nosie. W czasie żucia pokarmu cząsteczki aromatu wędrują przez tylną ścianę gardła do nosa. Cząsteczki są wypychane w górę wraz z powietrzem pochodzącym z płuc, a otwór łączący usta z jamą nosową nazywamy gardłem.

Zapach i smak sprowadzają się do tych samych typów cząsteczek i receptorów zapachowych, różnica polega na doświadczeniu zapachu. Kiedy rano parzysz kawę, pachnie niesamowicie. W porównaniu z tym smak jest jakby... no cóż, co najmniej rozczarowuje – ale nikt nie powie: „Obudź się smakiem kawy”. Ortonosowy aromat kawy jest inny niż doznanie retronosowe. I na odwrót, kiedy poczujesz zapach naprawdę śmierdzącego sera, np. Époisses, to sam zapach jest nieprzyjemny, ale smak jest cudowny. To żadne czary, ale fizjologia. Powietrze z płuc ma inną temperaturę niż to na zewnątrz, co wprowadza dodatkowy czynnik, który decydu-

je o kolejności, z jaką cząsteczki docierają do nabłonka. To przykład, że sprowadzanie zapachów do samej chemii stanowi zbyt duże uproszczenie.

Dlaczego porównujesz węch do Kopciuszka wśród zmysłów?

– Bo był przez wieki pomijany. Nie uważano go za poważny temat naukowych czy filozoficznych rozważań, nie zapewniał bogactwa i uznania jak inne obszary. Dlatego też wciąż dobrze ma się wiele przesądów – np. że ludzie mają słabo rozwinięty zmysł węchu, który zanika w toku ewolucji.

Pogląd, że zapach jest nieistotny w ludzkim poznaniu, jest jak teoria płaskiej Ziemi w opisywaniu zmysłów.

Tymczasem wielu sławnych badaczy, w tym sam Steven Pinker, przekonuje, że Homo sapiens w toku ewolucji traci receptory węchowe. Węch staje się dla ludzi coraz mniej ważny?

– Moją pierwszą reakcją na tę opinię zawsze jest: Aaaaarrrrrghhh! Proszę sobie wyobrazić, jak właśnie macham rękami w powietrzu, a potem biorę głęboki oddech.

Zapytaj Pinkera o jedno z ważniejszych fizycznych ludzkich doświadczeń – o jedzenie. Nie jemy dla samego jedzenia, ale dla przyjemności. A które ludzkie doświadczenie zmysłowe przekształciło krajobraz społeczno-gospodarczy na skalę globalną? Handel przyprawami. Polowanie na nowe smaki ukształtowało współczesny świat. Jaki jest jeden z największych sektorów przemysłu warty miliardy? Branża spożywcza. A doświadczenie jedzenia to w dużej mierze wąchanie retronosowe. Nie mamy na języku receptora cynamonu. Cynamon w smaku – gdyby pozbawić go aromatu – jest niezwykle rozczarowujący, wręcz ohydny.

A jeśli ktoś odwołuje się do genetyki, to cóż – większa liczba receptorów nie oznacza lepszego węchu. Rzecz jasna mamy niewiele słabsze nosy w porównaniu z psami czy słoniami, ale gdy myślimy o usunięciu około 80 proc. cebulki węchowej – tej struktury organizującej sygnały z receptorów – ich węch się nie pogorszy.

W skrócie: zapach nie stał się mniej istotny dla ludzi. To, co się wydarzyło, to to, że ewolucja człowieka faworyzuje wąchanie z bliskiej odległości, a w szczególności postrzeganie smaków. Kolejny zabawny fakt: zwierzęta makrosmatyczne (o bardzo dobrze rozwiniętym zmysle węchu) takie jak psy i myszy nie posiadają węchu retronosowego. W ich przypadku kość oddziela jamę nosową od jamy ustnej. Twój pies nosowię więc wyczuć aromat pieczeni, ale brakuje mu bogatego doświadczenia smakowego, którym cieszą się ludzie w czasie jedzenia.

A dla tych, którzy wciąż wątpią w rolę węchu: możecie przeprowadzić prosty eksperyment w tej chwili. Przygotuj sobie coś o bogatym smaku i zatkaj nos tak, aby powietrze nie dostawało się do wnętrza. Następnie spróbuj to zjeść lub wypić. Nawet jeśli to będzie dobre wino, smak okaże się niezwykle ubogi. Teraz uwolnij nozdrza i wykonaj wdech. Wszystkie nuty aromatyczne nagle powrócą. Jeśli nie lubisz wi-

W ciągu miesiąca grupa neuronów reagujących na zapach całkowicie się zmienia

na, niech ktoś podaje ci kawałki jabłka i cebuli, a ty smakuj je z związanymi oczami. Nie bédziesz w stanie ich odróznici.

Ale podobnie myślą równiez osoby, które nie są naukowcami. W jednej z ankiet ponad połowa nastolatków wolała zrezygnować z wéchu niż gadzetu technologicznego. Dlaczego wéch tak mało nas interesuje? – Z niewiedzy. Jeśli chodzi o świat dome doświadczzenie, zapach jest kierowcą na tylnym siedzeniu. To, jak jest ważny jako łącznik ze światem fizycznym, zauważasz, gdy go utracisz. Osoby cierpiące na anosomię opisują swoje codzienne doświadczzenie zmysłowe jako odcięcie od świata, jakby były za szklaną ścianą.

Nos rozszerza zmysł dotyku – dotyka i tłumaczy materialne, lecz niewidzialne właściwości świata, pomaga odnaleźć drogę w ciągle zmieniającym się środowisku chemicznym. I nie chodzi tylko o jedzenie – ale choćby o rozpoznawanie zmian fizjologicznych w początkowym okresie choroby. Dlatego frustrują mnie lekarze mówiący pacjentom cierpiącym na anosmozę: „Och, proszę się nie martwić, to tylko obniżenie jakości życia”. A nawet jeśli – to co czyni cię szczęśliwszym i wzbogaca twoje życie? Scrollowanie TikToka godzinami czy uroczy posiłek z przyjaciółmi lub rodziną? Co bédziesz pamiętał za dziesięć lat?

Osobieście miałbym problem, żeby przypomnieć sobie trzy zapachy z wczoraj. Ale jednocześnie ważne wspomnienia wiążą się często z zapachami. Wéch wspiera pamięć? – Zależy, co masz na myśli, gdy mówisz o pamięci. Czy sięgniesz po zapachy, aby zapamiętać listę zakupów spożywczych albo kod PIN? Ale przywołując wspomnienia z dzieciństwa albo perfumy czy wodę kolońską ukochanej osoby – jak najbardziej. Jednak, dzięki Bogu, nie każdy zapach jest wyryty w twoim mózgu w ten sposób, inaczej nieustannie przypominałbyś sobie moment, w którym coś poczułeś. Zapachowy Dzień Świstaka. No i są różne rodzaje pamięci: krótkoterminowa i długoterminowa, semantyczna czy autobiograficzna – ich powiązań z zapachem jeszcze w pełni nie rozstrzygnięto, więc jeśli skrycie marzysz o Noblu, mam dla ciebie dobre wyzwanie.

Często wpadamy w pułapkę Prousta, który przypisywał zapachowi mistyczną moc przywołowania pamięci. Jakiś zapach nagle nas obezwładnia i niespodziewanie cofamy się w czasie – tak to sobie wyobrażamy. Spróbujcie jednak policzyć deskryptory zapachu w jego słynnym epizodzie z magdalenką z „W poszukiwaniu straconego czasu”. Bédziecie zawiedzeni. Nie odnajdziecie żadnych. W dodatku wspomnienie Prousta nie jest przykładem tego, co zwykle kojarzymy z zapachami przeszłości. Proust nie zostaje nagle wrzucony w czasy dzieciństwa. Siedzi i kontempluje, próbując przywołać wspomnienia, gdy zanurza magdalenkę w herbacie.

Ale w ten sposób Proust ubiega wręcz naukowców, pokazując, że możemy wykorzystywać zapach aktywnie, wręcz świadomie, łącząc wiele wskazówek sen-

sorycznych, od wéchu po reakcje motoryczne, by odtwarzać pożądane wspomnienia. A to oznacza, że możesz trenować przypomnianie sobie zapachów, np. trzech z wczoraj. Wystarczy zwracać uwagę na otoczenie zapachowe, na to, co czujesz.

W ogóle uważam za szokujące to, jak niewiele uwagi zwracamy na nasze zmysłowe otoczenie. Jeśli mogę wskazać jednego winowajcę, to są nim cholerne ekrany pożerające świadomość. Zjedz coś, delektując się, następnie zjedz coś przed komputerem i dzień później spróbuj przypomnieć sobie, jakich smaków doświadczałeś. Różnica w bogactwie i jakości twojego życia zmysłowego oraz pamięci sprowadza się do uwagi i świadomości.

Przez cały XX wiek chemicy wierzyli, że uda się rozszyfrować zapachy za pomocą analizy cząsteczek. Twoim zdaniem to niemożliwe.

– Zgodne z intuicją wydaje się stwierdzenie, że „zapach to chemia”, ale znów przestrzegam przed pokusą korzystania z intuicji. Okej, wykrywamy informacje chemiczne jako cząsteczki w otoczeniu, a mózg nadaje im sens w postaci zapachów. Ponieważ chemicy modelują te cząsteczki, powinniśmy po prostu zastosować modele chemii analitycznej do klasyfikowania zapachów i wyprowadzić z nich przyczynowy model korelacji bodziec – reakcja. Do tej pory rozumowanie brzmi dobrze. Jednak pojawia się pytanie o nagrodę: czy receptory w naszych nosach reagują na te same cechy fizykochemiczne, które są istotne w modelach chemii analitycznej? Innymi słowy, czy receptory w naszym nosie uporządkowałyby cząsteczki zapachu w taki sam sposób, w jaki sklasyfikowałby te cząsteczki chemik? To pytanie empiryczne i moje poprzednie laboratorium na Columbi testowało to zwodniczo proste zagadnienie. Okazało się, że tak nie jest. Receptory węchowe nie przejmują się zasadami chemii analitycznej. Nie możemy ignorować biologii i przechodzić bezpośrednio od chemii do umysłu. Musimy zrozumieć, jak biologia postrzega chemię.

To prowadzi nas do genetyki. Wéch jest jednym z najbardziej genetycznie zróżnicowanych systemów. Ty i ja nie mamy w nosie tego samego „zestawu reagującego”, bo różnimy się wzorcami ekspresji receptorów i mutacjami w genomie. Na pewno znajdują się czytelnicy, którzy naprawdę nie lubią kolendry. Zamiast świeżości i zieleni, z jaką kojarzą ją niektórzy, wydaje im się ona mydlana i ostra. Takie osoby mają mutację w pobliżu jednego z genów receptora wéchu, co wpływa na ich postrzeganie aldehydów w kolendrze. Cząsteczki są te same, ale doświadczenia różne – z powodu różnych reakcji receptorów i wrażliwości.

Kolejny przykład, cząsteczka androstenonu – jedni uważają, że jest bardzo nieprzyjemna, ponieważ pachnie moczem, inni nie lubią jej, gdyż przypomina zapach ciała, ale znajdują się tacy, którym przypomina kwiaty, komuś pachnie drzewem, a jeszcze inni nie odbierają żadnego zapachu.

No i zastanówmy się, czym jest bodziec chemiczny. Wiele czą-

Cząsteczka zapachowa indolu znajduje się w kawie, jaśminie, kale i perfumach. Kwas masłowy – w wymiocinach, parmezanie i nasionach milorzębu. Głównymi bohaterami opowieści o zapachach są biologia i psychologia, nie chemia

stekzek zapachowych pochodzi z wielu źródeł – cząsteczka indolu znajduje się w kawie, jaśminie, kale i niektórych perfumach. Z kwasem masłowym spotykamy się w wymiocinach, parmezanie albo nasionach milorzębu. Dlatego, aby stworzyć konkretny obraz mentalny dla zapachu, którego doświadczamy, potrzebujemy kontekstu – wizualnego czy słownego. Jeśli powiem ci, że mieszanina, którą czujesz, to parmezan, twoja reakcja będzie inna, niż gdy powiem ci, że to wymiociny.

Chemia jest ważną częścią opowieści o zapachach, ale nie jej głównym bohaterem. Ta rola należy do biologii, a w konsekwencji do psychologii. Wéch pozwala badać wiele związków między percepcją zmysłową i zachowaniem.

Twierdzisz, że wéch może nam umożliwić sformułowanie uniwersalnej teorii funkcjonowania wszystkich zmysłów.

– Po pierwsze, zapach podważa naszą intuicję i niekwestionowane, przednaukowe wyobrażenia o umyśle i świecie. A po drugie, jest starszy ewolucyjnie niż np. wzrok. Dlatego może nam dać szersze spojrzenie na naturę pozostałych zmysłów.

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu „Jutronauci”, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi się zmienić szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmienia się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzmy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

Na przykład zapach z natury dotyczy wykrywania zmian – szybko przyzwyczajamy się do zapachów w otoczeniu i szybko zauważamy zmiany w składzie chemicznym otoczenia. Od razu wiesz, że ktoś pierdzi... Dlaczego nie zadać pytania, jak to jest skorelowane z widzeniem, z tym, jak jest modelowane pod kątem wykrywania ruchu i jak wzrok konstruuje stałe tło?

Jak blisko zrozumienia funkcjonowania wéchu jesteście w drugiej dekadzie XXI wieku?

– Wiemy już całkiem sporo. Problem polega na tym, że ciągle próbujemy go wyjaśnić, stosując modele np. z badań nad widzeniem. Potrzebujemy zmiany paradygmatu, zakwestionowania dotychczasowych założeń – co też już się dzieje.

Oczywiście wielu rzeczy wciąż nie wiemy. Między innymi tego, jakie cechy cząsteczek są biologicznie istotne dla receptorów. Albo dlaczego nie ma stabilnej przestrzennej reprezentacji zapachów w korze gruszkowatej, czyli największej części kory węchowej – jej brak to kluczowa różnica między węchem a wzrokiem czy słuchem. W ich przypadku można odwzorować bodziec topograficznie i zidentyfikować stabilne neuronalne korelaty fizycznych cech bodźca. W przypadku wéchu nie. Skąd więc mózg wie, co wącha? Odpowiedź wymaga wyjścia poza mapowanie i śledzenie przełożenia informacji wejściowych na wyjściowe. Zamiast tego musimy zrozumieć dynamikę całego systemu.

Podam przykład, co rozumiem przez dynamikę: w 2021 r. w przełomowym badaniu w korze gruszkowej odkryto zjawisko zwane dryfem reprezentacji. W ciągu miesiąca grupa neuronów reagujących na zapach całkowicie się zmienia. W korze mózgowej nie ma więc stabilnych neuronalnych korelatów dla żadnego zapachu! A więc ta „brakująca mapa” stanowiła zagadkę, gdy zakładaliśmy, że obiekty umysłowe muszą być odwzorowane na wyraźne i stabilne cechy, czy to chemiczne, czy neuronowe. Zagadka znika, gdy wiemy, że mózg skutecznie „przepisuje” sam siebie, pozwala organizmowi na zdobywanie nowych doświadczeń i elastyczne reagowanie na cząsteczki zapachowe w zmieniających się kontekstach.

Tu pojawia się kolejne pytanie – dlaczego mimo tej zmienności rozpoznajemy znajome zapachy? Ponieważ wéch nie jest izolowanym systemem, jest sprzężony z innymi systemami mózgu – takimi jak związany z pamięcią hipokamp. Ale jak to działa? Bardzo chciałabym się dowiedzieć.

W historii nauki chyba nigdy nie było momentu, w którym mielibyśmy za mało danych. Problemem było to, że nie mieliśmy odwagi testować niestworzonych alternatyw i pomysłów. Dziś wéch oferuje nam tereny łowieckie dla nowych idei.

Czego potrzebujemy w dalszych badaniach? Może pomocna będzie sztuczna inteligencja?

– Przestrzegam przed modą na sztuczną inteligencję w rozwiązywaniu czegokolwiek lub wszystkiego. Dziennikarstwo naukowe ma tendencję do wychwa-

lania modeli AI. Nie zrozum mnie źle, AI jest fantastycznym narzędziem, ale jest tak dobra, jak dobre są dane – a obecnie jest szkolona na modelach chemicznych, nie biologicznych. To jak próba modelowania astronomii z geocentryczną perspektywą. Jasne, otrzymasz pewne dopasowanie danych, które wygląda prawdziwie. Jednak tak samo było z Ptolemeuszem i jego teoriami przed Kopernikiem i Keplerem.

To, czego potrzebujemy, to więcej prac nad zrozumieniem biologii, zwłaszcza receptorów i zjawisk korowych takich jak dryf reprezentacyjny.

Mówisz o biologii, ale jednocześnie podkreślasz, że nie rozumiemy wéchu bez filozofii. I że wéch wpływa na filozofię.

– Jeśli chcesz badać świadomość, uciekaj z tej jednokierunkowej uliczki modelowania świadomości poprzez uwagę wzrokową. Filozofowie, którzy to robią, przypominają pijaka szukającego w nocy kluczyków do samochodu pod latarnią. Kiedy ktoś pyta, czy zgubił kluczyki pod latarnią, pijak odpowiada: „Nie, ale tu światło jest lepsze”. Jeśli chcesz rozwikłać zagadkę świadomości, zrób krok do tyłu, a ogarniesz szerszą perspektywę. Przecież zapach też nieustannie wchodzi i wychodzi z naszej świadomości. Filozoficzne i naukowe teorie świadomości staną się o wiele bardziej interesujące, gdy poszerzymy nasze wyobrażenia o zmysłach. ●



*Ann-Sophie Barwich

• kognitywistka, stypendystka w Centrum Nauki i Społeczeństwa Uniwersytetu Columbia oraz w Instytucie Konrada Lorenza ds. Badań nad Ewolucją i Poznaniem w Wiedniu. Pracuje na Indiana University Bloomington

„Wéch. Co nos mówi umysłowi”, Ann-Sophie Barwich, tłum. Tadeusz Chawziuk, wyd. Copernicus Center Press. Książka już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



PŁYNĄ LODY GRENLANDII

Naukowcy wiercą w lodzie Grenlandii i potrafią wyczytać historię jej klimatu, a nawet przyszłość. Oto, co wyczytali.

Tekst: **Tomasz Ulanowski** Infografika: **Wawrzyniec Świącicki**

Zajmuje obszar niemal sześciokrotnie większy od powierzchni Polski. W najgrubszym miejscu jego wysokość przekracza trzy kilometry. Jest też prawie największym – po Antarktydzie – rezerwuarem słodkiej wody. Gdyby cały spłynął do oceanu, średni poziom morza podniósłby się o ponad siedem metrów.

Lądolód grenlandzki istnieje od przeszło 100 tys. lat. Obecnie zagraża mu globalne ocieplenie.

Jak podaje NASA, w ostatnich dwóch dekadach Grenlandia traciła netto średnio 273 mld ton lodu rocznie. Innymi słowy: tyle śniegu jej corocznie brakuje, żeby pokryć utratę lodu – umykającego ze schodzących do oceanu i cielących się lodowców (podmywanych przez coraz cieplejszą wodę morską) oraz tającego i spływającego z powierzchni lądolodu podczas okresowych roztopów, zwykle wtedy, kiedy nad Grenlandią operuje ostre słońce.

Oczywiście cały lód nie spłynie z Grenlandii za naszego życia. Ale jeśli nie przyhamujemy globalnego ocieplenia, stanie się to być może już w najbliższym tysiącleciu.

W jednym z ostatnich wydań „Nature” naukowcy z Niemiec i Danii rekonstruują średnie temperatury powietrza przy powierzchni lądolodu grenlandzkiego, sięgając aż tysiąc lat wstecz. Byli w stanie to zrobić, korzystając z rdzeni lodowych wywierconych w różnych miejscach lądolodu.

Jak piszą, w latach 2001-11 średnia temperatura powietrza przy powierzchni lądolodu grenlandzkiego była aż o 1,5 st. C wyższa od średniej z całego XX w. I jednocześnie najwyższa od tysiąca lat. Oznacza to, że margines bezpieczeństwa chroniący powierzchnię lądolodu przed odwilżą się kurczy.

Efekt?

W sierpniu 2021 r. po raz pierwszy w historii obserwacji na najwyższy szczyt lądolodu grenlandzkiego spadł deszcz – zamiast śniegu.

Rekonstrukcja w „Nature” nie obejmuje zresztą ostatniej dekady, globalnie najcieplejszej w historii pomiarów temperatury.

Jak podkreślają uczeni, wahania temperatury powietrza nad Grenlandią są wyraźnie skorelowane z topnieniem lądolodu.

Z wcześniejszych badań wiadomo, że jeszcze w relatywnie chłodnym XX w. lądolód grenlandzki właściwie nie tracił masy. Ubytki lodu były wtedy rekompensowane przez opady śniegu.

Obecnie – razem z lądolodem antarktycznym – dolewa on blisko połowę wody do wzrostu średniego poziomu morza. A pomiary satelitarne, których wyniki udostępnia NASA, pokazują, że tylko od 1993 r. lustro oceanu podniosło się o przeszło 10 cm (od początku XX w. – o ponad 20 cm).

Według najbardziej mrocznej prognozy Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu – jeśli nadal będziemy pompować w powietrze coraz więcej gazów cieplarnianych – tylko do końca XXI w. globalne ocieplenie sięgnie 5,7 st. C (do dziś od czasów przedprzemysłowych średnia temperatura Ziemi podniosła się o blisko 1,2 st.).

A ocean może spuchnąć nawet o dwa metry w porównaniu ze stanem dzisiejszym.

Topniejący coraz szybciej lądolód grenlandzki będzie natomiast odpowiadał za jedną czwartą tego wzrostu.

Co wpływa na grubość pokrywy lodowej Grenlandii

Bilans masy jest najważniejszym parametrem określającym kondycję lodowca.

Jest to różnica pomiędzy **akumulacją** śniegu i wzrostem masy lodowca a **ablacją**, czyli utratą lodu spowodowaną przez odłamywanie się jego fragmentów i topnienie.

Stacja badawcza Summit na szczycie lądolodu grenlandzkiego

3216 m n.p.m.

Śnieg

to podstawowy budulec lądolodu. Świeża pokrywa śnieżna ma niską gęstość (50-200 kg/m³) i najwyższe **albedo** na Ziemi (do 90 proc.). Oznacza to, że prawie w całości odbija promieniowanie słoneczne, nie nagrzewając się. Z tego powodu stanowi bezcenną warstwę izolacyjną chroniącą lód lodowcowy o znacznie niższym albedo (20-40 proc.) przed nadmiernym topnieniem.

Firn

to pośrednie stadium metamorfozy pomiędzy śniegiem a lodem lodowcowym. W kolejnych sezonach firn topnieje i ponownie zamarza. Przykrywany jest świeżym śniegiem, znajdując się coraz głębiej pod powierzchnią. W efekcie gęstość firnu rośnie, ponieważ przestrzenie powietrzne między cząstkami firnu się zaciskają.

Lód lodowcowy

składa się z dużych kryształów o wielkości liczonej nawet w centymetrach. Wewnątrz lodowca lód ma barwę błękitną (rozprasa światło niebieskie, pochłaniając pozostałe kolory). Na powierzchni przybiera barwę szarą ze względu na gromadzące się zanieczyszczenia i szorstkość powierzchni załamującej światło. Albedo lodu lodowcowego jest znacznie niższe niż śniegu i najczęściej zawiera się w przedziale 20-40 proc.



śnieg
gęstość: 50-200 kg/m³
ilość powietrza: 90 proc.

firn
gęstość: 400-830 kg/m³
ilość powietrza: 20-30 proc.

lód lodowcowy
gęstość: >830 kg/m³
ilość powietrza: <20 proc

Strefa akumulacji
obszar z dodatnim bilansem masy lodowca (opady śniegu przeważają nad utratą lodu)

Linia równowagi

Studnia (młyn lodowcowy)
głęboki otwór powstały po częściowo zamkniętej, pogłębionej przez wodę szczeliny

Kanał subglacjalny

Strefa ablacji
niżej położone partie lodowca, gdzie opady śniegu są niższe i przeważają procesy topnienia

Szczeliny
powstają w wyniku przyspieszonego ruchu lodu w strefie powierzchniowej

Całkowity ruch lodowca
– jego prędkość zależy od głębokości

Przepływ wewnętrzny
wynikający z plastycznej deformacji lodu

Poślizg

– mały zakres ruchu

Pałac Kultury i Nauki w Warszawie

231 m

Jednostka topnienia

Kostka lodu jest cięższa od świeżego śniegu o tej samej objętości, ponieważ zawiera więcej wody. Aby móc porównywać zmiany ilości śniegu i lodu, glaciolodzy posługują się tzw. **ekwiwalentem wody**.

Bilans masy najczęściej wyraża się jako wysokość stupa ekwiwalentu wody (w mm, cm lub m). Jednostka ta informuje, jak wysoka warstwa wody powstałaby po stopieniu danej substancji o określonej grubości. Na przykład stopienie 10 cm śniegu o gęstości 100 kg/m³ to tylko 1 cm ekw. w., podczas gdy 10 cm lodu o gęstości 900 kg/m³ to aż 9 cm ekw. w.

Zmiany objętości lodu można także podawać w wartościach bezwzględnych, np. w gigatonach (Gt). 1 Gt to miliard ton (1 km³) ekw. w.

Smarowanie wodą

Na Grenlandii od dłuższego czasu obserwuje się stały wzrost liczby dni w roku, podczas których lód topnieje. Strefa ablacji, gdzie latem tworzą się powierzchniowe zbiorniki wody, powiększa się w coraz szybszym tempie. Woda powstała z topnienia powierzchniowego przesącza się przez szczeliny w lądolodzie i przyspiesza jego topnienie w głębi. Docierając do podłoża skalnego, nawilża je i działając jak smar redukując tarcie, ułatwia poślizg po podłożu.

Prędkość płynięcia lodu

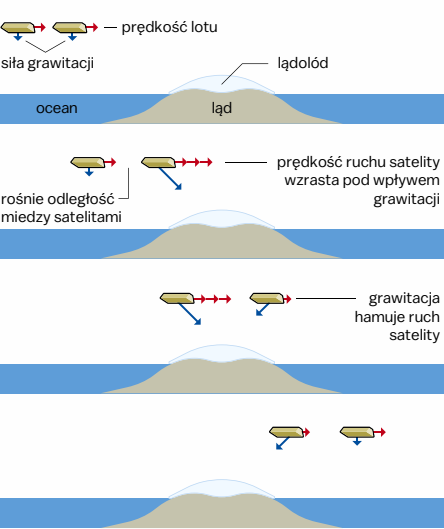
Lód lodowcowy jest materiałem lepkoplastycznym. Do pewnego momentu zachowuje się jak ciało stałe, lecz po osiągnięciu krytycznego naprężenia zaczyna się deformować i pętnąć. Prędkość ruchu jest wynikiem kombinacji wielu czynników, m.in. bilansu masy, grubości lodu, kąta nachylenia, temperatury, obecności wody, szorstkości podłoża itd.

Skąd wiemy, ile lodu ubywa

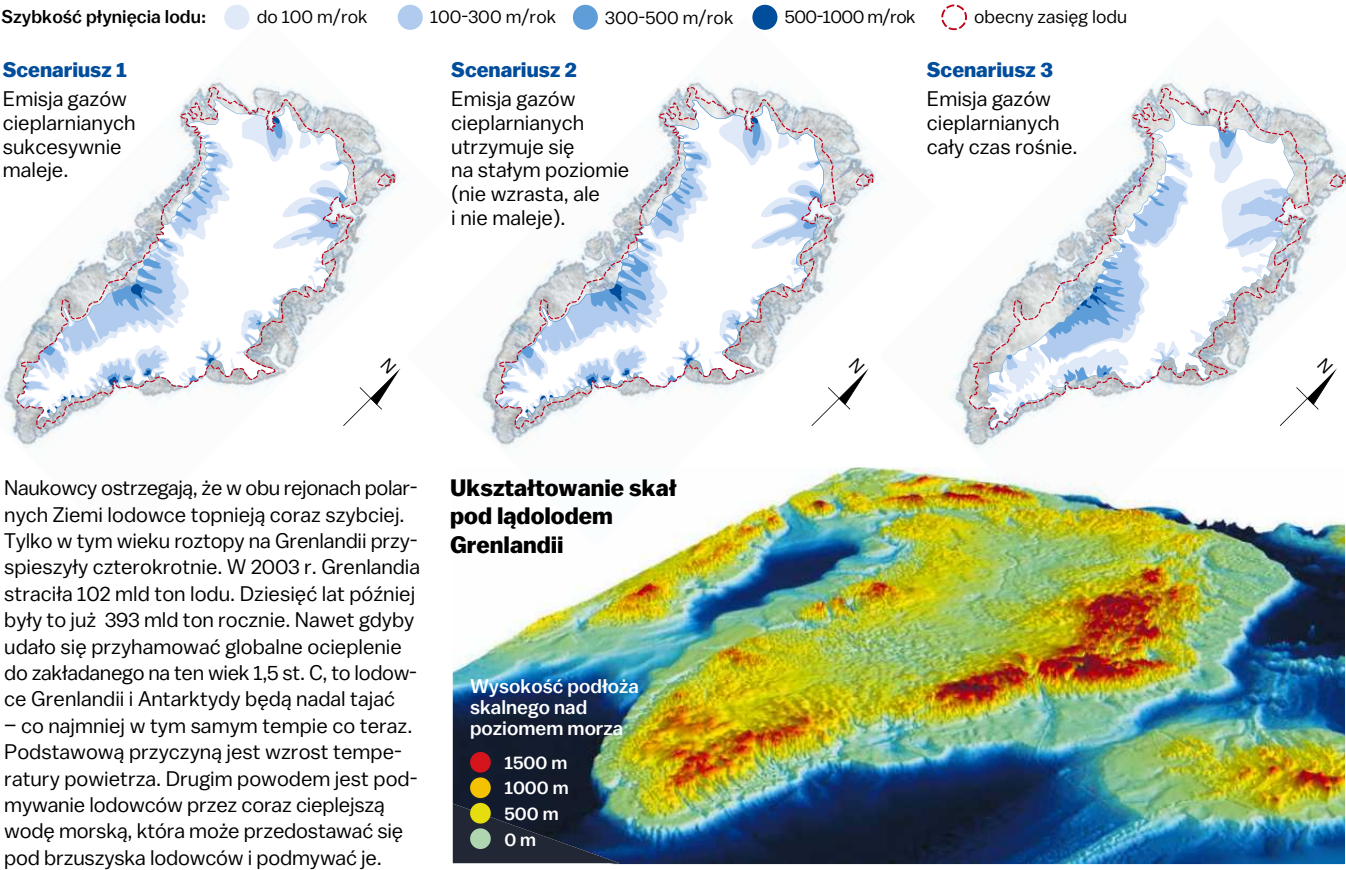
Klasyczna metoda glaciologiczna polegająca na bezpośrednich pomiarach terenowych za pomocą wbijanych w pokrywą lodową sond jest zbyt kosztowna i za mało wydajna, by stosować ją do badania zmian bilansu lodowego Grenlandii.

W przypadku tak ogromnego obszaru stosuje się głównie **metody geodezyjne** określające zmianę objętości lodu w określonym czasie na podstawie porównania zmiany jego wymiarów geometrycznych (głównie wysokości). Wykorzystuje się do tego mapy topograficzne, cyfrowe mapy wysokościowe oraz zdjęcia lotnicze i satelitarne.

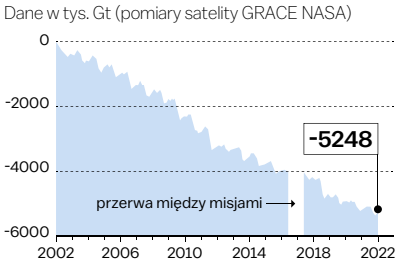
Przełom w określeniu bilansu największych lodowców świata przyniosła **metoda grawimetryczna**. Zaczęto ją stosować od 2002 r., kiedy na orbicie okołoziemskiej znalazły się satelity badawcze GRACE (Gravity Recovery and Climate Experiment) rejestrujące zmiany pola grawitacyjnego Ziemi. System GRACE stanowią dwie satelity umieszczone na wspólnej orbicie w odległości 220 km od siebie. Odległość między nimi jest precyzyjnie monitorowana. Satelita przelatujący nad obszarem Ziemi o większej masie zwalnia na skutek zwiększonej siły przyciągania Ziemi, a odległość między satelitami się zmniejsza. Zaletą tej metody jest ogromny zasięg przestrzenny, wadą – niska rozdzielczość.



Jak szybko będzie malała pokrywa lodowa Grenlandii – prognoza na 2300 r.

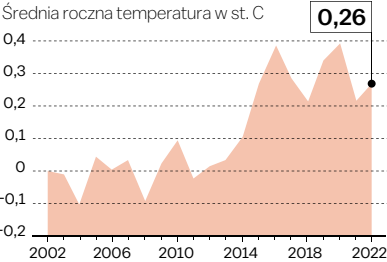


Ubytek masy lodu od 2002 r.



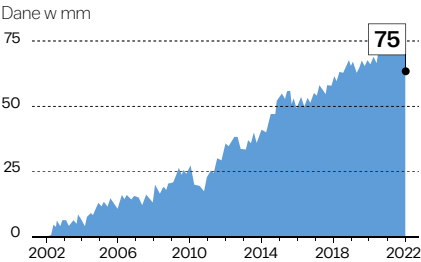
Od startu programu GRACE w 2002 r. badacze mogą precyzyjnie określać tempo utraty masy największych lądolodów na Ziemi.

Wzrost temperatury Ziemi



Globalne ocieplenie sięga dziś blisko 1,2 st. C. O tyle średnia temperatura Ziemi podniosła się od XIX w.

Wzrost poziomu oceanu



Od XIX w. średni poziom morza podniósł się o przeszło 20 cm. Ten wzrost znacznie przyspieszył w XXI w.

Ablacja: sublimacja

Zjawisko „parowania” lodu bezpośrednio do atmosfery bez przechodzenia przez fazę ciekłą. Ma stosunkowo małe znaczenie, chociaż w bardzo suchym klimacie proces ten może zachodzić dość intensywnie.

Ablacja: topnienie podwodne

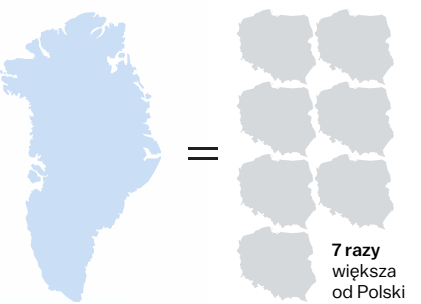
Ocieplający się ocean coraz szybciej wytapia od spodu unoszące się na jego powierzchni półki lodowe „korkujące” spływające do morza strumienie lodu. Granica oparcia lądolodu o podłoże skalne, tzw. **linia gruntowania**, cofa się w stronę lądu, gdzie grubość lodu jest większa, a jego ruch szybszy. W ten sposób lądolód coraz szybciej traci masę. Przetwarzanie półek lodowych i stabilność pozycji ich linii gruntowania są kluczowe dla kondycji lądolodów.

Ablacja: cielenie gór lodowych

Na czole lodowca uchodzącego do morza zachodzi proces **cielenia** polegający na odłamywaniu się od lodowego klifu różnej wielkości brył lodu. Ostabienie czoła lodowca spowodowane jest działaniem wody, jej wyższą temperaturą, falowaniem i pływami. Cielenie jest procesem naturalnym, ale jego intensywność systematycznie wzrasta w wyniku zachodzących zmian klimatycznych. Ocenia się, że w ten sposób w Arktyce lodowce tracą od 30 do 40 proc. swojej masy. W sierpniu 2010 r. od lodowca Petermana na Grenlandii oderwała się największa zaobserwowana dotychczas w tym rejonie góra lodowa o powierzchni 260 km kw. (wielkości wyspy Wolin).

Największa wyspa na świecie

Powierzchnia: **2 mln 166 tys. km²**



81 proc.

powierzchni wyspy pokryte jest lodem

8 proc.

ziemskiej wody słodkiej zawiera lądolód grenlandzki



Gdyby cały lód spłynął z Grenlandii, poziom oceanu podniósłby się o **7,4 m**

wysokość fontanny Neptuna w Gdańsku **6 m**



Jak to jest: napisać komuś
„żebyś zdechła”,
a potem odłożyć telefon
i pójść po dziecko do przedszkola?

CHODZIMY NA SMYCZY

Z **MAGDALENĄ BIGAJ***,
PREZESKĄ FUNDACJI INSTYTUT
CYFROWEGO OBYWATELSTWA,
WSPÓŁAUTORKĄ PIERWSZEGO
BADANIA HIGIENY CYFROWEJ OSÓB
DOROSŁYCH, ROZMAWIA **AGNIESZKA
JUCEWICZ**

**Razem z Magdaleną Wojnarowską
spytałyście dorosłych użytkowników
i użytkowników internetu, jak dbają o hi-
gienę cyfrową. Na podstawie tych badań
stworzyłyście „Kwestionariusz samo-
oceny higieny cyfrowej”, test otwarty dla
wszystkich. Zastanawiam się, na ile to coś
zmieni, bo inicjatywy zwracające uwagę
na zagrożenia związane z bezrefleksyj-
nym korzystaniem z internetu wydają się
odbijać jak groch o ścianę.**

– Też się zastanawiałam, dlaczego jest tak,
że tak dużo już wiadomo o wpływie no-
wych technologii na zdrowie fizyczne i psy-
chiczne, bada się to przecież od początku
istnienia internetu, a jednocześnie ciągle
widuję dwulatki bawiące się telefonem. Dla-
czego z jednej strony chodzimy na „czarne
marsze”, a z drugiej pozwalamy ośmiolet-
nim córkom założyć konto na Instagramie,
gdzie przekaz jest jeden: „Jesteś warta tyle,
ile twoje zdjęcie”?

No, ale komu tak naprawdę zależy na
tym, żeby nas uświadamiać? Przecież nie
tym, którzy na nowych technologiach zara-
biają. Politykom chyba też nie bardzo, sko-
ro planują kampanie wyborcze na podsta-
wie TikToka.

Brakuje woli.

– Co nie oznacza, że za chwilę ten kierunek
się nie zmieni. Moim zdaniem jesteśmy te-
raz w takim momencie, jeśli chodzi o świa-
domość na temat używania urządzeń cy-
frowych, w jakim byliśmy jeszcze niedaw-
no w zakresie wiedzy o szkodliwości cukru.
Dziś większość z nas nie kończy fakultetu
z dietyki, jednak zdajemy sobie sprawę, że
nie możemy cały dzień opychać się słodkim,

bo to ma swoje konsekwencje. Podobnie by-
ło z papierosami.

W połowie zeszłego wieku reklamowali je nawet lekarze.

– I jakby ktoś nam wtedy powiedział, kiedy
palono dosłownie wszędzie – w kawiarni,
gabiniecie prezydenta, nad dziecięcą kołyską
– że kiedyś w miejscach publicznych będzie
obowiązywał zakaz palenia, tobyśmy uzna-
ły, że to jakaś utopia!

Badanie przeprowadziłyście na grupie prawie 1,1 tys. osób w wieku 18-79 lat. Za- pytałyście między innymi o to, czy i w jaki sposób kontrolują czas spędzony przed ekranem. Dlaczego to ważne?

– Na wykłady zawsze przynoszę replikę
ludzkiego mózgu. I opowiadam o układzie
nagrody. Dorosłym często się wydaje, że
kontrola czasu spędzanego przed ekranem
to głównie problem dzieci i młodzieży. No
więc wiek nie ma tu nic do rzeczy. Ani płeć,
ani wykształcenie. Kluczowe jest to, jak ten
nasz mózg jest zbudowany. Przede wszyst-
kim zapominamy, że mamy mózg z second-
-handu, odziedziczony po naszych przod-
kach. Jego trening trwa od dwustu tysięcy
lat. Na tej osi ostatnie trzydzieści ze swoimi
nowymi technologiami to maleńka kropka.
Po prostu nie mieliśmy szansy ewolucyjnie
dostosować się do obsługi takiej ilości infor-
macji, jaka do nas codziennie napływa, i do
tych sprytnych mechanizmów, które tak
nas uwodzą.

Jak mawiał amerykański biolog Edward Wilson: „Oto prawdziwy problem ludzko- ści: mamy paleolityczne emocje, średnio- wieczne instytucje i boską technologię”.

– Właśnie, i jakie są te nasze stare mó-
zgi? Po pierwsze, szybko się rozpraszają,
bo kiedyś to warunkowało przeżycie. Jeśli-
byś się „zawieszała” po wyjściu z jaskini, to-
by cię pierwszy lepszy drapieżnik zmiotł.
Łatwo się dekoncentrujemy, bo rejestruje-
my wszystkie bodźce wokół, a skupienie na

jednej czynności wymaga sporego wysiłku.
Oczywiście ten nasz mózg jest plastyczny,
uczy się. Z tym że on się uczy na przykład
tak: „OK. Mój właściciel ciągle się czymś
rozprasza, to znaczy, że to zaczyna być do-
minujący model życia. To ja będę w ten spo-
sób działał”. I dlatego, jeśli stale, kompul-
sywnie sięgamy po telefon, to z czasem za-
czynamy mieć problem z czytaniem dłu-
gich tekstów. Myślę, że wiele z nas się w tym
rozpozna: Siadam, żeby przeczytać książ-
kę. Nagle wstaję, robię sobie herbatę. Sia-
dam, czytam trzy linijki, a to nastawię pra-
nie. A to sprawdzę, jaka jest prognoza pogo-
dy, i tak dalej.

Dlaczego tak trudno się nam oprzeć temu treningowi ciągłego rozpraszania się?

– To zasługa dopaminy, neuroprzekaźnika,
tak zwanego hormonu przyjemności, czy
też motywacji. Wydziela się w naszym ukła-
dzie nagrody po kontakcie z czymś, co nam
daje przyjemność, i skłania nas do sięgnię-
cia po to ponownie, niezależnie od konse-
kwencji. To dlatego ludzie umierają z powo-
du nałogów. Badania pokazują, że urzędze-
nia ekranowe działają na nasz układ nagro-
dy tak samo jak nikotyna, alkohol czy nar-
kotyki.

Co więcej, one specjalnie zostały tak za- projektowane.

– Kiedy słyszymy dźwięk powiadomienia
w telefonie, wyrzut dopaminy jest nawet
wyższy niż wtedy, kiedy odbieramy to po-
wiadomienie. Bo nasz mózg uwielbia nie-
spodzianki! A ponieważ wie, że jego czło-
wiek jest wyposażony w mniejszą bądź
większą umiejętność samokontroli, stara się
go przechytrzyć i wypracowuje różne na-
wyki, które pozwalają sięgać po tę przyje-
mność bezrefleksyjnie, omijając cały proces
myślowy. To dlatego tak często bierzemy te-
lefon do ręki i nawet nie wiemy, po co. Za-
chęcam zresztą, żeby sprawdzić w statysty-
kach telefonu, ile razy w ciągu dnia go od-
blokowaliśmy. Możemy się zdziwić.

Jaki tobie wyszedł wynik?

– Ostatnio osiemdziesiąt jeden razy. Bardzo
dużo, ale wcale nie należę do czołówki. Nie-
którzy robią to po kilkaset razy dziennie.
Tak działa nawyk.

Pamiętam, jak kiedyś siedziałam ze zna-
jomymi w restauracji. Rozmowa super się
nam kleiła, jedzenie było pyszne. Telefon
miałam schowany, ale obok talerza na stole
leżała czarna prostokątna serwetka i nagle
zorientowałam się, że w nią klikam. Potem,
czytając różne opracowania, dowiedziałam
się, że nasz mózg do tego stopnia skanu-
je otoczenie w poszukiwaniu przyjemności,
że rozprasza się samym widokiem telefo-
nu lub czymś, co go przypomina. Wystarczy
mu powidok, który mu podpowiada, że tam
się może kryć jakiś „like”, serduszko, wiado-
mość. A ponieważ nasz mózg chce tej przy-
jemności coraz więcej, zachodzi zjawisko
tolerancji, które polega na tym, że do osią-
gnięcia tego samego poziomu satysfakcji
potrzebujemy więcej tego bodźca – papiero-
sa, alkoholu czy czasu spędzonego z urzą-
dzeniem ekranowym. Dlatego wprowadze-
nie zachowań, które ułatwiają nam kontro-
lę czasu, pozwala to nasze chciejstwo utrzy-
mać w ryzach.

Wiadomo, ile czasu przed ekranem to zdrowo, a kiedy to już zaczyna szkodzić?

– Z małymi dziećmi sprawa jest prosta.
Światowa Organizacja Zdrowia mówi, że do
drugiego roku życia – zero ekranów, a po-
tem podaje limity czasowe. Ale w przypad-
ku nastolatków i dorosłych nie da się okre-
ślić sztywnych ram. Wiele i wielu z nas pra-
cuje, używając telefonu czy komputera, jed-
nak zalecałabym, żeby postawić sobie limi-
ty na czynność, która pochłania najwięcej
czasu. Jeśli na przykład jestem graczką, to
tu stawiam sobie granice i kontroluję, czy
nie popłynęłam. Jeśli aktywnie korzystam
z mediów społecznościowych, to tu wyzna-
czam sobie limit. Jeżeli nie zaczniemy tego
monitorować, jest duża szansa, że wymyk-
nie się nam to spod kontroli.

FOT. SHUTTERSTOCK



oznacza tylko tyle, że poza tą jedną rzeczą, na której rzeczywiście jesteśmy skupieni, resztę robimy na autopilocie. A każde ode-
rwanie naszej uwagi od czynności, którą ak-
tualnie wykonujemy, na przykład po to, że-
by przeczytać post na Facebooku, sprawia,
że zanim wgrzyziemy się w tę czynność z po-
wrotem, musi upłynąć od kilku do kilkun-
stu minut. Wielozadaniowcy wypadają dużo
gorzej na testach od osób, które pracują na
danych zadaniach po kolei, we wszystkich
kategoriach, takich jak zapamiętywanie, wy-
ciąganie wniosków czy synteza informacji.

**W badaniu zapytałyście, jak często ludzie usuwają telefon z zasięgu wzroku, kiedy potrzebują się skupić na jakiejś czynno-
ści. Ile osób to robi?**

– Co piąta. Trochę więcej, bo 32 proc., trzy-
ma telefon poza zasięgiem wzroku podczas
spotkań z ludźmi.

Czyli 68 proc. tego nie robi.

– A wtedy szansa na to, że sięgniesz po te-
lefon, jest bardzo duża. To ma już swo-
ją nazwę – phubbing, od połączenia słów
„phone”, czyli telefon, i „snubbing” – igno-
rowanie kogoś. To są te wszystkie chwile, kie-
dy rozmawiasz z kimś, a on dłubie w telefo-
nie. Bardzo nieprzyjemne uczucie. Pamię-
tam całe spotkania, kiedy miałam poczucie,
że rozmawiam z awatarem. Z kimś, kto niby
mnie słucha, ale tak naprawdę jest gdzie in-
dzie.

**Wiele ludzi przyjęło to już za normę. Niedawno osoba, z którą prowadziłam wywiad na Zoomie, w trakcie naszej
rozmowy odpisywała na maile.**

– Oczywiście, można w ten sposób funkcjo-
nować, tylko trzeba to nazwać po imieniu.
Powiedzieć: „Nie obdarzam cię uwagą, po-
niważ moją uwagę ssie medium społecz-
nościowe, komunikator czy coś jeszcze in-
nego”.

**Kolejnym obszarem, o który pytałyście, było cyberbezpieczeństwo. Co ono ma
wspólnego z higieną cyfrową?**

– Dbasz o zęby wtedy, kiedy je myjesz co
najmniej dwa razy dziennie, a nie wtedy,
kiedy masz jakąś teorię na temat mycia zę-
bów. Tak samo jest z higieną cyfrową. Nikt
ci nie każe robić z tego doktoratu, nie mu-
sisz wiedzieć, o co chodzi z metawersem,
ale powinnaś wiedzieć, że jak będziesz ko-
rzystała z telefonu przed snem, to możesz
mieć problemy z zasypianiem. Albo że jak
wejdiesz w link z nieznanego źródła, to
możesz stracić wszystkie pieniądze. Dlatego
uznałyśmy, że cyberbezpieczeństwo jest ta-
kim obszarem, o który też powinnyśmy py-
tać. On oczywiście jest najmniej seksowny,
bo umówmy się, że takie sprawy jak antywi-
rusy, ochrona hasel czy odinstalowywanie
nieużywanych aplikacji to nudy, ale brak
podejmowania zachowań w tym obszarze
może wpłynąć nie tylko na nasze bezpie-
czeństwo, ale także na życie w ogóle. Wiem,
że dla wielu z nas utrata konta na Face-
booku utrzymywanego od kilkunastu lat by-
łaby ogromnym stresem, jakby ktoś nagle
ukradł nam część naszej tożsamości. A ta-
kie rzeczy się zdarzają i często tylko dlatego,
że ktoś nie zastosował dwuskładnikowego
uwierzytelniania hasła, które dość skutecz-
nie zabezpiecza przed takimi działaniami.

Jak tutaj wypadamy?

– W miarę dobrze. 61,4 proc. użytkowników
przyjmuje zaproszenia do sieci znajomych
tylko od osób, które znają. 58,7 proc., jeśli
otwiera wiadomość lub link, to tylko ze zna-
nego im źródła. 57,4 proc. używa sprawdzo-
nych sieci wi-fi. Widać, że tu już zadziałała
edukacja społeczna, bo o bezpieczeństwie
w sieci dużo się mówi w szkole, ale swój in-
teres w szerzeniu tej wiedzy mają też pod-
mioty komercyjne, na przykład banki.

**Kolejny obszar dotyczy tworzenia i odbierania treści w internecie. Co was
tu interesowało?**

– Czy jeśli użytkownik czuje się zagrożo-
ny w internecie, doświadcza hejtu, nękania,

to zwraca się po pomoc? Czy jest krytyczny
wobec treści, które napotyka w internecie,
weryfikuje je, czy też raczej je łyka jak mło-
dy pelikan? Czy kiedy trafia na nienawist-
ne wpisy, zastraszanie, nieprawdziwe wia-
domości, fałszywe profile, zgłasza je admi-
nistratorom? Odpowiedź na to ostatnie py-
tanie świadczy o tym, czy traktujemy prze-
strzeń cyfrową jako dobro wspólne i czy
czujemy się za nią odpowiedzialni.

I jak tutaj wypadamy?

– 89 proc. deklaruje, że trafia w interne-
cie na takie treści, ale tylko co piąta oso-
ba je zgłasza. To za mało. Jeden chłopiec
na warsztatach, które prowadziłam, spytał:
„No, ale jak mam to zgłaszać? Przecież to
tak, jakbym donosił”. Odpowiedziałam mu:
„A gdybyś zobaczył, że ktoś kogoś krzyw-
dzi na ulicy, też byś nie zareagował? Nie za-
dzwonił na policję?”. To jest coś, co koniecz-
nie musimy sobie przeformułować w gło-
wach. Przy każdym wpisie wydawca jest zo-
bowiązany umieścić opcję „zgłoś admi-
nistratorowi” albo „zaraportuj”. Zajmuje to
30 sekund. Na szczęście Unia Europejska
ogłosiła niedawno dwa akty prawne – akt
o usługach cyfrowych i akt o usługach mar-
ketingowych – które między innymi narzu-
cają na platformy społecznościowe dużo
bardziej restrykcyjny obowiązek reagowa-

**Phubbing – od połączenia
słów „phone”, czyli telefon,
i „snubbing”,
ignorowanie kogoś
– to są te wszystkie chwile,
kiedy rozmawiasz z kimś,
a on dłubie w telefonie**

nia na takie zgłoszenia. Już nie będzie tak,
jak bywało wcześniej, że platformy umywa-
ły ręce.

Na przykład jak?

– Kiedy rozpoczął się kryzys migracyjny na
granicy z Białorusią i Wojciech Cejrowski
napisał na swoim Facebooku, że on by tam
postawił strażników, którzy by strzelali do
wszystkiego, co się rusza, podobnie jak wie-
le innych osób zgłosiłam do administrazio-
rowi. Po czym dostałam odpowiedź, oczy-
wiście automatyczną, że jeśli czuję się tym
wpisem urażona, to mogę go ukryć tak, że-
by mi się nie wyświetlał, albo przestać ob-
serwować Wojciecha Cejrowskiego. Tyle.
Co też dużo mówi o polityce tego typu plat-
form, które często stosują podwójne stan-
dardy. Inne dla tych, którzy mają wielu fol-
lowersów, inne dla zwykłych użytkow-
ników. Kiedyś na przykład zablokowano
mi konto na Facebooku za to, że umieści-
łam na nim plakat do czeskiego filmu, któ-
ry przedstawiał papierosa w tyłnej części
ciała. Natomiast celebryci często nie dosta-
ją banów, nawet jeśli łamią zasady, dlate-
go, że budują zasięgi i robią ruch tym plat-
formom.

**Aż 95 proc. respondentów tworzy treści
w internecie, pisze posty, komentuje. Nie
tylko odbiera treści.**

– Co ciekawe, ponad połowa z nich, zabie-
rając głos w internecie, zwraca uwagę na
to, jak to, co wrzuca, wpływa na ich własne
bezpieczeństwo i samopoczucie, ale też bez-
pieczeństwo i samopoczucie innych. Chcia-
łabym oczywiście, żeby wszyscy mieli to na
uwadze, ale nawet poza internetem zdarza
się nam powiedzieć coś raniącego, więc to
i tak dobry wynik świadczący o rosnącym
poczuciu odpowiedzialności.

Jednak wciąż prawie połowa jej nie czuje.

– I to mnie zawsze zastanawia. Dlaczego lu-
dzie, którzy nie zgadzają się z jakąś oso-
bą, potrafią jej życzyć śmierci albo żeby jej

dziecko zostało zgwałcone. W dodatku ro-
bią to pod imieniem i nazwiskiem, pod swo-
im zdjęciem profilowym. Jak to jest: napisać
komuś „żebyś zdechła”, a potem odłożyć te-
lefon, wyłączyć palnik pod zupą i pójść po
dziecko do przedszkola? Wydaje mi się, że
część osób po prostu zapomina, że po dru-
giej stronie jest człowiek. Dlatego jestem
przeciwniczką mówienia „świat wirtual-
ny”, bo to sugeruje, że to świat nie do koń-
ca prawdziwy, gdzie nie ma w sumie zna-
czenia, co robimy. Wolę mówić „świat cyfro-
wy”, „świat online”. Tak jak mówimy „świat
sportu”, „świat muzyki”. Nikt nie uważa, że
dla świata sportu trzeba napisać osobne
prawo, żeby ludzie się zachowywali przy-
zwoicie. Podobnie tutaj.

Bardzo ważnym pytaniem dla nas było
też pytanie o dobór treści. Czy użytkownic-
ki i użytkownicy zastanawiają się w ogó-
le, zanim klikną „lubię to” lub „obserwuj”?
Czy unikają treści, które źle na nich wpły-
wają? 51 proc. respondentów odpowiedzia-
ło, że to robi i super, bo to, co śledzimy w in-
ternecie, bardzo silnie wpływa na nasze sa-
mopoczucie i postrzeganie świata. Nasze
mózgi, a szczególnie mózgi dzieci i mło-
dzieży, rejestrują to, co widzą, i zaczynają
to akceptować. Ostatnio sieć zalały relacje
osób, które pokazywały, jak działa nowy filtr
z TikTtoka, który w doskonały sposób po-
prawia urodę.

**Widziałam, jak przymierzyła go znana
ekoedukatorka Paulina Górską. Gdyby
nie opis, nie zorientowałabym się, że to
filtr. Wyglądała jak Keira Knightley.**

– No i dlaczego to jest problematyczne? Dla-
tego, że nasz mózg, widząc ten ideał, mi-
mowolnie klasyfikuje go jako nową normę.
A potem widzi nas w lustrze albo innych lu-
dzi, którzy są niedoskonalni, i ocenia to kry-
tycznie. Oczywiście możemy sobie mówić,
że jesteśmy świadomi, że najważniejsze jest
niewidoczne dla oczu, bla, bla, bla, ale nasz
mózg widzi to inaczej. Dlatego co jakiś czas
robię żniwa i koszę profile, które obserwuję
w internecie, to znaczy usuwam te, które źle
na mnie działają. Na przykład profile matek,
które pokazują macierzyństwo jako cukier-
kowo-pudrowe. Ale też profile, które usta-
wiają mnie w opozycji do mężczyzny i w ja-
kimś braku szacunku do niego jako tego,
który nie umie trafić skarpetkami do pral-
ki, a zostawiony sam w domu z dziećmi ska-
zuje je na śmierć głodową. Rozumiem, że to
parodia, ale sączenie mi tego codziennie do
głowy sprawia, że zaczynam tak postrzegać
swojego partnera. Nie jest mi to potrzeb-
ne. I bardzo zachęcam do takiego krytycz-
nego spojrzenia na treści, które konsumu-
jemy. Bo być może niektóre z nich sprawia-
ją, że czujemy się niewystarczający, kiepscy,
nie tacy. Po co nam to?

Powiedziałyśmy o odpowiedzialności ko-
mentujących, ale każdy celebryta, influen-
cer, reklamodawca też powinien mieć świa-
domość, jak to, co tworzy, wpływa na od-
biorników, czy ich nie krzywdzi. Oczywiście
ludzie, którzy zarabiają w internecie, mone-
tyzują zasięgi. Nie twierdzę, że to złe, to jest
jakiś sposób zarabkowania, uważam tylko,
że społeczna odpowiedzialność powinna się
stać obowiązującym standardem.

**Ostatni obszar, o który pytałyście, zwią-
zany jest ze zdrowiem fizycznym.**

– Tu interesowały nas zachowania dotyczą-
ce snu, jedzenia, postawy, ale też bezpie-
czeństwa na drodze. Wypadamy tu różnie.
Aż 91 proc. używa urządzeń ekranowych
przed pójściem spać. A potem się dziwimy,
dlaczego źle śpimy, dlaczego następnego
dnia jesteśmy rozkojarzeni, dlaczego spo-
walnia nam przemiana materii.

**O negatywnym wpływie światła niebie-
skiego, które emitują urządzenia ekrano-
we, na sen pewnie większość już wie.**

– Trudniej usnąć – to jedno. A druga spra-
wa, gdy nie możemy się oderwać od tego, co
robimy przed ekranem, przesuwam nam się
pora pójścia spać. Sen jest krótszy, nie zali-
czamy odpowiednich faz. Młodziem mi cza-
sem mówi: „Proszę pani, ale przecież są fil-

try na niebieskie światło!”. Dla mnie te filtry są jak yeti – wszyscy o nich mówią, tylko jeszcze nie wiedziałam, żeby ktoś ich używał. Poza tym zostaje cała sfera emocjonalna. Jeśli wchodzimy do internetu i coś tam sobie czytamy, to budzi w nas emocje – irytuje nas, przestrasza, zamartwia. Po co to sobie robić przed snem?

W tej sekcji pytałyśmy też o jedzenie. Jeśli spożywamy posiłek z kimś, nie odkładając telefonu, to nie wchodzimy z nim w taką relację, w jaką moglibyśmy, a wspólne posiłki, zwłaszcza w domu, budują poczucie bezpieczeństwa. Sprawiają, że podejmujemy rodzinne small talki, chronią dzieci przed rozwinięciem zaburzeń odżywiania. Sięganie po telefon, żeby nakarmić niejadka, jest jednym z najgorszych pomysłów, bo jeśli jest karmiony podczas oglądania bajki na smartfonie czy tablecie, to jego mózg koncentruje się na tej bajce, a nie na jedzeniu. Nazywam to futrowaniem dziecka, które jest jak ten indyk na farmie. Takie dziecko nie rejestruje, ile zjadło, nie zwraca uwagi na smak i fakturę jedzenia, z opóźnieniem odczuwa uczucie sytości. Nie uczy się lubić jedzenia.

Tylko co czwarty badany spożywa posiłki bez telefonu w zasięgu wzroku. Co piąty unika podjadania w czasie korzystania z urządzeń ekranowych, czyli znaczna większość podjada. – Co też jest zgubne, bo nie zauważamy, ile zjadamy. Tu garść orzeszków, tu kawalek czekolady, tu ciasteczko do kawy. I nagle się okazuje, że zjedliśmy dziewięć posiłków w ciągu dnia, każde po 300 kalorii.

Pytałyśmy też o używanie telefonu w kontekście bezpieczeństwa na drodze. Tu wyniki były bardziej optymistyczne. Dwie trzecie nie używa telefonu, kierując samochodem czy przechodząc przez ulicę. Ale wciąż to nie wszyscy. Ostatnio w audycji radiowej dla kierowców, w której gościłam, dowiedziałam się, że profesjonalni kierowcy oglądają seriale w trakcie jazdy. Seriale!

Taksówkarze?

– Tirowcy! Kierowcy piszący do audycji kazali mi tłumaczyć, dlaczego nie mogą tego robić, skoro policja ich sprawdzała, widziała, że na fotelu obok stoi laptop, i nie dała im mandatu. Spytałam ich: „Czy musimy mieć przepis, który zabrania nam picia domestosa, czy po prostu wiemy, że się tego nie robi?”.

Niektórzy influencerzy, prowadząc samochód, nagrywają nawet filmy na żywo.

– I nie ma wstydu, nie? Jestem tym zszokowana, a jednocześnie wierzę w rozwój cyfrowego sumienia. I nie mam pretensji, że ktoś jest na innym etapie. Ja też 11 lat temu wrzuciłam zdjęcie dziecka do sieci, dziś już tego nie zrobię. Choć różne firmy nam tego nie ułatwiają. Niedawno pewien producent samochodów ogłosił, że w jednym z nowych modeli ma być wbudowany aparat do robienia selfie oraz wgrana aplikacja TikToka. Ręce opadają.

Chyba cały czas musimy pamiętać, jaka machina jest po drugiej stronie, z czym tak naprawdę walczymy. I że nie wszystko

zależy wyłącznie od indywidualnych zmian.

– Na pewno musi się uzbierać jakaś masa krytyczna. Tak jak to było z papierosami. Musimy wyjść z pozycji „biomasy”, jak to określa fundacja Panoptikon, którą jesteśmy dla twórców technologii, i przestać bezrefleksyjnie z nich korzystać.

Teraz każdy może wejść na stronę Higienacyfrowa.pl, zrobić sobie test i sprawdzić na ile jest świadomy zagrożeń wynikających z używania urządzeń ekranowych. Na co liczysz?

– Wierzę, że wobec szalejących wskaźników zaburzeń psychicznych edukacja społeczna na ten temat, którą powinni prowadzić nie tylko badacze, ale też dziennikarze, dziennikarki, nauczycielki, nauczyciele, polityczki, politycy, ma szansę doprowadzić do tego, że nauczymy się korzystać z tych urządzeń w sposób chroniący nasze zdrowie. Bardzo zależało mi

ce powiadomienia sprawiają, że nasza głowa stale wraca do trybu pracy. I nawet jak szef czy kolega napisze w mailu wysłanym w sobotę: „Możesz odpisać w poniedziałek”, co z tego, skoro i tak będziemy o tym myśleć?

Tylko 20 proc. użytkowników internetu ogranicza liczbę powiadomień w telefonie, 7 proc. unika sprawdzania, czego to powiadomienie dotyczy, jak tylko nadejdzie.

– Umówmy się, powiadomienia zostały stworzone nie po to, żeby nam ułatwić życie, tylko po to, żeby skutecznie nas przyciągnąć do urządzenia. Są smyczą, na której chodzimy. Dzięki temu żyjemy dziś w postawie stałej dostępności. Pamiętam siódmoklasistkę, która powiedziała na warsztacie, że najbardziej w internecie nie lubi tego, że jak ktoś do niej napisze, to ona czuje się w obowiązku, żeby od razu odpisać. Myślę, że to rezonuje w wielu z nas. I że czas to zmienić.

Warto sprawdzić w statystykach telefonu, ile razy w ciągu dnia go odblokowaliśmy.

Możemy się zdziwić

też na dotarciu do pracodawców, żeby zrozumieli, że pracownik stale dostępny jest efektywny, ale na pewno nie jest efektywny. Dziś, w wielu miejscach pracy, nie da się, cytując Miauczyńskiego, odbić karty na zakładzie i pójść do domu, bo praca jest cały czas w naszym telefonie. I nie zawsze to szef tego wymaga. Często pracownicy między sobą kontaktują się bardzo późno, w czasie wolnym.

Albo przez prywatne konta – na Facebooku, na Instagramie.

– To wszystko oczywiście wpisuje się w niezbyt elegancko brzmiącą „kulturę zapierdolu”, czyli nieustającego pokazywania, jak bardzo jest się zaangażowanym w pracę. Niektórzy się tym dowartościwiają. W ten sposób tworzy się przyzwolenie na łamanie zasad. A żeby być efektywnymi w pracy, musimy się od niej odciąć, a najlepiej jeszcze, żebyśmy się trochę ponudzili. Mózg wtedy odpoczywa i potem wyrzuca dobre pomysły. Dziś często nie ma żadnej szansy na odpoczynek, bo ciągle przychodzą-

Nauczyć siebie i innych, że odpowiadamy wtedy, kiedy mamy czas.

I gdybym miała podać jedną zasadę higieny cyfrowej, która uwalnia życie, to jest nią właśnie wyłączenie powiadomień. Nie twierdzę, żeby z nich w ogóle nie korzystać, tylko żeby je sprawdzać wtedy, kiedy mamy chwilę. Możemy się z bliskimi, z pracownikami zresztą też, umówić na to, że jeśli mają coś pilnego, to dzwonią.

Jaką jeszcze zasadę warto wdrożyć od razu?

– Zakaz wstępu telefonu do sypialni. I nienoszenie go przy sobie cały czas. W domu można go odłożyć w jednym miejscu, najlepiej nie na widoku, żeby nas nie kusił.

Polecam również noszenie zegarka, żeby nie sięgać po telefon za każdym razem, kiedy chcemy sprawdzić godzinę.

Co, jeśli dalej będziemy ignorować zagrożenia płynące z nadużywania urządzeń cyfrowych?

– Jestem dobrej myśli. Myślę, że będziemy dążyli do samoregulacji,

ponieważ coraz więcej osób będzie się zwyczajnie źle z tym czuło. Bardzo wierzę w młode pokolenie. To nasze wydaje się jeszcze nienasycone internetem, tą całą dostępnością. Młodszy są od nas dużo mądrzejsi, chociażby dlatego, że mają takie doświadczenie, którego my nie mieliśmy – jak to jest rywalizować z telefonem o uwagę rodzica. Dzieci mi ciągle o tym opowiadają na warsztatach: „Mówię do mamy, a ona siedzi na Facebooku”, „Chcę porozmawiać z tatą, a on gra”. Dużo też bardziej dbają o prywatność. Częściej mają pozamykane profile, tylko dla znajomych.

No, a jeśli nic nie zrobimy? Będziemy mieć wdowie garby, które robią się od ciągłego patrzenia w telefon. Kłopoty z kręgosłupem. Z przyrostem wagi. Będziemy mniej uważni, nasze relacje będą wyglądały inaczej. Już dziś są ludzie, którzy mają mocno ograniczone kompetencje poznawcze przez to, że nadużywają urządzeń ekranowych. Słabiej kojarzą, są mniej kreatywni, a czasem myślą o sobie gorzej, niżby mogli.

Niedawno szkoły publiczne z Seattle w USA pozwały gigantów technologicznych o to, że przyczyniają się do wzrostu zaburzeń psychicznych i prób samobójczych wśród dzieci i młodzieży. Świadomość została przekuta w działanie.

– Ten pozew jest ciekawy, bo zwrócono w nim uwagę nie tylko na wpływ nowych technologii na samopoczucie dzieci, ale również na koszty, jakie ponoszą szkoły, które muszą przez to zatrudniać więcej psychologów. Przykra prawda jest natomiast taka, że trzeba to teraz udowodnić, wykazać, jak konkretne dzieci na tym ucierpiały. Bo same badania, które pokazują te zależności, nie wystarczą. Myślę, że trudno będzie im to dowieść w takim pozwie zbiorowym. Na poziomie indywidualnym wydaje się to bardziej możliwe, kiedy na przykład dziecko bierze udział w jakimś wyzwaniu, w wyniku czego traci życie. Choć na początku tego roku sąd w USA odrzucił pozew rodziców, którzy oskarżyli TikToka o to, że ich córka wzięła udział w blackout challenge, który polega na relacjonowaniu podduszania się do utraty przytomności, na skutek czego zmarła. Takich dzieci było zresztą kilkanaścioro, najmłodsze miało osiem lat, najstarsze – 14. Sąd uznał, że to była wina rodziców, że jej nie dopilnowali. Oczywiście rodzice nie powinni byli 12-latkę pozwolić na korzystanie z TikToka, którego można używać od 13. roku życia. Ale to trochę tak, jakbyśmy 12-latkę wypuścili z domu bez opieki, a ona by zażyła narkotyk kupiony w bramie. Pytanie – kto do cholery pozwolił dilerowi stać w bramie i sprzedawać narkotyki dzieciom? Mamy prawo, a nawet obowiązek wymagać od gigantów technologicznych odpowiedzialności. Nie trzeba do tego tworzyć nowego prawa. Wystarczy przestrzegać konwencji o prawach dziecka, która mówi, że dziecko ma prawo do zdrowego rozwoju i do ochrony zdrowia.

Mamy też narzędzia nacisku.

Jakie?

– Jeśli TikTok w zeszłym roku zanotował w Polsce 500-procentowy wzrost przychodów, to znaczy, że reklamodawcy zostawili u nie-

go ogromne pieniądze. I teraz już nie muszą chodzić do niego na kolanach. Mogą powiedzieć: „Zostawiamy wam ogromny budżet, ale to jest niedopuszczalne, żebyście mieli dziurawe systemy przesiewania treści i żebyście przyczyniali się do krzywdy dzieci. Zróbcie coś z tym”.

Niektóre kraje wprowadziły zakaz instalowania TikToka na przykład na urządzeniach pracowników instytucji państwowych, czyniąc wymagającą od platform restrykcyjnej kontroli wieku użytkowników, no a u nas politycy, w tym prezydent, odkryli TikToka i w ten sposób uwiarygodniają ten serwis. Oczywiście na TikToku są też wartościowe treści, ale choćby tam była niejedna Kasia Gandor [znana popularyzatorka wiedzy], to po wpisaniu „nie chcę mi się żyć” w wyszukiwarkę dziecko w ciągu kilku minut dostaje instrukcję odebrania sobie życia.

Jakie my, zwyczajni obywatele, mamy narzędzia nacisku?

– Podejmowanie świadomych wyborów – z czego chcę korzystać, a z czego nie. Nie musimy być wszędzie. Ja na przykład nie korzystam z TikToka, choć mogłabym zrobić dla Instytutu dodatkowe zasięgi. Kusiło mnie parę razy, ale pomyślałam: „Nie, nie dołożę tu jeszcze jednego konta”. Mam też nadzieję, że zaczniemy zwracać uwagę konkretnym markom, że są obecne w serwisach, które przekazują destrukcyjne treści. Tak jak dziś niektórzy już potrafią zwrócić uwagę osobom publicznym, że promują produkty fast fashion. ●



*Magdalena Bigaj

• twórczyni i prezeska fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pomysłodawczyni i współautorka pierwszego ogólnopolskiego badania higieny cyfrowej osób dorosłych. Medioznawczyni, działaczka społeczna i badaczka wpływu nowych technologii na społeczeństwo. Umieszczona na liście 100 Kobiet Roku 2022 przez magazyn „Forbes Women”. Autorka książki „Wychoowanie przy ekranie” wspierającej rodziców i opiekunów w towarzyszeniu dziecku w świecie cyfrowym

O BADANIU:

Ogólnopolskie Badanie Higieny Cyfrowej 2022 zostało przeprowadzone na reprezentatywnej grupie dorosłych użytkowników i użytkowników internetu w Polsce. Wykorzystano w nim nowe narzędzie badawczo-edukacyjne stworzone przez Magdalенę Bigaj i dr hab. Magdalенę Woynarowską. Organizatorami badania były Instytut Cyfrowego Obywatelstwa i fundacja Orange. Raport z badania można pobrać ze strony Higienacyfrowa.pl, na której można także wykonać darmowy, anonimowy test higieny cyfrowej

Nowy serwis

żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej

CO MNIE URZEKŁO

Wino zamienię na wodę

Czułam się jak w Studni Dusz (jeśli pamiętacie „Poszukiwaczy zaginionej arki”), oglądając kości oświetlane światłem wpadającym przez długi komin

BEATA MACIEJEWSKA

P

Ponad czterdzieści stopni w cień, język z pragnienia stawał kolkiem, skrawka zieleni nie było widać, a w podziemnej, bizantyjskiej cysternie panował chłód. Wyglądała jak kopalnia Morii i mogła zmieścić 2000 m sześć. wody. Budowniczowie twierdzy Dara wiedzieli, jak się przygotować na oblężenie.

Niezwykłe miejsce, 30 km od tureckiego miasta Mardin, tuż przy granicy z Syrią. Do syryjskiego miasta Amuda jest zaledwie 7 km. Pojechałam tam w sierpniu, który podobno był najgorętszy od kilkunastu lat.

Nie tylko polski MSZ odradza podróż w te rejony, dlatego na terenie wykopalisk w Darze nie było żywej duszy. Cała twierdza wraz z nekropolią była moja.

O Darze usłyszałam pierwszy raz na seminarium z historii starożytnej, u profesora Tadeusza Kotuli. Był 1986 r., nie miałam pojęcia, że Dara przestaje być właśnie miastem widmem historycznym, bo archeolodzy zaczynają ją wyciągać z ziemi. A było co wyciągać.

Kronikarz bizantyjski Jan Malalas (Syryjczyk z Antiochii) pisał w VI w. n.e., że w opasany murami mieście znajdują się dwie publiczne łaźnie, kościoły, magazyny na wodę i pomniki cesarza Anastazjusza.

PROKOPIUSZ DONOSI Z FRONTU

Należały mu się, bo nie tylko obniżył podatki, ale kazał zbudować tę fortecę. Dara/Anastasiopolis była ważną twierdzą północnej Mezopotamii, tuż przy granicy z groźnym Imperium Sasanidów, dlatego również następca Anastazjusza – przede wszystkim cesarz Justynian Wielki – dbali o jej fortyfikacje i dobre zaopatrzenie ogromnych magazynów. Miasto rozłożyło się na trzech wzgórzach, z cytadelą na najwyższym



FOT. BEATA MACIEJEWSKA

wzniesieniu, otaczające je mury miały 20 m wysokości, a wieże obronne wyrastały do 30 m.

W 530 r. doszło do bitwy pod Darą, w której 25-tysięczna armia cesarza Justyniana, pod wodzą Belizariusza, starła się z 40-tysięczną armią perską. Rzymianie mieli przede wszystkim bronić twierdzy. Byli wprawdzie mniej liczni, ale mieli kawalerię Hunów i Herulów, a armia Sasanidów składała się w większości ze słabo wyszkolonej piechoty. Trzystu konnych łuczników mogło zmienić losy bitwy.

I zmieniło, Rzymianie wygrali, choć ponieśli duże straty. Ale od prawie stu lat było to pierwsze zwycięstwo nad Persami

w otwartym polu, szczegółowo opisane przez Prokopiusza z Cezarei, najsłynniejszego historyka bizantyjskiego. Piętnaście lat spędził w sztabie Belizariusza, jako jego doradca i sekretarz, w wielu bitwach uczestniczył lub był ich świadkiem, taki historyk to skarb.

MIASTO UMARŁYCH WYKUTE W SKALE

Dlatego w pierwszej kolejności poszłam zobaczyć miasto umarłych, w którym spoczywają ponoć żołnierze Belizariusza. Tak przynajmniej twierdził Mahmut, mój gospodarz z Mardin, który brał udział w wykopaliskach.

Faktycznie, wykute w skałach wnęki grobowe pochodzą z VI wieku, choć na nekropolii są też sarkofagi z VIII w. i groby o konstrukcji skrzyniowej z VIII -XIV w. Czułam się jak w Studni Dusz (jeśli pamiętacie jeszcze „Poszukiwaczy zaginionej arki”), oglądając kości oświetlane światłem wpadającym przez długi komin. Wieczny pokój bizantyjskiej armii.

Sam Belizariusz żył długo, choć według średniowiecznej legendy miał popaść w cesarską nielaskę, za przegraną bitwę został ponoć ukarany wydłubaniem oczu i żebrał na ulicach Konstantynopola.

Nic z tych rzeczy, odszedł z tego świata jako bogacz. Co wię-

cej, następne pokolenia zadbały o jego sławę – malował go David, Donizetti napisał operę, a Robert Graves – powieść. Mam na półce, wprawdzie już wiekowa i nie tak popularna jak „Klaudiusz i Messalina”, warta jednak uwagi. Wprawdzie Prokopiusz w „Historii sekretnej” (sekretem była przez 6 wieków, póki bibliotekarz watykański nie pokazał światu, co odkrył) opisał Belizariusza jako mężczyznę bez charakteru i godności osobistej, a jego żonę Antoninę jako wyuzdaną wszetecznicę uganiającą się za miłośnikami. Trzeba jednak pamiętać, że każdy sekretarz ma prawo do zemsty na szefie, a niespełnione ambicje są groźniejsze od bomby.

KLEJNOT W CYSTERNIE

Starożytna Dara wciąż wprawdzie potrzebuje archeologów, bo zaledwie 10 proc. miasta zdolano odsłonić, ale już widać mury, agorę, katedrę, a przede wszystkim przebadano system zaopatrzenia w wodę. A bez wody żadna twierdza nie mogła się obronić, system retencji i dystrybucji miał kluczowe znaczenie.

Oczywiście zapasy innych płynów też były mile widziane – dr Jan Jakub Stock, który we wrześniu 1914 r. obserwował przygotowania do oblężenia w twierdzy Przemyśl, zanotował, że „budują piwnicę na wino i piwo, jak gdybyśmy mieli tu siedzieć przynajmniej pół roku zamknięci” – ale w rozpalonej do czerwoności Darze marzyła mi się tylko woda.

Cesarzowi chyba też, bo na jego rozkaz inżynierowie zmienili bieg pobliskiej rzeki Cordes tak, aby przepływała przez miasto. Kanał przebiegał pod ziemią i wyprowadzał rzekę na powierzchnię aż 65 km na północ od Dary. Potencjalni wrogowie musieli szybko zdobywać twierdzę, jeśli nie chcieli wyschnąć na wiór. Za to obrońcy mieli jej pod dostatkiem, mogli pluskać się w łaźniach bez ograniczeń.

Woda wewnątrz miasta była doprowadzana do głównych budynków i gromadzona w cysternach. Oglądałam jedną, schowaną pod wiejskim domem, 25 m wysokości, mogła pomieścić 2000 m sześć. wody.

Mieszkańcy nazywają cysternę „lochem”, ale bardziej przypomina kopalnię Morii z „Władcy Pierścieni” lub słynną (i jednak znacznie większą) cysternę Jerebatan w Stambule, zbudowaną przez Justyniana. Też wygląda jak „pałac, który zapadł się pod ziemię”, z rzędem kolumn w sali tronowej. Godna oprawa dla klejnotu czystej wody. ●

Weekendówka
45



Autorem wielu haseł jest **Igor Rakowski-Kłós**

SZARE SZEREGI

W warszawskim rejestrze zabytków, pod liczbą porządkową 6144 znajdujemy obiekt, którego historyczna nazwa brzmi: Arsenał (Cekhausz), więzienie, Archiwum Miejskie Warszawy, a znajduje się na ulicy Długiej 52, w Śródmieściu.

Stoleczny Arsenał powstał z rozkazu króla Władysława IV, jego budowę ukończono w 1643 roku, ale już wcześniej lokacja miała przeznaczenie militarną – Stefan Batory założył tam przytułek dla weteranów wojskowych.

Arsenał przeżywał burzliwe losy, podobnie jak cała stolica zresztą. Na początku XVIII wieku w budynek uderzył piorun, a że w Arsenale, jak to w arsenale, przechowywano broń, to wybuch zgromadzonego tam prochu zniszczył znaczną część budowli. Podczas powstania listopadowego Arsenał zdobyli warszawiacy, a po upadku zrywum mieściło się tam więzienie.

Ale miejsce rozsławiło wydarzenie z 26 marca 1943 roku, znane jako Akcja pod Arsenalem, choć tak naprawdę nosiła kryptonim „Meksyk II”.

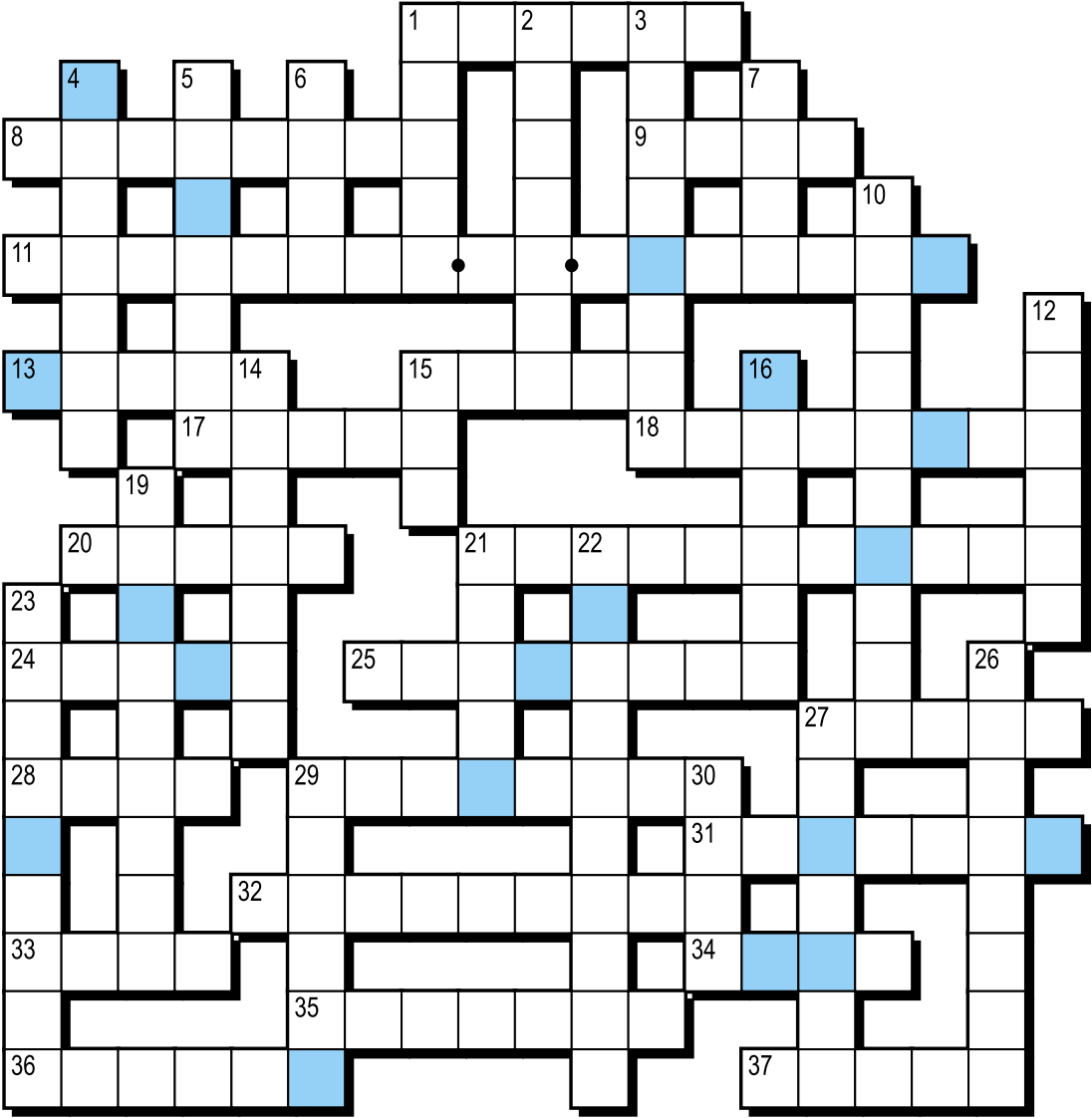
Plan odbicia aresztowanego przez gestapo Jana Bytnara, czyli „Rudego”, opracował jego przyjaciel Tadeusz Zawadzki, czyli „Zośka”. Dlaczego „Meksyk II”? Otóż operację opatrzoną „jedynką” odwołano, gdyż zgody na jej przeprowadzenie nie wydało Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej, czyli Kedyw. „Meksyk II” prze-

prowadzono ostatecznie 26 marca, w piątek, ale plan opracowany przez „Zośkę” w zasadzie został zachowany. Jedną z innowacji był środek transportu, którym ewakuowano odbitych więźniów – oprócz „Rudego” z rąk Niemców uwolniono wówczas 20 innych osób, m.in. Tadeusza Krzyżewicza „Buzdygana”. W pierwotnym planie Grupy Szturmowe Szarych Szeregów dysponowały jedynie dorożką, kilka dni później do dyspozycji był samochód marki DKW.

„Rudy”, skatowany przez hitlerowców, zmarł kilka dni po uwolnieniu, 30 marca w Szpitalu Wolskim. Tego samego dnia odszedł Aleksy Dawidowski „Alek”, trzeci z legendarnych członków Szarych Szeregów, który podczas Akcji pod Arsenalem został ciężko ranny w brzuch. „Zośka” zginął w nocy 21 sierpnia, w Sieczkach pod Wyszkiem, podczas ataku na strażnicę Grenzschutzpolizei.

Dzisiejsza „Weekendówka” poświęcamy więc Szarym Szeregom. A o pomoc w jej przygotowaniu poprosiliśmy Igora Rakowskiego-Kłosa, dziennikarza historycznego i pisarza, redaktora magazynu „Ale Historia”, „Gazety Wyborczej”, sekretarza Nagrody Historycznej m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego. Pamiętajmy o nich. Dziś, jutro i pojutrze. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 44 z 18.03:

Poziomo:

- 2) Freddy 6) Halloween
9) Krzyk 11) Pennywise
13) trwoga 15) Rosemary
16) Carrie 18) Straszny film
20) laleczka 22) Mumia
24) Suspiria 27) Roman
29) Stanley 31) reżyser
32) Znaki 34) piknik
37) Ptaki 39) Oscary 40) Inni
41) demon 42) telefon
43) maska
Pionowo:
1) Cameron 3) Egzorcysta
4) doktor 5) Paranormal Activity 7) Lśnienie 8) wywiad
10) komedia 12) sny
14) Redrum 17) slasher
18) Samara 19) Nicole 21) las
23) gabinet 25) porywacze
26) Rose 28) klaun 30) trupy
33) gore 35) krew 36) King
37) piła 38) atak

HASŁO: **KOSZMARNE KINO**

SZARE SZEREGI

Hasła Igora Rakowskiego-Kłosa oznaczono inicjałami (IR-K). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** często roznoszone przez członków Szarych Szeregów
8) Tadeusz ... pseudonim „Zośka”
9) pseudonim Macieja Aleksandra Dawidowskiego, postrzelonego podczas akcji pod Arsenalem
11) książka Aleksandra Kamińskiego o działalności Szarych Szeregów w Warszawie
13) harcerski batalion AK, którego dowódcą był Ryszard Białous „Jerzy”

- 15)** „Dziś, ..., pojutrze”, program ideowy Szarych Szeregów
17) ... Krajowa (PZP)
18) zgrupowanie, w którym walczyły bataliony „Zośka” i „Parasol” (powstanie warszawskie)
20) Organizacja Małego Sabotażu założona przez Aleksandra Kamińskiego (jak dzielnica Warszawy)
21) prowadzi zakonspirowaną działalność dezorganizującą działania wroga
24) ... pod Arsenalem
25) działania prowadzone na tyłach wojsk wroga (Kedyw – Kierownictwo ...)
27) rozpoznanie w terenie
28) chorągiew (ul.) Szarych Szeregów na Pomorzu

- 29)** jedno z miejsc walk batalionu „Wigry” podczas powstania warszawskiego
31) ... Krzyżewicz „Buzdygan”, brał udział w akcji pod Arsenalem
32) Franz, komendant warszawskiej policji, zginął w wyniku akcji Szarych Szeregów
33) pseudonim Haliny Zych z kompanii „Szare Szeregi” w batalionie AK „Kiliński” (IR-K)
34) tylko świnie w nich siedzą (IR-K)
35) zorganizowane grupy działające z użyciem siły
36) na szyjach harcerzy
37) W w skrótowniku ZWZ (wpisujemy w mianowniku)
Pionowo:
1) na nich dochodziło do łapanek (IR-K)

- 2)** najeżdźca
3) ... franciszkanów we Włocławku, z pomnikiem Szarych Szeregów
4) batalion, którego pierwszym dowódcą był Adam Borys „Pług”
5) „pszczelarski” kryptonim głównej kwatery Szarych Szeregów
6) ... zbrojny
7) ... Marszałek, ostatni naczelnik Szarych Szeregów
10) stacja – miejsce akcji Grup Szturmowych w maju 1943 r. (uwolnienie więźniów z transportu kolejowego)
12) WISS, czyli ... – Informacja Szarych Szeregów
14) ... Królewski, budynek przy ul. Długiej w Warszawie, miejsce akcji odbicia „Rudego” i innych więźniów z rąk Gestapo

- 15)** ... Zieja, kapelan Szarych Szeregów, a po wojnie współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników (IR-K)
16) heroizm, męstwo
19) Florian, pierwszy naczelnik Szarych Szeregów
21) ... Harcerski im. Szarych Szeregów w Kielcach
22) Stanisław, drugi naczelnik Szarych Szeregów
23) 21. Warszawski Pułk Piechoty „Dzieci Warszawy” AK, czyli Zgrupowanie ...
26) miasto, w którym 27 września 1939 r. powołano Szare Szeregi
27) ... bojowe, zlecane do wykonania
29) ... pomocnicze, np. Harcerska Poczta Polowa w czasie powstania warszawskiego
30) natarcie **Leszek Rydz**

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play